

Agnieszka Turzyniecka

*Dziewczynka
z balonikami*



Agnieszka Turzyniecka

***Dziewczynka
z balonikami***

SZARA  GODZINA

Rozdzierający
Jak tygrysa pazur
Antylopy plecy
Jest smutek człowieczy.
Nie brookliński most
Ale przemienić
W jasny, nowy dzień
Najsmutniejszą noc —
To jest dopiero coś!
Przerazający
Jak ozdoba świata
Co w malignie bredzi
Jest obłąd człowieczy.
Nie brookliński most
Lecz na drugą stronę
Głową przebić się
Przez obłądu los —
To jest dopiero coś!
Będziemy smucić się starannie!
Będziemy szaleć nienagannie!
Będziemy naprzód niesłuchanie!
Ku polanie!

Edward Stachura, *Nie brookliński most*

Prolog

Te mury znają wszystkie sekrety. Tak pomyślałam, kiedy pierwszy raz tu weszłam. Obskurny budynek. Przeczytałam, że placówka istnieje od ponad stu lat. W czasach drugiej wojny światowej była zajęta przez Niemców. Hitlerowcy wywieźli pięciuset pacjentów do Oświęcimia, prosto do komory gazowej. Tych, którzy nie nadawali się do transportu, rozstrzelali na miejscu i pochowali na terenie szpitala. Ciekawe gdzie? Może blisko kaplicy, tam gdzie pomnik? Ciekawe, czy duchy tych pacjentów snują się nocami po korytarzach? Póki co, w dzień snują się jeszcze żywe pacjentki; chodzą tam i z powrotem, tu mówi się na to „mam chodzonego”. Coś każe ci chodzić. Nie wiesz, co to jest, ale nie daje ci usiedzieć. Pacjentki marzą o wielkiej ucieczce, ale same nie wiedzą, czy mają uciekać na zewnątrz, czy może to, że tu są, jest już samo w sobie ucieczką. Kiedy siedzę w ciemnej palarni, śmierdzącej starymi petami, czuję, jak ściany pulsują. Tętnią razem z Adele w rytmie *Skyfall*. Gdyby Adele wiedziała, dokąd dotarła. Istnieje plotka, że te mury wszystko chłoną i kiedyś spłoną od nadmiaru... Czego? W jedną z nudnych niedziel zajmą się ogniem pościele. Ogień stanie w błyszczących łazienkach. Jak w tej piosence, w której pacjenci nie chcieli uciekać. Bo my już uciekliśmy. Od was.

1. Najwyższy priorytet

Trzymam kurczowo torbę podróżną, jakbym w niej miała skarby, a mam tylko kilka koszul i książek. Wzięłam ich trochę, bo nie wiem, ile tu zostanie. Myślę, że nikt mnie nie odwiedzi, więc nie dostanę nic z zewnątrz. Jak czegoś zapomniałam, to teraz już za późno. Lekarz dyżurny każe mi wjechać na drugie piętro i poczekać na korytarzu, po czym zostawia mnie, dając do zrozumienia, że ma lepsze rzeczy do roboty. Budynek jest nowy, potem się dowiem, że wybudowano go dwa lata temu. Wszystko tu łśni i pachnie jeszcze farbą. W korytarzu wiszą amatorskie obrazy, domyślałam się, że to dzieła pacjentów. Jest schludnie i jakoś nie tak jak w szpitalu, nie czuć chloru. Jak na razie nie widzę żadnych łóżek ani pielęgniarek, nawet lekarz, z którym krótko rozmawiałam, nie miał kitla. W holu stoją kanapy, na dwóch ławach rozłożone są czasopisma, a obok nich stoją rośliny w wielkich donicach. Pusto. Ogromny hol na parterze wygląda jak wymarły, jestem tu jedynym gościem. Przenikliwa cisza przywołuje na myśl złe skojarzenia. To miejsce jest kolorowe i zapraszające, ale smutne.

Z tym lekarzem rozmawiałam już w piątek, kiedy przyjechałam tu z duszą na ramieniu i skierowaniem od lekarza rodzinnego. Łudziłam się, że uzna, że nie muszę tu zostać, że wystarczą leki. Przecież leki zawsze wystarczają. Doktor Bauer zaprosił mnie do swojego klaustrofobicznego gabinetu na parterze, obejrzał skierowanie i zadał kilka pytań: kiedy to się zaczęło, jak wygląda mój dzień, jak się czuję. Odpowiadałam szczerze i bez namysłu. Czułam, że muszę zaufać temu człowiekowi, bo nie mam już innego wyboru. On chce słuchać. Inni nie chcą. Chce mnie słuchać i jest to dla mnie tak wyjątkowym wydarzeniem, że mężczyzna urasta w moich oczach do rangi uzdrowiciela. Czy wie, że pokładałam w nim wszystkie nadzieje? Pewnie tak. Oceniał, że mogę poczekać do poniedziałku, bo dzisiaj i tak nie mają miejsc, a ja nie jestem w najgorszym stanie. Zawyrokował, że cierpię na umiarkowaną depresję, ale skoro mieszkam sama i nikt mnie nie wspiera, to konieczne jest leczenie szpitalne. Umiarkowana depresja, pomyślałam. Czy to, co czuję, jest umiarkowane?

Tamtego dnia wróciłam do domu pełna nowej nadziei. Wierzyłam, że mi pomogą. Wierzyłam, że to konieczne i muszę się poddać leczeniu. Byłam gotowa na współpracę. W weekend nawet posprzątałam mieszkanie, bo pomyślałam, że jak wrócę ze szpitala, to będę już zdrowa i nie będę chciała widzieć tego burdelu. Nie sprzątałam już od wielu tygodni. Nie zmywałam, nie opróżniałam kosza na śmieci, właściwie tylko leżałam. Od miesiąca nie mogłam już pracować. Byłam kasjerką w sklepie monopolowym, wybuchałam spazmatycznym płaczem przy każdym kliencie. W końcu szef dał mi delikatnie do zrozumienia, że czas na bezpłatny urlop, a szefowa wcisnęła mi w rękę numer do znajomego psychiatry.

— On ci pomoże, pomógł mojemu mężowi, który też ma depresję.

Ja mam depresję? Szefostwo wiedziało wtedy więcej ode mnie.

Na początku grudnia poszłam do poleconego psychiatry. Właściwie sama sobie postawiłam diagnozę. Powiedziałam, że chyba mam depresję. Nie pytał o nic. Dał mi w rękę receptę na sto sztuk prozacu i kazał przyjść za trzy miesiące. Leki brałam, bez żadnego skutku. Po Bożym Narodzeniu przestałam wstawać z łóżka. Nie jadłam, nie odbierałam telefonu. Wszystko było nierealne, godzina ciągnęła się za godziną, a ja byłam zawieszona gdzieś między czasem a przestrzenią, między bezsensownie grającym telewizorem a stertą zapleśniałych naczyń w zlewozmywaku.

Co sprawiło, że wstałam, zebrałam w sobie ostatnie siły i poszłam do lekarza? Pomógł mi ktoś, kto już dawno nie żył. Całe dni spędzałam, zastanawiając się, czy lepiej położyć się na

torach, czy skoczyć z wieżowca. Ale nawet do tego nie byłam zdolna. Trzeba by było wyjść z domu, a ja nie miałam siły. I wtedy pomyślałam o moim bracie ciotecznym, który kilka lat wcześniej popełnił samobójstwo. Miał depresję, tak jak ja — powoli oswajałam się z tą myślą. Poddał się i nie leczył. Mógł żyć. I tak, leżąc w łóżku, rozmyślałam o jego rodzinie, o rodzicach, o krzywdzie, którą im wyrządził, i o tym, ile mógł w życiu jeszcze osiągnąć. Postanowiłam, że zanim skończę tak jak on, spróbuję pozwolić sobie pomóc. To mnie nic nie kosztowało — prawie nic. Trzeba było tylko wreszcie wstać z łóżka. Zawsze jeszcze będzie czas, żeby się zabić, pomyślałam. Dałam sobie trzy tygodnie i postanowiłam, że jeśli nie będzie poprawy po tym okresie, skończę ze sobą. Ale najpierw spróbuję. To teraz miało najwyższy priorytet.

Wjeżdżam windą na drugie piętro. Siadam w małym korytarzyku. Po prawej i po lewej widzę przez oszklone szyby oddziały. Akurat jest pora obiadowa, pacjenci siedzą przy stołach. Przyglądam się im dość długo i mam okazję obserwować, co dzieje się w środku. Ludzie nie są w piżamach — to pierwsze, co rzuca mi się w oczy. Wyglądają normalnie. NORMALNIE. To chyba największe zaskoczenie. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie tego. Przecież to szpital psychiatryczny, siedzą tu czubki. A oni, jak na złość, wyglądają zwyczajnie i najzwyczajniej w świecie wcinają zupę. Nagle dostaję to, czego oczekiwałam. Jeden z mężczyzn wstaje od stołu i zaczyna chodzić w tę i z powrotem. Jego twarz przypomina maskę, wygląda, jakby dotknął go paraliż. Jest mocno zgarbiony, głowa leci mu na piersi. Powłóczy nogami, a jego ręce bezwiednie opadają na biodra. Ktoś podchodzi i prowadzi go w głąb korytarza. Więc tak wyglądają ludzie, których faszeruje się psychotropami. Czy ja też tak będę wyglądać? Nagle wstaję, chwytam torbę i zdecydowanym krokiem ruszam w stronę windy. Co ja tu robię? Jestem przerażona. Ale w tej samej chwili drzwi po lewo otwierają się i mały człowieczek z przyjaznym uśmiechem zwraca się do mnie:

— Pani do nas? Nazywam się Barbiana, jestem tu psychologiem. Proszę do środka.

Człowiek ten ma w sobie coś tak autorytatywnego, że zapominam o chęci ucieczki i grzecznie podążam za nim na oddział. Jest czternasty stycznia 2010 roku.

2. Diagnoza

Psycholog prowadzi mnie do pokoju. Jestem zaskoczona jego wysokim standardem. Przestronna sala z dwoma łózkami, wielką szafą i stolikiem pod ścianą. Tuż przy wejściu znajduje się łazienka. W niczym nie przypomina to polskich realiów szpitalnych zapamiętanych z dzieciństwa. Siadamy przy stoliku. Barbiana mówi, że na razie będę w pokoju sama, ale niebawem ktoś zapewne do mnie dołączy.

Jest bardzo niski i nosi delikatne okulary, które sprawiają, że wygląda na chuderlawego intelektualistę. Zadaje wiele pytań, wszystko notuje w karcie. Muszę cofnąć się o wiele lat, do momentu, kiedy to wszystko się zaczęło. Opowiadam o szkole, nieskończonych studiach i o mazindolu. Nie zna tego leku, w każdym razie jego polskiej nazwy.

Mazindol był kiedyś popularnym lekiem na odchudzanie, wydawanym na receptę. Dziś nie jest już dostępny, bo wykryto jego szkodliwe efekty uboczne. Miałam trzynaście lat, kiedy mama zaprowadziła mnie do swojej neurolożki.

— Niech pani coś zrobi z tym pulpetem.

Uczynna lekarka przepisała mi końską dawkę mazindolu. Miesiąc i dziesięć kilo później pojawiły się pierwsze oznaki depresji. Skutek uboczny. Mama była szczęśliwa, że schudłam, a ja nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Wszystko straciło sens. Skąd u dziecka depresja? Psycholog odpowiada, że nawet sześciolatnie dzieci mogą na nią zapaść. Dziś ten lek sprzedawany jest na czarnym rynku — jako cudowny środek odchudzający. Ludzie, którzy go kupują, nie mają pojęcia, w co się pakują. Kiedyś zastanawiałam się nad pozwaniem tej lekarki do sądu. Niestety, nie ma dokumentacji — lek wypisywała na kartę mojej mamy. Żadnych dowodów.

Barbiana pyta, czy mam myśli samobójcze. Skarbie, myśli samobójcze są moim tlenem od czternastu lat. Pyta też, czy może mi zaufać. Że nie zrobię nic. Sobie. Migam się. Wymusza na mnie obietnicę. Potrząsam głową na znak zgody, chociaż wcale nie jestem tego pewna. Mówi, że lekarz przebada mnie dopiero jutro.

Psycholog chce wiedzieć, czy kiedyś czułam się świetnie. A pewnie, wtedy, jak zerwałam z pierwszym chłopakiem, i ostatnio, w zeszłym roku na wiosnę. Nie spałam, tańczyłam, śpiewałam i pisałam jak szalona. I tak przez dwa miesiące. Z wszystkimi się kłóciłam, byłam pewna siebie — jak nigdy. Aha, i jeszcze przed maturą, dostałam takiego kopa, że mogłam się uczyć dzień i noc. Jak na speedzie. Barbiana patrzy na mnie spod cienkich okularów:

— No to wszystko jasne. Ma pani zaburzenia maniakalno-depresyjne.

W mojej głowie pojawia się wielki znak zapytania. Co? Mężczyzna próbuje mi na chłopski rozum wytłumaczyć, co to znaczy. Oficjalnie to choroba afektywna dwubiegunowa. U niektórych ludzi mózg nie jest w stanie utrzymać nastroju w równowadze. Tacy pacjenci mają zawsze huśtawkę — albo bujają w obłokach i wpadają w euforię, albo w depresję. Nigdy nie osiągają stanu normalnego. Nie bez leków.

— Ale niech się pani nie martwi, to można z powodzeniem leczyć.

Mówi też, że prawdopodobnie mam to już od trzynastego roku życia, tylko teraz się nasiliło. Czy to uleczalne?

— Nie. Ale biorąc leki, można żyć normalnie.

Na koniec dostaję od niego plan zajęć. Terapia grupowa, arteterapia, sport, muzyka. Zaczynam jutro o ósmej spacerem wzdłuż rzeki. Terapia sportem. Ja mam iść nad rzekę? Na most? Mówię mu, że wolę zostać w budynku, bo jak pójdę nad rzekę, to nie gwarantuję, że do

niej nie skoczę. Jestem sama zdziwiona moją otwartością. On na to, że nie powinnam się sama zamykać w szpitalu.

— Na tym oddziale drzwi są zawsze otwarte, może pani iść do miasta, nawet pojechać do domu. Trzeba tylko powiedzieć pielęgniarkom, kiedy się wróci. I jak pani nie będzie o umówionej porze, to wyślemy policję do domu. To standard u pacjentów zagrożonych samobójstwem.

Jestem więc oficjalnie zagrożona samobójstwem. Czuję się tak, jakby to dopiero do mnie dotarło, a przecież już tak długo żyję z taką świadomością.

Zostaję sama. Rozpakowuję się. Zaskakuje mnie, że w szafie jest sejf. Mały, ale portfel się mieści. Myślę o polskich szpitalach, gdzie wszyscy wszystko kradną, ledwo się obejrzysz. Szafki zamykane na klucz. W oknach nie ma krat. Oczywiście myślałam, że w takim miejscu będą. Później od innych pacjentów dowiem się, że w oknach są pancerne szyby, w razie jakby ktoś wpadł na pomysł...

Wybieram sobie łóżko bliżej okna. Widok na parking. Pielęgniarka wskazuje mi palarnię, ku mojej uciechu jest tuż obok mojego pokoju. Oczywiście od razu się do niej udaję. Czuję ulgę, bo myślałam, że będę zmuszona zrezygnować z papierosów. Jest to bardzo małe pomieszczenie z okrągłym stolikiem i krzesłami. Okna są uchylone, wzdrygam się z zimna. Przez oszklone drzwi widzę, że ktoś się zbliża. Jeszcze przez chwilę mam nadzieję, że może nie idzie do palarni, ale na próżno. Mężczyzna w średnim wieku wchodzi i siada koło mnie.

— Jesteś nowa?

— Na to wygląda — odpowiadam niepewnie.

Nie wiem, czego się spodziewać. Jestem w końcu w psychiatryku. Czy ten facet poderżnie mi gardło?

— Jestem Matthias. — Podaje mi rękę. — Jesteś pod czternastką? To jesteśmy sąsiadami. — Uśmiecha się.

— Miło mi. Jestem Marlana.

— Jak?

— Marlana — sylabizuję.

— Skąd jesteś?

— Z Polski.

— Długo już w Niemczech?

— Kilka lat — odpowiadam zdawkowo. Boję się.

— Dobrze mówisz po niemiecku. Z czym przychodzisz?

— Nie rozumiem...?

— Na co tu jesteś? Ja mam schizofrenię.

Dreszcz przechodzi mi po plecach.

— Mówią, że mam zaburzenia maniakalno-depresyjne.

— A tak, dużo tu takich mamy.

Tego dnia spotykam go jeszcze kilka razy w palarni i potem na kolacji. Jest miły, zawsze mnie zagaduje. Wciąż energicznie macha nogami, najwyraźniej ma taki tik nerwowy.

Kolacja jest koszmarna. Nie, nie chodzi o jedzenie. Jemy wszyscy razem w głównym pomieszczeniu, podzieleni na cztery stoły. Wspólne posiłki są częścią terapii. Nie wiem, gdzie usiąść, co robić i jak się zachować. Szybko kończę i uciekam. Nie odzywam się do nikogo ani słowem.

Tej nocy nie mogę zasnąć. Jest to dla mnie pierwsza z wielu nieprzespanych nocy w szpitalu Świętej Matki w Karlsruhe.

3. Szaleńcza narzuta

Jestem tu już tydzień. Nie śpię, całe noce wędruję po ciemnych korytarzach. Lekarz mówi, że nie da mi tabletek nasennych, bo jestem za młoda. Dnie schodzą mi na terapii, wieczorami leżę na łóżku i słucham Elvisa. Dzielę pokój ze starszą kobietą, która ciągle płacze. Słyszałam, jak opowiadała lekarzowi, że całe życie zajmowała się kalekim bratem. Zmarł, a ona nagle stanęła przed pytaniem, co dalej. Nie potrafiła znaleźć sensu w życiu — on był jej sensem. Jest już pewnie po siedemdziesiątce. Wstaje tylko na posiłki i do ubikacji. Mówi, że jak słucham muzyki na mp3, to mruczę. Twierdzi, że to ją uspokaja. Nie rozmawiamy, to jedyna rzecz, jaką do mnie powiedziała w ciągu całego tygodnia.

Raz odwiedza ją jakiś mężczyzna i zaczyna gadkę: „Tak nie można, depresja to nie choroba, wstań, nie użalaj się nad sobą. Musisz wierzyć. Musisz się mobilizować. Jesteś słaba”. Czuję, jakby mówił do mnie. Ty skurwielu, myślę, jak śmiesz tu przychodzić i wygadywać takie rzeczy? Hanna, bo tak nazywa się moja staruszka, nie odpowiada. Kiedy facet wychodzi, kobieta wybucha płaczem. Właściwie większość czasu śpi i zazdroszczy jej tego. Wydaje mi się, że jest w gorszym stanie niż ja. Ja przynajmniej wstaję i wędruję po oddziale.

Chodzę też na terapię. Praktycznie codziennie od ósmej do siedemnastej wypełniają mi czas zajęcia. Najbardziej podoba mi się trening intelektualny. Dostajemy tam różne zadania do rozwiązania i zawsze jestem najlepsza. Nie, nie chodzi o to, kto lepiej albo szybciej. Ale ostatecznie to ja zawsze jestem pierwsza gotowa i mam wszystko poprawnie, więc czuję się dobrze. Przypomina mi to śmieszne szczęście, jakie się czuło w szkole po dostaniu piątki. W moim życiu dawno już nic nie idzie tak, jak powinno. Dawno już nie dostałam za nic piątki, więc dobrze jest przez chwilę poczuć się wielką.

Na zajęciach z majsterkowania otwiera się przede mną wiele możliwości. Mogę rzeźbić, łupać w kamieniu, ciąć dziwne rzeczy z drewna, sklejać samoloty i robić na drutach. Wybieram to ostatnie. Ktoś daje mi narzędzia, ktoś podrzuca wełnę. Po kilku dniach nie rozstaję się już z tym ekwipunkiem. Idzie mi tak dobrze i szybko, że po tygodniu mam już szal i zabieram się za narzutę na łóżko. Ma być kolorowa i ma się nazywać szaleńczą narzutą, ze względu na miejsce, w którym ją robię.

Jest też terapia literacka. Zbieramy się w kilka osób i terapeutka czyta nam bajki dla dorosłych. Te zajęcia mnie irytują. Teksty są beznadziejne, co gorsza, prowadząca zmusza nas do dyskusji na temat morału bajki. I za każdym razem pojawia się pytanie, które przyprawia mnie o drwiący śmiech: co autor miał na myśli? Na szczęście zawsze mam ze sobą druty i wełnę, inaczej umarłabym z nudów.

Bardzo podoba mi się terapia sztuką. Można tu wybrać sobie dowolny rodzaj „sztuki”. Ja wciąż rysuję komiksy. Zajęcia są tematyczne, mamy coś stworzyć pod dyktando terapeutki. Jest to mała kobietka o bardzo łagodnym usposobieniu. Na pierwszych zajęciach temat brzmi: „Co nam w duszy gra”. Gość koło mnie maluje grób ze swoim imieniem. Nie wróci już na oddział sam, przyślą mu eskortę i umieszczą w akwarium — miejscu dla osób bardzo zagrożonych. Ja, jak na złość, rysuję uśmiechniętą buźkę. Nie mam ochoty patrzeć na to, co czuję, wystarczy, że to siedzi we mnie. Terapeutka kilka razy w ciągu zajęć próbuje nawiązać ze mną kontakt. Jestem wciąż przerażona, chociaż już nie tak bardzo jak na początku. Mówi, że jestem nerwowa i powinnam wyluzować.

Najgorsza jest muzykoterapia. Choć samo pomieszczenie jest świetne — znajduje się w nim chyba ze dwieście instrumentów, małych, dużych, znanych, nieznanymi i tych całkiem

dziwaczych. Każdy wybiera coś dla siebie, siadamy w kółko i na znak prowadzącego (który chyba jest głuchy) wszyscy mamy jednocześnie walić, dać czy dmuchać. Jest to jedno wielkie rzępolenie, każdy sobie, każdy głośno i bez zahamowań. Głowa może pęknąć. Niektórzy się przy tym śmieją, inni zakrywają uszy, a natchniony terapeuta patrzy cielęcym wzrokiem, jakby grał sam Bach.

Sport. Co prawda nie chodzę na poranne spacerunki nad rzekę, ale w piwnicy jest wielka sala gimnastyczna. To kolejne zaskoczenie. Gramy w ping-ponga, w zbijanego i w kosza. Dużo jest przy tym śmiechu — jakby ktoś na nas popatrzył z boku, nie uwierzyłby, że co najmniej połowa tych ludzi ma ciężką depresję. Po sporcie zawsze czuję się lepiej. Ruch czyni jednak cuda.

Niektóre zajęcia prowadzi psychiatry. Opowiadają nam o różnych chorobach psychicznych, o lekach i widokach na przyszłość. Mój lekarz prowadzący jest ordynatorem. Doktor Schmitz ma świetną opinię, wszyscy mi powtarzają, że dobrze trafiłam. Jest to człowiek po pięćdziesiątce, elegancko ubrany (personel nie nosi szpitalnego odzienia), wypowiada się powoli, ale nie flegmatycznie. Każde jego słowo jest wyważone, z jego ust nie pada ani jedno przypadkowe zdanie. Mówi, że muszę mnie obserwować, a dopiero potem zaczną mi podawać leki. Denerwuję się. Jestem tu już tydzień i nie dostaję nawet pół tabletki. Mój stan się nie polepsza. Jestem bardzo powściągliwa w rozmowach z personelem. Nie potrafię mówić o sobie. Może nie chcę. Mam poczucie własnej słabości. Czuję, że nie powinnam nikomu pokazywać, jak ze mną marnie. Pytają wciąż o myśli samobójcze. Odpowiadam wymijająco. Nie pilnują mnie, mogę robić, co chcę, i wychodzić, gdzie chcę (choć tego nie robię). Wzmaga się we mnie wrażenie, że nie jestem traktowana poważnie. Ledwie się trzymam, a oni wysyłają mnie na terapię rzępoleniem. Wciąż walczę z chęcią palnięcia sobie w łeb, a oni otwierają przede mną drzwi na miasto...

Najgorzej jest w weekend. W sobotę po śniadaniu oddział pustoszeje. Pacjenci jadą na przepustki, nazywa się to treningiem obciążenia. Wracają w niedzielę wieczorem, przez ten czas mają zobaczyć, czy już dają sobie radę w domu. Zostaje garstka osób. Nie ma też terapii. Upiorna pustka oddziałowego korytarza robi się jeszcze bardziej odstrasząjąca.

4. Kałasznikow

Nie wytrzymam. Dzisiaj będzie obchód, powiem im wszystko, powiem, że już nie mogę, że mają coś zrobić, bo zwariuję. Mają mi dać jakieś leki. Powiem, że jestem tak blisko palnięcia sobie w łeb, że nie powinni mnie zostawiać samej, do diabła, niech wreszcie zaczną coś robić! Wszystko mi obojętne, niech mi dadzą nawet coś uspakajającego, niech mnie ogłupią, ja już nie chcę nic czuć. Jaki to by był luksus, nic nie czuć... Być jak ta plastikowa lalka, sztywna i pusta. Niech ktoś wreszcie zabierze te demony z mojej głowy. Nie mam już siły, ile można. Jestem tylko człowiekiem, jestem tylko głupią Polką, która nie skończyła studiów i nie potrafi nawet prowadzić samochodu. Nie mogę tyle znieść, to ponad moje siły. A jak nic nie zrobią, to będę walić głową w ścianę, tak, będę walić, rozwalę sobie ten przeklęty łeb!

Jestem oteębiała i apatyczna, a jednocześnie wszystko się we mnie gotuje. Mam w sobie tyle złości, tyle nienawiści, nawet nie wiem przeciw komu lub czemu. Mogłabym wziąć kałacha i wszystkich wystrzelać jak kaczki. Jestem w stanie komuś przywalić, lepiej mnie nie wnerwiają. Nie odzywajcie się do mnie, bo nie dostaniecie odpowiedzi. Z moich ust popłynie czarna maź. Jestem brudna. I taka ciężka. Każda minuta jest walką na śmierć i życie. Ile jeszcze będę ją wygrywać? Czuję, jak moje siły słabną. Coraz mniej potrzeby życia, coraz więcej potrzeby snu. Gdybym tak mogła usnąć i przespać cały wiek. Nagle zdałam sobie sprawę, że wcale nie pragnę umrzeć. Chcę tylko spać, jedynie wtedy czuję się dobrze, jedynie w tym stanie nic nie czuję. Ale jak na złość nie mogę spać. Jestem umęczona i to już od lat. Czy już zawsze tak będzie? Jeśli tak, to ja wysiadam, dziękuję za takie atrakcje. Wnerwiają mnie ludzie, wkurzają ich spokojne twarze. Dlaczego oni mają lepiej niż ja? Czym sobie na to zasłużyłam? Dlaczego oni mogą być szczęśliwi, a ja dostaję tylko gówno, zawsze gówno, gdzie nie spojrzę i gdzie nie pójdę. Zamykam oczy i widzę siebie z karabinem maszynowym. Wchodzę na oddział i zaczynam strzelać do ludzi. Padają tak zabawnie, jeden po drugim. Ta wizja mnie dręczy, ale jednocześnie sprawia, że czuję się lepiej. Nie chcę jej, jestem złym człowiekiem. Ale za każdym razem, gdy przykrywam powieki, ona pojawia się jak zmora. Zaczynam się bać sama siebie. Chyba naprawdę zwariowałam.

Obchód w moim pokoju przerywa makabryczne fantazje. Schmitz, dwie pielęgniarki i Barbian. Lekarz uśmiecha się do mnie:

— Jak się czujemy, pani Serafin?

— Źle — odpowiadam szybko. — Fatalnie. Kiedy dostanę jakieś leki? Już nie mogę, dlaczego mi nic nie dajecie? Ja wam zaufałam, przyszłam tu, żebyście mi pomogli, a wy nic nie robicie. Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam — wyrzucam jednym tchem.

Schmitz przechadza się po pokoju. Podpiera brodę ręką. Nie patrzy na mnie. Za to czuję na sobie wzrok psychologa.

— Co pani ma na myśli mówiąc: „Nie wiem, ile jeszcze wytrzymam”? — mówi do mnie lekarz, ale patrzy w podłogę.

Zmieszałam się. Milczę zawstydzona.

— Jeśli ma pani myśli samobójcze, to proszę to powiedzieć — ciągnie. — Wtedy będziemy kontynuować leczenie na innym oddziale.

— Jak to na innym oddziale? — zdziwiłam się.

— Na zamkniętym, pani Serafin. Tutaj jest miejsce dla łagodnych przypadków. Jeśli to konieczne, przeniesiemy panią na osiemnastkę.

Przestraszyłam się nie na żarty. O oddziale numer osiemnaście krążyły legendy. Pacjenci

opowiadali o przywiązywaniu do łóżka, o akwariu i o tym, że trafiały tam same czubki. Spuszczam głowę i szeptem odpowiadam:

— Nie, to nie będzie konieczne.

— Na pewno? — Schmitz zbliża się do mnie. — Pani Serafin, musi pani być z nami szczerą. Przecież to dla pani własnego dobra.

— Na pewno. — Wszystko tylko nie przywiązywanie do łóżka, myślę.

Potrzebuję pomocy, a oni chcą mnie wsadzić do czubków. Wkurzyłam się. Lekarz widać mi uwierzył, bo zmienia temat:

— Będzie pani dostawać trevilor. To specyfik stosowany zwykle w podobnych przypadłościach. Zaczniemy od małej dawki, będziemy ją stopniowo zwiększać. Tu jest informacja na temat tego leku. — Podaje mi plik kartek. — Niech sobie to pani poczyta i podpisze zgodę na jego zastosowanie. Aha, i proszę się nie spodziewać cudów, zazwyczaj potrzeba co najmniej trzech tygodni, zanim leki psychotropowe zaczną działać.

— Trzy tygodnie? — odpowiadam rozczarowana, ale nie zareagowałam.

Jezu, ja nie wytrzymam trzech tygodni. Wyniosą mnie stąd nogami do przodu.

— Siostry z nocnej zmiany odnotowały, że wciąż pani nie śpi. — Schmitz siada przy stoliku. — To już za długo, trzeba coś z tym jednak zrobić. Dostanie pani coś bardzo lekkiego na sen, ale tylko na jakiś czas. Jest pani za młoda, żeby się przyzwyczajać do takich leków. To chyba wszystko.

Psycholog robi krok do przodu.

— Może ja jeszcze coś dodam. Dzisiaj rozpoczynamy terapię indywidualną. Niech pani przyjdzie do mojego gabinetu o piętnastej, porozmawiamy sobie.

To dobry znak, myślę. Przecież chcę z kimś porozmawiać. Choć tak trudno mi się otworzyć, tak trudno ubrać w słowa to, co czuję, mam jednak potrzebę wyrzucenia tego z siebie.

5. System obronny

Gabinet psychologa znajduje się na parterze. Podłużny pokój z biurkiem i fotelami wygląda jak biuro. Na ścianie wiszą zdjęcia kobiety z niemowlęciem. Siadamy przy maleńkim stolczku, na którym leży talerzyk z ciastkami. Barbiana mnie częstuje. Obok słodczy czeka paczka chusteczek higienicznych. To pewnie przewencyjnie. Ale na pewno się nie rozbeczę, ja nie z takich. Trochę się boję. Nie lubię wybebeszania — a właśnie tak kojarzy mi się psychoterapia. Nigdy jej nie przechodziłam, więc nie wiem, czego się spodziewać. Barbiana bierze notes i uśmiecha się do mnie przyjaźnie. Ma może trzydzieści pięć lat. Te zdjęcia na ścianie przedstawiają pewnie jego żonę. Następny farciarz, którego bym rozwaliła kałachem. Bo nikt nie ma prawa być szczęśliwy, jeśli ja nie jestem. Wiem, to egoistyczne, ale co z tego? Świat jest brutalny, nie ma sentymentów. Nade mną nikt się nie pochyli, zresztą nawet bym tego nie chciała. Dlaczego więc miałabym się nad kimś litować? Taki dupek, ma dobrą pracę, w domu czeka żonka, skończył studia, sam cukier i miód. Nienawidzę takich ludzi. Wyprasowana koszulka, ogolona gębusia, aż się rzygać chce. Co on może wiedzieć? Nie ma pojęcia, przez co przechodzę. Ale czy mi się podoba, czy nie, muszę się na niego zdać. On ma mi pomóc. Ma machnąć czarodziejską różdżką i sprawić, że moje problemy znikną.

— Jak się pani dzisiaj czuje?

— Tak jak zawsze. Beznadziejnie.

— Może pani sprecyzować?

Nie wiem, co odpowiedzieć. Jak się właściwie czuję? Gdybym miała przedstawić na rysunku moje emocje, to namalowałabym bagno. I błoto. Czarne i smoliste. Jak to ubrać w słowa?

Barbiana widzi moje zmieszanie.

— Co takiego jest beznadziejne?

— Wszystko. Wszystko jest bez sensu. Wie pan, ja nie jestem dobra w gadaniu.

Zdecydowanie lepiej wychodzi mi pisanie.

— Pani się tu zgłosiła sama? — Notuje coś w zeszycie.

— Tak.

— Co panią do tego skłoniło?

— Poczucie, że to ostatnia szansa.

— Na co?

Zastanawiam się.

— Na życie. Ostatnie tygodnie spędziłam w łóżku. W końcu stanęłam przed wyborem: albo sobie palnę w łeb, albo pozwolę sobie pomóc. Wiedziałam już, że sama sobie nie poradzę. I oto jestem.

Opowiadam mu, jak wyglądały ostatnie miesiące mojego życia. Słucha i nie przerywa. Podoba mi się, że umie słuchać. Kiedy kończę, zapisuje coś i pyta:

— Więc stany depresyjne pojawiły się latem? Czy były poprzedzone jakimś ważniejszym wydarzeniem?

— Tak i nie. W marcu zostawił mnie chłopak.

— Niech mi pani o tym opowie.

— Powiedział, że odchodzi. Nie będę snuć historii naszego związku, to nie ma znaczenia.

Ważne było to, co stało się po zerwaniu. Poszłam do domu. Nie płakałam. Choć czułam, jak serce pęka mi na pół, nie uroniłam ani jednej łzy. Całą noc myślałam. Poszłam spać o piątej nad

ranem. Obudziłam się o dziewiątej i byłam innym człowiekiem. Czułam niesamowity przypływ sił, chciało mi się śmiać i tańczyć. To, co się stało, nie miało już żadnego znaczenia. Mogłam przenosić góry.

— Ile czasu ten stan się utrzymał?

— Jakieś dwa miesiące.

— Proszę opowiedzieć, jak te dwa miesiące wyglądały.

Biorę głęboki oddech.

— Najpierw zapominałam o jedzeniu. Po prostu nie czułam łaknienia. I dopiero po tygodniu przypomniałam sobie, że przez ten czas nie miałam nic w ustach. Potem jadłam już tylko z rozsądku, może dwie kanapki dziennie. Za to piłam jak szalona, bynajmniej nie wodę. Pochłaniałam jak na mnie ogromne ilości alkoholu. Butelkę wina i kilka piw dziennie. Ale nie upijałam się. To zadziwiające, ja właściwie mam słabą głowę, a byłam zupełnie trzeźwa.

— Bo w czasie ataków manii może się bardzo podnieść poziom adrenaliny. Pewnie dlatego nie czuła pani upojenia. Proszę kontynuować.

— Potrafiłam iść do pracy po całej butelce wina, przechodziło mi przez ręce tysiące euro i nawet nie miałam manka w kasie. Byłam rozpromieniona, nawet moja twarz wyglądała inaczej. Nie rozpoznawałam się w lusterku. Tańczyłam, śpiewałam, pisałam opowiadania w mistrzowskim tempie. Czułam się niezwykle kreatywna. Podrywałam obcych facetów, co też było niebywale, bo jestem nieśmiała. Nigdy w życiu nie byłam tak pewna siebie. Nie potrzebowałam nikogo, byłam samowystarczalna. Przez pierwszy tydzień prawie wcale nie spałam, potem góra po trzy godziny dziennie. Nie, nie byłam senna, tryskałam energią. To było niesamowite. Tęsknię za tym stanem. Tak powinno być zawsze. W końcu koledzy z pracy coś zauważyli. Pytali, czemu się tak zmieniłam, czy się czasem nie zakochałam. Była też jednak druga strona medalu — zrobiłam się bardzo kłótniwa, wręcz awanturnicza. Szef poprosił mnie na rozmowę. Pytał, czy biorę narkotyki.

— Czy czuła pani przymus, by wykonywać jakieś czynności, na przykład robić zakupy?

— Nie.

— To mogę panią pocieszyć: jest pani wyjątkiem, tak bardzo często objawia się bowiem mania. Ludzie wpadają w szal kupowania, potem euforia mija i budzą się bez grosza i z długami. Niektórzy mają tak silne ataki choroby, że nie potrafią nawet powiedzieć, jak się nazywają. Mania to rodzaj psychozy o różnym nasileniu. Zazwyczaj z wiekiem jest coraz gorzej.

— Czy to znaczy, że kiedyś też mogę wpaść w szal zakupów?

— Jeśli będzie pani brała leki, to do tego nie dojdzie. Czy takie euforyczne fazy zdarzały się pani wcześniej?

— Wie pan, nigdy nie zdawałam sobie z tego sprawy, ale teraz, jak pomyślę... Pierwszy raz przytrafiło mi się przed maturą. Wtedy też rozczarował mnie chłopak. Ale to uczucie nie było tak silne jak ostatnio. Miałam dużo energii i wykorzystywałam ją do nauki. Nie byłam nigdy dobrą uczennicą, miałam tylko piątki z polskiego i z historii, reszta mierne i tróje. Ale na kilka tygodni przed maturą miałam taki przypływ energii, że uczyłam się dzień i noc. W efekcie zdałam na samych piątkach. Ten stan powrócił dwa lata później, kiedy byłam już w Strasburgu.

— Była pani w Strasburgu?

— Tak, jeszcze przed studiami. Mieszkałam tam trzy lata. I poznałam mojego pierwszego chłopaka. Po roku znajomości mnie zdradził. Dowiedziałam się o tym i znów na drugi dzień byłam jak nowa — wpadłam w euforię, jak to pan określa. Przyszedł wtedy do mnie. Pobiłam go, i to nie otwartą ręką, tylko pięściami, choć z natury nie jestem agresywna. Klęłam przy tym jak szewc, rzucałam przedmiotami, a na koniec wywaliłam go z domu. I znowu miałam to poczucie, że nikogo nie potrzebuję. Ale zeszlóroczna euforia przebiła intensywnością poprzednie.

— I tu potwierdza się to, co pani powiedziałem. Z wiekiem choroba się pogłębia. Niech pani sobie spróbuje przypomnieć, jak się pani czuła po ustąpieniu euforii.

— Początkowo dziwnie, tak jakoś apatycznie. Niby normalnie, ale jak pusta lalka pozbawiona emocji. A potem, z tego, co pamiętam, następowała depresja.

— Zastanawia mnie to, że atak manii w pani przypadku zawsze wywoływało rozczarowanie miłosne. Możliwe, że podświadomie zbudowała pani taki system obronny.

— Tak pan myśli? To co, mam się nigdy więcej nie zakochać?

— Tego nie powiedziałem. Odpowiedzią są leki i terapia.

Leki i terapia. To brzmi tak prosto. Resztę dnia nie mogę myśleć o niczym innym. Czy to możliwe, że sama wzniosłam taki mur, by uchronić się przed zranieniem?

6. Jak małe dziecko

Po początkowej fazie przerażenia i strachu przed pacjentami zaczynam powoli poznawać ludzi. Wszyscy są bardzo mili. Spotykamy się głównie w palarni, dobrą okazją do zbliżenia są też zajęcia terapeutyczne.

Jedną z osób, które poznaję najwcześniej, jest Jakob. Już pierwszego dnia wprowadza mnie w tajemnice oddziału. Pokazuje, gdzie i kiedy można dostać kawę i ciasteczka, opowiada o pielęgniarkach. Jest tu dwa miesiące, ma depresję. Mężczyzna ma ponad siedemdziesiątkę, mógłby być moim dziadkiem, ale proponuje mi przejście na „ty”. Jest samotny, żona zostawiła go, gdy zaczęły się problemy zdrowotne.

— Nie wytrzymała moich dołów — mówi i poprawia siwe włosy.

Jakob dostaje silne leki uspokajające. Mówi wolno, czasem w pół zdania zapomina, co chciał powiedzieć. Momentami mam wrażenie, że odlatuje gdzieś w swój świat, jest nieobecny.

— Jak będziesz czegoś potrzebowała, możesz zawsze do mnie przyjść — twierdzi.

Anke jest niewiele starsza ode mnie. Wciąż się uśmiecha, ale jej oczy błyszczą od łez. Ma rodzinę, jest dekoratorką wnętrz. W szpitalu przebywa od miesiąca, cierpi na to samo, co ja.

Christine ma rewelacyjne poczucie humoru. Kiedy jest w palarni, można być pewnym, że będzie dużo śmiechu. Jest napuchnięta od leków. Łyka dwadzieścia dwie tabletki dziennie. Opowiada mi o swojej psychozie — słyszy głos. Ma on nad nią władzę, dyktuje, co ma robić. Jeśli głos powie: „Nie jedz”, Christine nawet przez tydzień nie weźmie nic do ust. Jeśli głos powie: „Potnij się”, Christine weźmie żyłkę i zrobi sobie sznyty. Pokazuje mi stare blizny. Ma je na całym ciele, jedną przy drugiej, okropny widok. Jej matka leży w budynku obok, w hospicjum, w ostatnim stadium raka. Ale Christine się śmieje, zdrowo i zaraźliwie. Początkowo głównym tematem jej żartów jest moja nieporadność — wypomina mi, jaka byłam przerażona w pierwszych dniach. Nikomu nie mówiłam nawet dzień dobry, teraz mi wstydz.

— Myślałaś, że trafiłaś do czubków, nie? — pyta. — Nie pomyliłaś się. Ale jeśli myślisz, że my jesteśmy świrami, to powinnaś zobaczyć osiemnastkę, tam się dopiero dzieje!

— Bogu dzięki, że mnie dali tu — odpowiadam. — Byłaś tam, na osiemnastce?

— Byłam raz, przez dwa tygodnie. Siedziałam w akwarium.

— Słyszałam o akwarium, ale co to właściwie jest?

— To jest pokój połączony oknem z dyżurką. Przy tym oknie cały czas siedzi pielęgniarka i cię obserwuje. Nie dadzą ci nawet iść samej do ubikacji. Siedzi i gapi się dzień i noc. Można szalu dostać.

— Co zrobiłaś, że cię tam zamknęli?

— Jak chcesz się tam znaleźć, to nic prostszego. Wystarczy, że dasz komuś w zęby, najlepiej samemu lekarzowi.

Jej żarty są gorzkie, choć zabawne. Bije od niej gorycz.

— Serio kogoś pobiłaś? — Patrzę na nią i nie wydaje mi się, żeby była do tego zdolna.

— Nie, nie pobiłam. Ale mój głos kazał mi wybić okno w palarni. Waliłam krzesłem w szybę, która się oczywiście nie rozbiła, bo tu wszystkie okna są pancerne. Rzucili się na mnie, założyli mi pasy i dali zastrzyk w tyłek. Coś uspakajającego, ale tak silnego, że kompletnie odleciałam. Nie ma nic gorszego niż obudzić się na drugi dzień w pasach. Nie możesz się ruszyć. Sikać ci się chce, ale nie możesz wstać. Poza tym na osiemnastce są po prostu czubki. Trafiają tam też na obserwację kryminaliści albo ludzie, którzy nadają się tylko do zakładu zamkniętego, ale jak chwilowo nie ma w nim miejsca, to ładują ich na osiemnastkę.

— Dlaczego właściwie trafiłaś na ten oddział?

— To długa historia. Było lato, pojechałam z rodziną na piknik na kemping. Poszłam do ubikacji i mój głos się odezwał, kazał mi się pociąć. Stłukłam więc lustro i pocięłam sobie nogi i ręce. Całe ciuchy miałam we krwi, więc je ściągnęłam. Przyszedł mój brat, zobaczył mnie w tym stanie i pyta: „Co się stało!?”. A ja jak gdyby nigdy nic wypaliłam: „Okres dostałam”.

Zaczęłyśmy się śmiać. Christine swoim makabrycznym opowieściom zawsze potrafiła nadać nutkę czarnego humoru.

Unikam Marisy. Jest despotyczna i nie daje nikomu dojść do słowa. Wszystko wie lepiej. To ona uczy mnie robić na drutach, komentując przy tym, że jestem niepojętna. Marisa ma w brzuchu wielką gałą. Pokazuje mi ją — koło pępka wystaje gruby guz, wygląda to tak, jakby miała coś w środku. Mówi, że przeszła operację i lekarze zapomnieli wyjąć jej ze środka jakieś narzędzie. Jest tak przekonująca, że od razu jej wierzę. Od innych pacjentów dowiaduję się, że Marisa ma urojenia. W jej brzuchu nic nie ma — ale ona tak mocno uwierzyła w historię z zapomnianym instrumentem, że urósł jej ten guz. Podobno są kobiety, które uroją sobie ciążę i faktycznie dostają brzucha. Siła autosugestii jest tajemniczym zjawiskiem.

Jest jeden pacjent, który wciąż mnie obserwuje w bardzo nietaktowny sposób. Po prostu gapi się jak sroka w gnat. Potrafi usiąść naprzeciw mnie przy posiłku i przez cały czas nie spuszczać ze mnie wzroku. Uwe ma schizofrenię. Jest fotografem, jego piękne zdjęcia wiszą na korytarzach. Od kiedy się rozchorował, nie może wykonywać zawodu, bo trzęsą mu się ręce. Pewnego dnia siedzę w jadalni, w której znajduje się też telewizor i kanapy. Robię szal. Uwe siada koło mnie i zaczyna się gapić. Nie wytrzymuję:

— Możesz przestać?

— Co przestać?

— Przyglądać mi się.

— Jesteś piękna, więc patrzę.

O cholera, spadam stąd! Zbieram wełnę i uciekam, nie odpowiadając. Niepotrzebny mi amant czubek, jeszcze coś mi zrobi.

Po ostatnim obchodzie próbuję przestudiować wydruk na temat treviloru, który dostałam od lekarza. Cztery strony o składzie, działaniu i skutkach ubocznych. Na ostatniej kartce widnieje miejsce na mój podpis. Nie dostanę leku, dopóki go nie złożę. Kilka razy biorę się za lekturę, ale nie mogę się skoncentrować. Kiedyś dużo czytałam, teraz nie mogę przebrnąć nawet przez jedną stronę. Moje oczy śledzą tekst, ale myśli za nim nie nadążają. Nie wiem, o co chodzi. Czuję się głupia i nieudolna. W końcu podpisuję dokument bez zapoznania się z treścią, wszystko jedno, chcę wreszcie dostać lek.

Pierwsze tabletki nie przynoszą żadnych zmian. Trzeciego dnia czuję się za to nagle dużo gorzej. Coś mnie ciśnie od środka. Chce mi się płakać, mam poczucie kompletnej beznadziei. W trakcie kolacji wybucham histerycznym płaczem. Szlocham głośno jak małe dziecko, bez powodu, nie mogę się powstrzymać. Czuję, jak żołądek podchodzi mi do gardła i łyzy same cisną mi się do oczu. Uciekam z jadalni, nie chcę, żeby mnie tak widziano. Moja sąsiadka przybiega za mną. Chce mnie pocieszyć, próbuje mnie przytulić. Wpadam w panikę, odpycham ją. Przecież ona niedługo umrze, jest taka stara, to już prawie trup, niech mnie nie dotyka! Do pokoju wpada pielęgniarka, akurat w momencie, kiedy odpycham Hannę. Przesadziłam — staruszka aż się zatoczyła. Nie mogę się uspokoić, już nie płaczę, lecz wyję, jakby mnie ze skóry obdzierali. Siostra wychodzi, po kilku minutach wraca ze strzykawką. Poddaję się, wszystko staje mi się obojętne. Po kilku sekundach się wyciszam. Zaczyna mi się kręcić w głowie. Czuję, jak moje ręce i nogi robią się ciężkie, z każdą minutą coraz bardziej, w końcu zamieniają się w ołów. Nie mogę się ruszyć. Opadam na łóżko i natychmiast usypiam.

7. Osiemdziesiąt procent energii

Czwartek, kolejna terapia indywidualna. Barbiana uśmiecha się do mnie i mimo uprzedzenia, które wcześniej wobec niego czułam, teraz myślę, że to sympatyczny człowiek.

— Pani Serafin, proszę mi powiedzieć, skąd biorą się pani myśli samobójcze?

Zaskoczył mnie.

— Trudno powiedzieć, sama bym to chciała wiedzieć. Po prostu przychodzi taki moment, że czuję, że już nie mam siły. Nie jestem w stanie dalej walczyć. Często wydaje mi się, że śmierć jest jedynym rozwiązaniem moich problemów.

— To nie jest rozwiązanie, to ucieczka.

— Może i tak, co za różnica.

Cisza. Psycholog chyba oczekuje, że rozwinę swą myśl, ale ja nie mam ochoty się w to zagłębiać.

— Jak wyglądało pani dzieciństwo?

Typowe, myślę. Będzie szukał przyczyny stanu, w jakim się znalazłam, w moim dzieciństwie. I może wcale się nie myli?

— Całkiem niedawno zdałam sobie z czegoś sprawę. Nie czułam się w dzieciństwie kochana. Nie mówię, że nie byłam kochana, ale nie czułam tego. Sądzę, że potrzebowałam więcej uwagi, niż dostałam.

— Możliwe, że była pani bardziej wrażliwa, a rodzice nie obdarowali pani uczuciami, jakich pani potrzebowała.

— Moja mama zawsze sprowadzała mnie na ziemię. Udupiała mnie. Jej ulubionym powiedzeniem było: „Jesteś głupia”. To było odpowiedzią na wszystko, zwłaszcza na moje pytania, kiedy nie miała czasu. Czasem chciałam z nią po prostu pogadać, opowiedzieć na przykład, co działo się w przedszkolu, a ona mówiła: „Nie zwracaj mi głowy, jesteś głupia”. Mam do niej żal, bo przez to całe życie czuję się głupia. Przecież była dla mnie najwyższym autorytetem — jeśli mówiła, że jestem głupia, to jej wierzyłam. Dzisiaj wciąż się łapię na tym, że sama też tak myślę. Weźmy na przykład języki. Mówię po niemiecku, hiszpańsku, francusku i polsku. Skupmy się na niemieckim, bo ten znam najlepiej wśród języków obcych. Uczę się go od kilkunastu lat, mówię perfekcyjnie.

— Tak — przerwał mi. — Jestem wręcz zszokowany, że pani tak dobrze go opanowała. Mam kilku znajomych Polaków, oni nie mówią po niemiecku tak dobrze jak pani.

— Dziękuję. Ale widzi pan, ja cały czas myślę, że ten mój niemiecki jest do dupy, że mogłabym mówić lepiej, wydaje mi się, że za mało się przykładam. Ostatnio w sklepie, gdzie pracuję, miałam klienta, który mnie spytał, czy jestem Austriaczką. Przecież to rewelacyjny komplement, myślał, że niemiecki jest dla mnie językiem ojczystym! Czułam się świetnie. Ale na drugi dzień spotkałam dziewczynę, Polkę, która mówiła co najmniej tak dobrze jak ja, choć mnie się zdawało, że lepiej. Porównywałam się z nią i oczywiście czułam się gorsza, głupsza.

— Czyli porównuje się pani z tymi, którzy według pani znajdują się wyżej?

— Tak, zawsze patrzę w górę. Moja mama jeszcze dziś powtarza mi, że jestem głupia. Tak samo traktowała zresztą moje rodzeństwo i do ojca również się tak zwraca. Kiedyś, jak byłam w domu, spytałam tatę w obecności mamy, dlaczego jej na to pozwala. Przecież to jego żona, powinna go szanować, a nie wyzywać od głupków. Ojciec się nie odezwał, a mama skwitowała, że przecież to nie na poważnie.

— Coś mi się zdaje, że pani z nią walczy.

— Możliwe. Chcę tylko, żeby przyznała się do błędu i uznała, że popełniła błędy wychowawcze. Ale nic z tego, ona uważa się za nieomylną. Ma się za idealną matkę. Często powtarza, że nie ma sobie nic do zarzucenia. A ja tylko chcę, żeby się przyznała.

— Ale ona nie może tego zrobić.

— Dlaczego?

— Bo to by zdeintegrowało jej osobowość. Ona to wyparła.

— Tak pan sądzi? Czyli ma tego świadomość, ale odsuwa ją od siebie?

— Tak, w ten sposób działa jej system obronny.

— Ja od wczesnego dzieciństwa trzymałam się na uboczu. Byłam taką Zosią Samosią. Jeśli dzieci w przedszkolu mnie zawołały do siebie, to podchodziłam chętnie, jeśli nie, nie miałam z tym problemu. Potrafiłam się sama sobą zająć, wyobraźni mi nie brakowało. Dzieci jednak raczej nie chciały się ze mną bawić. Byłam pulpetem, śmiały się ze mnie. Mój tato był milicjantem, pracował zaraz obok przedszkola, często przychodził na chwilę, gdy byliśmy w ogródku, i podawał mi cukierki przez siatkę. Zauważyłam, że inne dzieci mi zazdroszczą. Któregoś dnia tato podjechał pod ogrodzenie radiowozem. Zabrał mnie do środka i specjalnie dla mnie włączył syrenę. Cała ta historia nie podobała mi się, tata nie rozumiał, że jestem dziewczyną i nie interesuje mnie auto. Ale... dzieciaki dosłownie wisiały na siatce z otwartymi buziami, zazdrościli mi zwłaszcza chłopcy. Zaczęło mi się to podobać.

Barbian zaśmiał się.

— Chyba wtedy błysnęła pani po raz pierwszy w życiu, prawda?

— Tak, możliwe. Od kiedy tylko pamiętam, byłam bardzo bojaźliwym dzieckiem.

Bezkrzytycznie we wszystko wierzyłam i bałam się wielu rzeczy. Pewnego dnia koleżanki z przedszkola powiedziały mi, że z jakiegoś powodu wychowawczyni mnie skrzyczy. Wymyśliły to, ale ja wpadłam w panikę. Ani się obejrzałam, a znalazłam się na ulicy — główne drzwi były otwarte, nikt nie zauważył mojej ucieczki. Miałam pięć lat, lecz nie przejmowałam się faktem, że jestem sama na ulicy, a do domu daleko. Wiedziałam, co zrobię — chciałam pójść do taty do pracy, przecież to było tuż obok. Wpadłam do dyżurki — i dowiedziałam się, że ojca już nie ma. Niech pan wierzy lub nie, ale milicjanci mnie nie zatrzymali i pozwolili odejść. Znów wylądowałam na ulicy. Nie wiedziałam, jak dojść do domu. Zaczęłam płakać — na szczęście z oddali zobaczyłam, że moja siostra idzie do przedszkola, by mnie odebrać. Aśka zmusiła mnie do przeproszenia przedszkolank, wszystkie dzieci się ze mnie śmiały, wychowawczyni wrzeszczała. Nie był to jedyny raz, kiedy uciekłam. Sytuacja powtórzyła się w pierwszej klasie. Tak bardzo bałam się nauczycielki, że zaczęłam wagarować. Nie robiłam tego świadomie, ba, nawet nie znałam słowa „wagary”. Trwało to trzy tygodnie, chodziłam po sklepach, była na szczęście wiosna, bo spędzałam pół dnia na dworze. Rodzice nic nie zauważyli. Kiedy się dziś nad tym zastanawiam, nie mogę pojąć, jak mogli tego nie dostrzec. Przecież dziecku sprawdza się zeszyty, prace domowe... Mnie nikt nic nie sprawdzał. Kiedy wszystko się wydało, uciekłam z domu. Dostałam wtedy pierwsze w życiu porządne lanie pasem.

— Potwierdza się to, o czym mówiliśmy wcześniej: prawdopodobnie była pani najbardziej wrażliwa z rodzeństwa i dlatego tak reagowała.

— Mama w tym czasie wciąż jeździła na handel na Węgry — ciągnę. — Nie było jej w domu, taty też nie, większość czasu spędzała w pracy. Siedziałam w domu ze starszym rodzeństwem — siostrą i braćmi. Kiedy myślę o mamie, jaką pamiętam z wczesnego dzieciństwa, widzę zdenerwowaną, ciągle zajęłą kobietę. Nie pytała mnie, co w szkole ani o nic innego. Interesowało ją tylko to, że byłam za gruba. Raz zabrała mnie ze sobą do pracy — była przedszkolanką. Obserwowałam ją i nie mogłam rozpoznać. Była miła, śmiała się, dzieciaki ją uwielbiały. Czy to na pewno moja mama? Dlaczego nie była taka dla nas, tylko dla obcych

dzieci? O wspólnej zabawie nie było mowy, co to jest bajka na dobranoc dowiedziałam się dopiero w szkole, od koleżanek.

— Pani Serafin, pani z nią walczy, coraz wyraźniej to widzę. W tym, jak pani o niej mówi, jest wiele złości, żalu. Podejrzewam, że traci pani w ten sposób jakieś osiemdziesiąt procent energii. I potem pani już nie ma siły, żeby pokonywać własne problemy. Stąd biorą się myśli samobójcze.

Jestem zaskoczona.

— Tak pan myśli? Ale ona jest przecież daleko, tysiąc dwieście kilometrów stąd.

— Nie szkodzi, matka wciąż tkwi w pani głowie. To tak, jakby była obok. Po wyjściu ze szpitala powinna pani iść na terapię, porozmawiać o tym z kimś, poukładać to sobie, uporządkować swój stosunek do matki.

— Przecież rozmawiam z panem.

— Tak, możemy sobie podyskutować, ale terapia w warunkach szpitalnych jest tylko doraźna, porządna terapia natomiast może trwać nawet do dwóch lat.

— Mam dwa lata gadać o mojej matce?

— To pomoże pani się do niej zdystansować. Pani musi zacząć przeżywać swoje życie bez niej. Aktualnie cokolwiek by pani nie robiła, ona zawsze jest obok.

— W grudniu byłam u jednego psychiatry. Rozmawialiśmy też o mojej mamie i stwierdził, że będę taką samą matką jak ona. Myślałam, że szlag mnie trafi. Na pewno nie będę taka. Moje dzieci będą miały ciepły, pełen miłości dom. Ale on uważał, że będę powielala wzorzec mojej matki, bo innego przykładu nie znam.

— To jest możliwe, ale da się tego uniknąć.

— Mam wizję kochającej rodziny i dobrego domu, i...

— Tak, ma pani taką wizję, ale musi się pani pogodzić z tym, że nie jest to obraz pani własnego domu z dzieciństwa. Pani z tym walczy, chce to zmienić, ale tego już się nie da odwrócić.

— Czyli będę miała ten dom dopiero w przeszłości.

— Tego pani życzę. A niech pani powie, jak to wygląda w tej chwili? Czy mama wie o pani problemach? Wie, że jest pani w szpitalu?

— Wie, powiedziała jej. Ale nie wie, że jestem na psychiatrii, bo nie miałam odwagi jej tego wyznać.

— Czego się pani boi? Boi się pani, że znowu rzuci: „Jesteś głupia”?

— Nie wiem, czego się boję.

— Sądzę, że powinna jej pani powiedzieć. Na dzisiaj to wszystko, spotkamy się w poniedziałek.

8. Psychotropy

Na drugi dzień znów kolej na obchód. Odbywa się on tylko dwa razy w tygodniu, nie ma potrzeby, by miał miejsce częściej — ludzie psychicznie chorzy nie robią tak szybko postępów. Lekarz pyta, dlaczego wybuchnęłam płaczem przy kolacji. Najgorsze jest to, że nie opuściło mnie uczucie kompletnej beznadziei. Znowu we mnie wzbiera, jestem gotowa w każdej chwili mu się poddać. Mówię o tym ordynatorowi. Mam pretensje, przecież biorę leki, dlaczego czuję się gorzej? Schmitz orzeka, że dostanę coś na uspokojenie. Lek nazywa się tavor. Ostrzega, że choć po nim poczuję się lepiej, to będę otrzymywać go tylko kilka dni, bo specyfik jest silnie uzależniający. Potem dowiem się, że tavor jest medykamentem z grupy barbituranów, podaje się go tylko w warunkach szpitalnych, pod nadzorem. No to się doigrałam, zaczyna się faszeringowanie psychotropami.

Szybko okazuje się, że ten lek zwala mnie z nóg. Dostaję go dwa razy dziennie. Pierwsze dwie godziny po zażyciu nie nadaję się do niczego. Jestem apatyczna i czuję się jak manekin. Zaczynam rozumieć, jak działa tavor — wywołuje zubożenie, tłumi wszelkie emocje. Niestety powoduje też problemy z koncentracją i otępienie. Pewnego dnia odwiedza mnie szefowa. Właśnie dostałam kolejną dawkę. Nie jestem w stanie prowadzić rozmowy, nie nadążam za jej słowami. Proszę ją o wymianę pieniędzy na drobne — na oddziale jest automat z papierosami. Podaje mi kilka monet.

— Przelicz — mówi. Patrząc na monety w otwartej dłoni, jest ich ledwie kilka. Nie mogę ich policzyć. Znam doskonale walutę euro, w końcu od czterech lat pracuję jako kasjerka, ale teraz nie potrafię powiedzieć, jaką sumę trzymam w ręku. Nie mogę wykonać prostego rachunku. Cornelia patrzy na mnie i domyśla się, co się ze mną dzieje. Mówi, że to samo przeszła ze swoim mężem i to minie. Przytula mnie.

Kiedy mija otępienie, idę na osiemnastkę kupić papierosy. Tylko tam w całym budynku jest automat. Drzwi wejściowe zamknięte, trzeba dzwonić. Muszę przejść przez cały oddział dla czubków. Maszeruję szybkim krokiem, czuję się, jakbym weszła do klatki lwa. W palarni, gdzie stoi automat, na szczęście nikogo nie ma. Szybko uciekam z tego okropnego miejsca. Przechodząc koło dyżurki, widzę przez okno w ścianie akwarium. Więc tak to wygląda. Jak dobrze, że jestem na oddziale dla łagodnych przypadków, gdyby umieszczono mnie tutaj, to dopiero bym wpadła w dół.

Przez kolejne dni czuję się fatalnie, tułam się bez celu po oddziale. Po czterech dobach lekarz odstawia mi tavor. Znowu wszystko dociera do mnie jasno i wyraźnie, rzeczywistość ponownie zaczyna boleć. Już bym wolała cały czas być otumaniona lekami. Choć właśnie tego najbardziej się początkowo obawiałam, teraz jest mi to obojętne. Każda myśl przeszywa mnie na wskroś, każdy ruch sprawia mi wewnętrzny ból. Moje ciało krzyczy, jestem wyczerpana i złamana. Czuję się mała i nieistotna. Często przychodzi mi do głowy, że na to zasłużyłam. Zrobiłam w życiu wiele złego. Możliwe też, że jest to kara za coś, co dopiero uczynię w przyszłości. Jestem przekonana, że moja udręka się nie skończy. Tak już będzie zawsze, nigdy nie będę miała normalnego życia. Moje siły nikną w oczach. Nadzieja, którą początkowo żywiłam, kurczy się w zastraszającym tempie.

Wciąż boję się opuszczać szpital. Lekarz namawia mnie na spacer po mieście. Ale ja czuję się tu bezpiecznie — wydaje mi się to tak absurdalne, że aż sama nie mogę w to uwierzyć. Patrząc na pacjentów, mam wrażenie, że wiedzą, przez co przechodzę. Nie muszę się starać, nie muszę udawać, że wszystko jest w porządku. Nie muszę odpowiadać na głupie pytania, nikt nie

powie, że mam się wziąć w garść. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

Pewnego dnia, tuż po obiedzie, jestem świadkiem okropnej sceny. Jedna z pacjentek, która ma zakaz wychodzenia z powodu zagrożenia samobójstwem, potajemnie zabiera widelec ze stołu. W korytarzu, tuż przed moimi oczami, wbija go sobie w tętnicę szyjną. Musiała dobrze trafić, bo krew sika na ścianę i spływa po niej, tworząc szybko na podłodze wielką kałużę. Biegnę do dzwonka, ale nikt nie przychodzi, pielęgniarki się ociągają. Moją następną reakcją jest ucieczka. Dzwonię jeszcze raz i biegnę do mojego pokoju. Dlaczego mam patrzeć na takie rzeczy? Jestem roztrzęsiona. Potem dowiem się, że ją uratowano. Trafiła oczywiście na osiemnastkę. To zdarzenie jeszcze bardziej utwierdza mnie w przekonaniu, że wszystko może mieć tylko jedno zakończenie, jedynie sama mogę zakończyć to cierpienie. Siedzę godzinami na łóżku i patrzę tępo w ścianę.

Chwilowo jestem sama w pokoju. Hanna nagle ozdrowiała i została wypisana. Z dnia na dzień zaczęła wstawać, nawiązywać kontakty z pacjentami, śmiać się i biegać wręcz po oddziale. Powiedziała, że leki w końcu zadziałały. Była gotowa dalej żyć. Nie potrafiłam się z nią cieszyć.

Pewnego dnia nagle zaczyna mnie bardzo boleć brzuch. Po kilku godzinach dochodzą do tego ostre wymioty i biegunka. Dzwonię po pielęgniarkę, ale ta ignoruje mnie, mówi, że pewnie się czymś strułam. Późnym wieczorem mam gorączkę czterdzieści stopni i praktycznie nie wychodzę już z ubikacji. Siostra nadal nie wzywa lekarza. Przychodzi do mnie młody pielęgniarz, chce umyć i zdezynfekować toaletę. Siłą rzeczy idę do pokoju. Jestem tak słaba, że muszę się trzymać poręczy łóżka, bo czuję, że upadnę. Po chwili wymiotuję na podłogę i mam pełne spodnie. Zaczynam płakać. To nie może być prawda, jeszcze tego mi brakowało. Czym sobie na to wszystko zasłużyłam? Pielęgniarz wychodzi z ubikacji:

— Co się stało?

Zaciskam zęby i przez łzy wyduszam:

— Narobiłam w spodnie.

— Zaraz przyjdzie lekarz, tymczasem zaprowadzę panią pod prysznic i pomogę się umyć.

Jeszcze czego. I tak już jestem nieludzko upokorzona, jeszcze mi trzeba, żeby mnie dwudziestoletni pielęgniarz podmywał.

Lekarz dociera do mnie dopiero po godzinie. Daje mi czopek. Jestem wściekła, przecież go w sobie nie utrzymam. Odmawiam. Dostaję tabletkę na powstrzymanie biegunki, ale natychmiast ją zwracam. W końcu po wielu godzinach męczarni torsje ustępują. Doktor chce mnie zbadać, ale nie mam siły wstać z łóżka. Jestem odwodniona, bardzo chce mi się pić. Proszę siostrę o wodę. Nie dostaję jej, mówi, że muszę dać odpocząć żołądkowi.

Następnego dnia odzyskuję trochę siły i przy obchodzie urządzam awanturę. Jestem więcej niż rozczarowana nieludzkim traktowaniem mnie przez personel. Ordynator przyznaje mi rację i przeprosza. Po tym zdarzeniu na oddziale wybucha epidemia grypy żołądkowej. Nie wolno mi opuszczać pokoju, żeby nie roznieść wirusa, siedzę więc sama jak palec.

Któregoś wieczoru dzwoni mama:

— Jak tam córciu?

— Źle, te leki wcale mi nie pomagają. Czuję się coraz gorzej.

— A co mówią lekarze?

— Od nich ciężko się czegokolwiek dowiedzieć. Mówią, że leki zaczną działać za trzy tygodnie. Chodzę na terapię do psychologa.

— Stary czy młody?

— Młody.

— To może nie ma doświadczenia?

— Nie aż taki młody, trzydzieści pięć lat będzie miał.

— Janek dzwonił, odwiedzi cię w przyszłym tygodniu. Powiedz dokładnie, na jakim jesteś oddziale. Na neurologii, tak?

Wpadam w panikę. Mama od początku tak myślała; nie miałam wyboru, musiałam ją okłamać.

— Tak, na neurologii. Ale Janek niech nie przyjeżdża, po co on mi tu?

— Jak to? Niech cię odwiedzi, przecież jesteś tam sama.

— Była u mnie raz szefowa.

— Powiedz dokładnie, jak dostać się na ten oddział, bo Janek nie zna niemieckiego, nie dogada się — nie ustępuje matka.

— Nie, mamó, niech nie przyjeżdża...

Następuje długa cisza.

— Marlena? — zaczyna powoli — rozmawiałam z moim lekarzem o tobie i o tym, że jesteś w szpitalu. Powiedział, że depresji nie leczy się na neurologii. Nie jesteś czasem na psychiatrii?

Wybucham płaczem do słuchawki. Wszystko jest już jasne, nie ma sensu zaprzeczać.

9. Dziewczynka z balonikami

— Jak się pani dzisiaj czuje? Jest pani u nas już dwa tygodnie. Coś się zmieniło przez ten czas? — Barbiana mówi do mnie jak zwykle łagodnie.

— Na pewno nie na lepsze. Wciąż czuję się beznadziejnie. Rozmawiałam z mamą, domyśliła się, że jestem na psychiatrii.

— Jak zareagowała?

— Nawet nieźle. Nie rozmawialiśmy wiele na ten temat, ale jej reakcja nie była zła. Nie udupiała mnie.

— To dobrze. Ona na swój sposób panią kocha, tylko prawdopodobnie nie umie tego okazać.

— Wie pan, mam takie jedno wspomnienie: siedzimy wszyscy w dużym pokoju, bracia grają na gitarze, śpiewamy i tańczymy. Mama jest wesoła, roześmiana, wirujemy razem w kółeczku śpiewając *O, Andzelina*. To najpiękniejsze wspomnienie mojego dzieciństwa. Miałam może sześć lat. Chciałabym, żeby tylko ten obraz został mi w pamięci.

— Bo pasuje do pani wizji kochającej się rodziny.

— Opowiem o pewnym zdarzeniu, które może naświetli panu, jakim człowiekiem jest moja mama. Kiedy miałam dwanaście lat, wyjechała do sanatorium. Nie było jej bardzo długo, mieszkałam tylko z tatą. Świetnie się dogadywaliśmy. Dużo rozmawialiśmy. Tata mnie zawsze wspierał, choć potrafił też krzyknąć, ale dobrze wspominam spędzony z nim czas. Ufałam mu. Ale tęskniłam za mamą. Na jej przyjazd chciałam zrobić tort. Tata mi pomógł, cieszyliśmy się oboje na jej powrót. Podróż mamy się jednak przedłużyła i wróciła dzień później. Tort czekał nietknięty w lodówce. Byłam podekscytowana i dumna z mojej pracy. „Mamo, zrobiłam tort!” — krzyknęłam na jej widok. Zachowywała się tak, jakby się wcale nie ucieszyła. „Tak? A gdzie on jest?” „W lodówce, zobacz.” „Zwariowałaś? Chcesz żebym dostała salmonelli? Jest za gorąco na tort, zgłupiałaś do reszty!” Nie ruszyła go, nie zjadła nawet jednego kawałka. Między rodzicami wywiązała się kłótnia, tata wziął moją stronę, krzyczał, że sprawiła mi przykrość. Ale tort zjedliśmy tylko ja i on. I nie zatruliśmy się salmonellą.

— To bardzo przykre, co pani opowiada. I ta historia rzeczywiście daje pewien obraz osobowości pani matki. A teraz niech mi pani opowie, jakie ma pani stosunki z rodzeństwem.

— Mam trójkę rodzeństwa. W dzieciństwie najlepszy kontakt miałam z Jankiem, jest osiem lat starszy ode mnie. Jako mała dziewczynka wciąż powtarzałam, że zostanie moim mężem. Janek bawił się ze mną, prowadził do szkoły i pilnował, kiedy nie było rodziców. Najbardziej lubiłam, kiedy robił mi „pszczołkę Maję” — podnosił do góry i kręcił mnie w powietrzu. Był moim bohaterem. Kiedy miałam siedem lat, Janek uciekł do Francji. Mama wykupiła mu wycieczkę, nikt się nie spodziewał, że nie zobaczymy go przez następne pięć lat. Brat nie kontaktował się z nami, nie wiedzieliśmy nawet, czy żyje. Płakałam, tęskniłam, nie rozumiałam, o co chodzi. Pięć lat później ktoś zadzwonił do drzwi, byłam sama z siostrą. Otworzyłam i w pierwszej chwili nie poznałam mężczyzny z plecakiem. Janek dziś mieszka w Strasburgu. Pomógł mi na początku mojej wędrówki po Europie, zatrzymałam się u niego przez pierwsze miesiące. Dużo mi też pomagał na studiach. Zamierza mnie odwiedzić w tym tygodniu.

— Tu, w szpitalu? To chyba dobrze?

— Pewnie, że dobrze, to miło z jego strony. Ale obawiam się trochę, jak zareaguje, kiedy zobaczy, że jestem na psychiatrii. Czy to zrozumie?

— A pozostałe rodzeństwo?

— Z Aśką nie lubiliśmy się od najmłodszych lat. Wciąż się biłyśmy, nie oszczędziłyśmy sobie złości i podłości. Jest cztery lata starsza. Moje rodzeństwo pochodzi z pierwszego małżeństwa mamy — ja jestem jedynym dzieckiem taty. Ojciec Aśki nigdy jej nie zaakceptował. Płacił alimenty, ale nie utrzymywał z nią kontaktu. Siostra czuła się poszkodowana, bo bracia jeździli do ojca na wakacje, ona nie. Nie lubi też mojego taty — uważa, że traktuje ją gorzej niż mnie, do dzisiaj ma o to pretensje. Tato zawsze powtarza, że wszystkie dzieci są jego i wszystkie kocha. Uważam, że siostra jest niesprawiedliwa, zarzucając mu gorsze traktowanie. Czterdziestoletni facet wziął sobie za żonę kobietę z trójką dzieci — to nie mogło być dla niego łatwe.

— To rzeczywiście dobrze o nim świadczy.

— Aśka była bardzo harda i uparta. Miała osiemnaście lat, kiedy doszło do poważnej kłótni między nią a rodzicami. Siostra została wyrzucona z domu. Byłam świadkiem tego, co się stało. Nie mieściło mi się to w głowie. Aśka poszła do pokoju się spakować, pobiegłam za nią, chciałam ją przekonać, żeby przeprosiła rodziców, ale ona się uparła. Rodzice milczeli. Nie zatrzymali jej. Dziś mówią, że to była jej wina, że to ona chciała się wyprowadzić. Nie do końca podzielam ich zdanie. Wystarczyło ją zatrzymać. Mijały tygodnie, a my nie mieliśmy od niej żadnych wieści. Nie wiedzieliśmy, gdzie się podziewała. Pewnego dnia spotkałam ją przypadkiem pod moją szkołą. Powiedziała mi, gdzie mieszka i zaprosiła do siebie. Odwiedziłam ją kilka dni później. Chłopak jej trochę pomagał, ale ogólnie sytuacja była fatalna — nie miała co jeść. Zaczęłam przemycać z domu jedzenie. Rodzice nie mieli pojęcia, że do niej chodzę, były wakacje, mówiłam, że idę pojeździć na rowerze. Ojciec w tym czasie handlował ubraniami na bazarze. Zaczęłam podkraść mu pieniądze. Był tylko jeden moment, kiedy mogłam to zrobić — jak tato wracał do domu, kładł gruby portfel na stole i szedł do ubikacji — wtedy jeszcze nie wiedział, ile tego dnia utargował. Jak wychodził z toalety, szedł policzyć pieniądze i już nic nie mogłam zrobić. Ale w tym krótkim momencie była okazja, by wziąć dużo gotówki. Wyciągałam banknoty na ślepo, bo się bałam, że mnie ktoś przyłapie. Czasem okazywało się, że zabrałam bardzo dużą sumę. Kupowałam Aśce jedzenie, a sobie batony. Ten scenariusz powtarzał się całe lato. Potem Aśka zaszła w ciążę i rodzice zorganizowali jej wesele. Mama w obliczu jej odmiennego stanu zgodziła się na jej powrót do domu, ale postawiła jeden warunek. Powiedziała siostrze: „Jesteś dorosła, możesz tu mieszkać do ślubu, ale nie będę cię utrzymywać. Jedzenie masz sobie zorganizować sama”. Znowu nie mogłam uwierzyć w to, co się działo. Aśka była w trzecim miesiącu ciąży, a mama odmawiała jej jedzenia. Mam jeszcze jednego brata. Od Łukasza jestem sześć lat młodsza. Od małości był inny, różnił się od rówieśników. Miał nerwowy, wybuchowy charakter. Każde z nas przeżywało swój prywatny koszmar. Mama pomiałała nami wszystkimi po równo. Dziś myślę, że Łukasz najgorzej sobie z tym radził. Rozpoczął naukę w technikum i zaczął mieć problemy z narkotykami. Długo nikt nic nie podejrzewał. Zrobił maturę, poszedł do wojska i tam na dobre się uzależnił. Stracił wszystko, co miał, swój dobytek sprzedał lub spalił. Rodzice zostawili mu domek po babci na wsi, żeby chociaż miał gdzie mieszkać. Ale znajdując się pod wpływem narkotyków, Łukasz podpalił domek i wylądował na ulicy. Rodzice początkowo chcieli mu pomóc, zorganizowali odwyk, kilka razy zawieźli go do Monaru. Lecz Łukasz za każdym razem uciekał. Znalazł w lesie powojenny bunkier i urządził sobie w nim lokum. Bez prądu, wody... Dla nas rozpoczął się długi czas podświadomego niepokoju, który trwa do dziś. Za każdym razem, kiedy zimą temperatura spada poniżej zera, zastanawiamy się, czy Łukasz już zamarł. Ale nie rozmawiamy o tym, to temat tabu. Szczególnie w obecności mamy nie wolno nam o nim wspominać. Myślę, że ona ma poczucie osobistej porażki. Chciała mu pomóc, próbowała, ale bez skutku. Nie utrzymujemy

z nim kontaktu. Jedynie Janek czasem go odwiedza, zawozi mu jedzenie i ubrania. Ostatnio Łukasz był tak naćpany, że nie rozpoznał brata i rzucił się na niego. Janek jeździ więc tam coraz rzadziej. Prawdę mówiąc, wszyscy już dawno skreśliliśmy Łukasza.

— Czyli poza nim utrzymuje pani kontakty z rodzeństwem?

— Tak, nie są to dobre stosunki, ale przynajmniej w ogóle jakieś. Na przykład jestem tu już dwa tygodnie i siostra o tym wie, mimo to ani razu do mnie nie zadzwoniła, nie napisała nawet SMS-a.

— Pani Marleno, gdyby pani miała przedstawić dwa lub trzy zdarzenia z dzieciństwa, które wywarły na panią największy wpływ, to co by to było?

Nie muszę się długo zastanawiać.

— Miałam trzynaście lat. Od kilku tygodni dostawałam mazindol, chudłam w oczach, mama się cieszyła. Wreszcie przestała nazywać mnie „grubasem”. Depresja pojawiła się nagle i szybko postępowała. Z dnia na dzień z wesołego dziecka stałam się istotą apatyczną, opanowaną przez poczucie beznadziei. Po kilku dniach nie mogłam już wytrzymać jednej lekcji bez wybuchania płaczem. Nauczyciele pytali, co się ze mną dzieje. Ale nie powiadomili rodziców, a ci nic nie zauważyli. Byli jak zwykle za bardzo zajęci sobą. Nie wiedziałam, jak sobie poradzić. Z nikim nie mogłam porozmawiać. Prześladowały mnie myśli samobójcze. Pewnego dnia znalazłam w domowej apteczce jakieś leki, nie wiedziałam nawet, jakie było ich przeznaczenie. Dwa opakowania — pięćdziesiąt tabletek. Łyknęłam je bez namysłu. Byłam przekonana, że tylko śmierć może zakończyć to cierpienie. Kiedy dziś o tym myślę, wydaje mi się, że to nie byłam ja, lecz jakaś inna osoba, bez własnej woli, być może nawet opętana, zdalnie sterowana przez coś wyższego. Niestety, miałam pecha. Mogłam trafić na witaminy, a sięgnęłam nieświadomie po leki na nerwicę mamy. Wzięłam je i poszłam do szkoły. Tam po kilku godzinach zemdlałam i spadłam ze schodów. W domu nie mieliśmy jeszcze telefonu — nauczyciele nie poinformowali o tym zdarzeniu rodziców, kazali mi iść do domu i opowiedzieć, co się stało. Nie zrobiłam tego. Po powrocie położyłam się spać. Obudziłam się dopiero w szpitalu. Początkowo lekarze nie wiedzieli, co mi jest. Miałam zaburzenia równowagi, mówiłam nieskładnie, praktycznie nie było ze mną kontaktu. Na przemian wybuchałam płaczem i histerycznym śmiechem. Podejrzewano, że byłam pod wpływem narkotyków, ale badania tego nie potwierdziły. W końcu przysłali do mnie psychologa i ten umiejętnie wyciągnął ze mnie prawdę. Było już za późno na jakiegokolwiek działania, minęły już ponad dwadzieścia cztery godziny, zdążyłam przetrwać połknięte leki. Zostałam przewieziona na oddział neurologii dziecięcej. To była dla mnie trauma. Właściwie w ogóle nie wspominam tego czasu, wymazałam go z pamięci i nawet teraz trudno mi o tym mówić. Rodzice krzyczeli na mnie, mieli pretensje, wzbudzali we mnie poczucie winy. Mama płakała, tata wciąż pytał z wyrzutem, dlaczego to zrobiłam. A ja nie znałam odpowiedzi na to pytanie. Psycholog w mojej obecności próbował ich uspokoić, powiedział, że trzeba spokojnie porozmawiać, ale oni tylko krzyczeli: „Coś ty zrobiła!? Coś ty myślała!? Dlaczego, dlaczego!?”. Byłam badana przez wielu lekarzy, rozmawiałam długo z psychologami. Nikt z nich nie zdiagnozował depresji. Mówili: „To dojrzewanie, hormony jej szaleją”. Myślę o tym z wściekłością. Ile cierpienia mogłabym uniknąć, gdyby wtedy ktoś się domyślił, że mam po prostu depresję. Zaczęłabym brać odpowiednie leki i moje życie potoczyłoby się inaczej. Nie zmarnowałabym okresu dojrzewania, nie borykałabym się całą szkołą z nawrotami choroby. Może choroba nie rozwinęłaby się do tego stopnia, a ja nie byłabym teraz w szpitalu. Niestety, żaden z tych konowałów nie połapał się, w czym rzecz. Leżałam w szpitalu ponad miesiąc. W tym czasie pod wpływem połkniętych leków cofnęłam się psychicznie do poziomu sześciolatniego dziecka. Bawiłam się klockami i lalkami. Na oddziale większość dzieci miała padaczkę. Napatrzyłam się na wiele ataków, szczególnie w nocy. Kiedy

zaczął się zbliżać dzień wypisania do domu, wpadłam w panikę. Nie chciałam tam wracać. Zaczęłam symulować chorobę, ale tym razem lekarze szybko zrozumieli, w czym rzecz.

Po powrocie do domu podawano mi leki uspakajające. Praktycznie nie pamiętam siódmej klasy, nie jestem w stanie przypomnieć sobie czegokolwiek z tego okresu. Mam dziurę we wspomnieniach, bo byłam tak otumaniona psychotropami. Ale to nie były leki na depresję. Choroba wciąż się czała i niedługo znowu uderzyła.

— To bardzo bolesne przeżycia. Praktycznie każda rzecz, o której mi pani opowiada, mogła spowodować traumę. Wiele czynników złożyło się na pani obecny stan. Pani Marleno, mam tu coś...

Wyciąga z zeszytu duże kartki z obrazkami. Od razu je rozpoznaję. To moje rysunki z artterapii. Zaskakuje mnie to.

— Dlaczego ma pan moje prace?

— Niech pani popatrzy. — Rozkłada wszystkie kartki na stoliku. — Mamy tu sześć pani rysunków. Co pani na nich widzi?

Patrzę na moje „dzieła”. Roześmiana dziewczynka z balonikami. Dzieci bawiące się w piaskownicy. Inna dziewczynka z lalką, też uśmiechnięta. Dalej znowu dziewczynka, tym razem z piłką.

— O co panu chodzi? — pytam ostrożnie.

— Na wszystkich pani rysunkach są małe dzieci. Na większości z nich znajduje się mała dziewczynka. To pani jest tą dziewczynką. Pani wciąż jest tą małą dziewczynką, która szuka akceptacji i miłości. Pani Marleno, proszę pozwolić jej dorosnąć. Niech pani zwróci uwagę, że ta dziewczynka jest zawsze uśmiechnięta. Ale pani już nie jest dzieckiem. Najwyższy czas, żeby stać się uśmiechniętą kobietą.

10. Kalejdoskop z czarnymi szkiełkami

W pokoju mam nową sąsiadkę. Ula cierpi na zaburzenia osobowości. Jest strasznie gadatliwa, właściwie mówi nieprzerwanie, nie zwracając uwagi, czy ktoś jej słucha, czy nie. Jest tak męcząca, że zaczyna brakować mi cichej i spokojnej Hanny.

Większość czasu spędzam z Jakobem. Staruszek jest życzliwy i bardzo wrażliwy. Często płacze. Godzinami przesiadujemy w palarni i rozmawiamy. Ma ciężką depresję, ale się nie poddaje. Mówi, że ma jeszcze ochotę na życie. Jest zagubiony, nieśmiały, boi się nowych pacjentów. Razem podtrzymujemy się na duchu.

W trzecią sobotę mojego pobytu zostaję wraz z Uwe przydzielona do gotowania. To taka terapia — mamy przygotować obiad dla tych, którzy nie wyszli na weekend na przepustkę. Na oddziale mamy do dyspozycji nowoczesną kuchnię. Jest tylko jeden problem — dostajemy pieniądze od pielęgniarki na potrzebne produkty i mamy iść do pobliskiego supermarketu na zakupy.

Idziemy razem. Pierwszy raz od trzech tygodni opuszczam szpital. Świat wydaje mi się nierealny, jakbym oglądała go przez kalejdoskop z samymi czarnymi szkiełkami. Budynki sprawiają wrażenie zniekształconych, ludzkie głosy docierają do mnie ze zdwojoną siłą i powodują ból w uszach. Ulice, które tak dobrze znam, są... karykaturalne. Czuję się obco, mam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią. Po drodze rozmawiamy. Uwe przeprasza, że mi się ciągle przygląda. Opowiada o tym, jak zaczynał od wywoływania filmów w supermarkecie, aż wreszcie zdobył etat w znanym tygodniku. Chwalę jego zdjęcia, które wiszą na szpitalnych korytarzach — są piękne. Cieszy się jak dziecko. Opowiada historię każdej fotki. Oczy mu przy tym błyszczą, jest w swoim żywiole. Mówi, że jak wyjdziemy ze szpitala, to zaprosi mnie na kawę. Ja na to, że jest optymistą.

Uśmiecha się.

— Pewnie, że jestem. Przecież stąd wyjdziemy, musi być dobrze, innej możliwości nie ma. Zanim zachorowałem na schizofrenię, miałem normalne życie i nie zamierzam z niego zrezygnować.

Obiad wychodzi nam okropny, spaliliśmy mięso, bo cały czas się śmialiśmy i zapomnieliśmy o gotowaniu.

Następnego dnia, idąc na śniadanie, widzę zamieszanie przy wyjściu. Uwe siedzi przy dyżurce ze spuszczoną głową, obok łóżko, przygotowane najwyraźniej do wywiezienia z oddziału. Na pościeli spakowane rzeczy Uwe. Podchodzę do niego:

— Uwe, co się stało?

Nie reaguje. Siedzi zgarbiony, głowa bezwiednie opada mu na pierś. Nawet mnie nie zauważył. Z otwartych ust cieknie mu ślina. Zamglone oczy krążą tępo, jakby wodził wzrokiem za karuzelą. Przychodzą siostry, kładą go na łóżku, muszą mu pomóc, bo nie może się utrzymać na nogach. Zabierają go na osiemnastkę.

Jako dziecko i nastolatka byłem bardzo religijna. Biegałam do kościoła, czytałam Biblię i z przesadnym dramatyzmem odmawiałam coraz to nowe litanie. Raz mama pozwoliła mi pojechać na Oazę Dzieci Bożych w góry. Były to swoiste kolonie organizowane przez Kościół, w związku z czym kosztowały grosze — inaczej mama by się nie zgodziła. Żadne z mojego rodzeństwa nie było nigdy na koloniach, bo moja rodzicielka uważała, że to strata pieniędzy. Na oazie w Tatrach przeżyłam odnowę duchową. Rozmawialiśmy o Bogu, interpretowaliśmy Pismo Święte, śpiewaliśmy. Szczególnie to ostatnie przypadło mi do gustu. Wspominam ten czas

chętnie, choć dziś patrzę już na to inaczej. Odkrywałam w sobie wiarę i nadzieję, głęboko wierzyłam, że odpowiedzi na wszystkie pytania znajdę w Bogu. Jakże łatwo było mu ufać, kiedy nie miało się jeszcze złych doświadczeń. Moja wiara graniczyła z euforią. Bezkrytycznie ufałam też, że Bóg wyzwoli mnie od demonów, myślałam, że Pan doświadcza mnie bólem i cierpieniem, bo przygotowuje dla mnie coś pięknego, na co dopiero muszę zasłużyć.

Będąc w liceum, trzy razy wzięłam udział w pielgrzymce na Jasną Górę. Raz byłam też na mszy z Janem Pawłem II, widziałam papieża z odległości ledwie kilku metrów. Z czasem dziecinna ufność zaczęła ustępować rozczarowaniu. Dziś sądzę, że jestem człowiekiem małej wiary. Tęsknię za poczuciem, że ktoś gdzieś czuwa nade mną.

Nie wiem, kiedy dokładnie to wrażenie mnie opuściło. Miało to chyba związek z silnym nawrotem choroby po maturze. Dotąd myślałam, że jestem wystawiana na próby, nagle zaczęłam jednak myśleć, że to kara.

Dziś nie uznaję zwierzchnictwa Kościoła nad chrześcijanami. Wciąż wierzę w Boga, ale już nie w instytucję, jaką jest Kościół. Jestem zdania, że wszyscy na świecie modlimy się do jednego Stwórcy, choć różne ma on imiona. Wciąż odmawiam co wieczór pacierz, jestem bogobojna, wierzę w życie wieczne. Ale księdza po kolędzie do domu nie wpuszczę.

Drażni mnie fanatyzm i bezkrytyczny stosunek wobec Kościoła. Uważam, że w rzeczywistości ma on niewiele wspólnego z Bogiem. A raczej: chce mieć z Nim coś wspólnego, ale czy Bóg ma coś wspólnego z Kościołem?

Tej samej niedzieli, kiedy Uwe zostaje przeniesiony na najcięższy oddział, ja też czuję się fatalnie. Cały dzień nie wychodzę z pokoju, walczę ze sobą. W głowie pojawia mi się tysiące myśli na minutę, a każda czarniejsza od poprzedniej. Zaczynam się zastanawiać, kto będzie za mną tęsknił, jak mnie już nie będzie. Nikt nawet nie zauważy, że zniknęłam. Nie potrafię żyć jak ci wszyscy ludzie, którzy mijają mnie obojętnie, biegnąc gdzieś i nie zastanawiając się, czemu to robią. Istnienie musi mieć jakiś cel, a ja jestem tylko roślinką. Boli mnie serce. Tępy ból ściska mi klatkę piersiową.

Wieczorem siostra zauważa, że nie wychodzę z pokoju. Pyta, co się dzieje. Nie chcę rozmawiać, ale ona nie ustępuje, jest nachalna. W końcu mówię jej, że mam myśli samobójcze i że nie daję sobie z tym rady. Siostra chce mi wezwać księdza. Przekonuje mnie, że powinnam porozmawiać z osobą duchowną. Kategorycznie odmawiam, ale ona i tak go ściąga. Dyżurujący w szpitalu ksiądz pojawia się na oddziale już po kilkudziesięciu minutach.

Wpada do pokoju z anielskim uśmiechem, kładzie Biblię na stole i rozsiada się na krześle.

— Dlaczego mnie pani wezwała?

— Po pierwsze, to nie ja pana wezwałam, tylko pielęgniarka. Ja byłam przeciwna temu pomysłowi.

— Dlaczego?

Jestem poirytowana.

— Bo nie sądzę, żeby mógł mi pan pomóc.

— Proszę się do mnie zwracać „proszę księdza”.

Nie reaguję.

— Siostra powiedziała mi, że ma pani myśli samobójcze. To prawda? — Uśmiecha się tak, jakby mówił o czymś przyjemnym.

— Tak! — Nie kryję rozdrażnienia, niech wie, że go tu nie chcę.

— No i po co? Przecież życie jest takie piękne! Bóg nas wszystkich kocha, panią też!

Klaszcze w dłonie. Nie odzywam się.

— Trzeba ufać Panu, ludzie mają większe problemy, pani jest taka młoda! Bóg wie, co robi. I tylko on może decydować o naszej śmierci.

— Co pan tam wie.
— Wiem, że Bóg cię kocha, dziecko, a ty nie szanujesz życia, które ci dał.
Cholera, zaraz mu coś zrobię, strzelę mu w tę uśmiechniętą gębę. A on dalej swoje:
— Pan kocha wszystkie swoje dzieci. Trzeba mu zaufać, Bóg nie zrzuci nam na barki takich problemów, których nie można rozwiązać. Skąd pani jest?
— Z Polski.
— I co pani tu robi?
Ociągam się z odpowiedzią.
— Studiowałam. Teraz pracuję w sklepie.
— Chodzi pani do kościoła?
— Nie.
— Dlaczego? Przecież w katedrze są msze po polsku.
— Wiem o tym, nawet na jednej byłam.
— Dziecko, znajdź drogę do Boga, a znajdziesz chęć do życia.
Zaciskam zęby i cedzę przez nie:
— Ma pan coś lepszego do powiedzenia niż wyświechtane hasła?
— Dziecko, jesteś pełna złości. Złość jest złym doradcą, szatan wskazuje ci fałszywą drogę.
— Szatan? To może szatan jest też odpowiedzialny za to, że od lat mam depresję?
— Stan naszego ducha jest zależny tylko od nas. Bądź dobra i czyń dobro, a samo do ciebie wróci.
Co on pieprzy? Nie powinien być duszpasterzem w szpitalu, a już na pewno nie w psychiatrycznym. Jego słowa brzmią jak regułki wyuczone na pamięć.
— Niech pan już idzie.
— Zostałem tu poproszony do osoby chorej, a widzę złość i gorycz.
— W porządku, jestem zła do granic możliwości. Niech pan już idzie.
Wstaje.
— Może chce się pani wypowiadać?
Jeszcze czego! Nie dość, że mnie facet wnerwia, to mam mu dodatkowo wyznawać moje sekrety.
— Nie.
— Dobrze, jak pani chce. Życzę wiary i wytrwania.
Wychodzi. Jestem wściekła. Tylko wszystko pogorszył.
Kilka minut po nim zagląda do mnie lekarz. Dostaję zakaz opuszczania oddziału do odwołania. W ciągu dnia mam się co godzinę meldować w dyżurce pielęgniarek. Wzruszam ramionami. Szpitala i tak prawie nie opuszczałam — poza jednorazowymi zakupami w supermarkecie. Meldowanie się co godzinę? Czy oni mają pojęcie, ile razy sobie można palnąć w łeb przez godzinę? Niby jak to ma mi pomóc? Nic się nie zmienia. Nadal jestem na krańcu wytrzymałości nerwowej, a oni nic nie robią.

11. Pani redaktor

— Zastanawiała się pani nad naszą ostatnią rozmową? — Barbiana spogląda na mnie przez cienkie okulary.

Patrzę tępo w okno. Widok na parking, ten sam, co z mojego pokoju, tylko teraz jestem na parterze. Nie mam ochoty rozmawiać, nie mam ochoty na nic. Chce mi się płakać. Jest poniedziałek, dziś mijają cztery tygodnie, od kiedy tu jestem. Przypominam sobie dzień, w którym się tu zjawiłam. Byłam pełna nadziei. Wierzyłam, że z tego wyjdę. Dziś nie mam już złudzeń. Nie pomogą mi, bo mnie nikt nie może pomóc.

— Tak, zastanawiałam się. Coś w tym jest. Może podświadomie nie chcę dorosnąć? Może bezpieczniej jest być małą dziewczynką?

— Jak się pani dzisiaj czuje?

Wzruszam tylko ramionami.

— Dobrze, to na czym ostatnio stanęliśmy? Na pierwszej próbie samobójczej. Były inne?

— Były. Ale nierejestrowane. W wieku piętnastu lat choroba wróciła. Nie mogłam z nikim porozmawiać, rodzicom nic bym nie powiedziała, za dobrze jeszcze pamiętałam, jak krzyczeli w szpitalu. Pod koniec ósmej klasy znowu nie dawałam sobie ze sobą rady. Uporczywe myśli samobójcze nie pozwalały mi spać, wiele razy zamykałam się w łazience z żyletką w rękę. Nie miałam jednak odwagi jej użyć. Rodzice nic nie zauważyli. Pierwszy raz w moim życiu pojawiła się w mojej głowie myśl, która będzie mnie latami prześladować: trzeba uciekać. Nie rozumiałam, co się ze mną dzieje, za wszystko obwiniałam rodziców, szkołę, otoczenie. Zaczęłam wierzyć, że jeśli uda mi się wyrwać z tej rzeczywistości, to problemy znikną. Uciekłam z domu. Spędziłam noc w opuszczonym domu na peryferiach miasta. Następnego dnia zostałam złapana przez policję. W domu czekały na mnie pretensje, wrzaski i jak zwykle pytanie: „Dlaczego?”. A ja jak zawsze nie miałam na nie odpowiedzi. Dostałam szlaban. Miesiąc później znowu uciekłam, tym razem nie było mnie trzy dni. Pojechałam do miasta oddalonego o sto kilometrów. Bez pieniędzy, bez jedzenia, bez planu. Byle dalej, byle uciekać. Spałam na dworcu, w dzień wałęsałam się bez celu. Na trzeci dzień opadłam kompletnie z sił. Brudna i głodna zgłosiłam się sama na policję. Dostałam najgorsze lanie w życiu, kablem do magnetofonu. Mama zaprowadziła mnie też na policję, żeby mnie nastraszyli, i do ginekologa, żeby sprawdzić, czy jestem jeszcze dziewicą.

— Jak to do ginekologa? — dziwi się psycholog.

— Zaprowadziła mnie do lekarza i kazała mu sprawdzić, czy jestem jeszcze dziewicą.

— Była pani?

— Byłam.

— I co dalej?

— Ze względu na chorobę dostałam się do liceum bez egzaminów. Dobrze się stało, bo w okresie, gdy się odbywały, byłam w takim stanie, że na pewno bym ich nie zdała. W pierwszej klasie depresja trochę odpuściła. Nie byłam dobrą uczennicą, ale dawałam sobie radę. Moją słabością były przedmioty ścisłe. Tak mi się przypominało: kiedyś, w piątej klasie, na języku polskim, nauczyciel polecił napisać krótkie opowiadanie pod tytułem *Wycieczka klasowa*. Napisałam dwadzieścia stron o wyprawie na Marsa. Kiedy czytałam wypracowanie w klasie, dzieci otwierały buzie ze zdziwienia. Na koniec zaczęły bić mi brawo. Kilka tygodni później na zebraniu nauczyciel powiedział mamie, że mam talent i powinna mnie wysłać na jakieś kółko zainteresowań. Mieszkaliśmy w małej miejscinie, nie było tam zbyt wielu możliwości, ale

funkcjonowało kółko polonistyczne w szkole. Mama nie chciała mi pozwolić na nie chodzić. W tym czasie zaczęłam pisać wiersze i krótkie historie. Tata się cieszył, czytał wszystko i mi kibicował. Mama za to krzyczała, że mam się nie zajmować bzdurami, które mi chleba nie dadzą. Wyśmiewała moje teksty. Robiła to tak skutecznie, że nie napisałam nic więcej przez wiele lat. W pierwszej klasie liceum, po miesiącu nauki, mama poszła do szkoły dowiedzieć się, jak sobie radzę. Polonistka powiedziała jej, że mam zdolności i od pierwszej lekcji zauważyła, że się wyróżniam. W tym czasie zostałam też zaprowadzona do poradni zdrowia psychicznego. Mama chciała wiedzieć, co jest ze mną nie tak. Zrobili mi badania, testy psychologiczne. Matka nie pokazała mi wyników. Powiedziała, że nie ma w nich nic ciekawego. Schowała test głęboko w papierach. Wiele lat później, już jako osoba dorosła, znalazłam przypadkowo ten dokument. Psycholog, który mnie badał, napisał, że jestem ponadprzeciętnie inteligentna i emocjonalnie rozwinięta. Problemy wychowawcze tłumaczył okresem dojrzewania. Byłam wściekła. Miałam pretensje do mamy, że mi tego nie pokazała. Przecież tak bardzo by mi to pomogło w czasie, kiedy czułam się jak śmieć. Wtedy gdy ona uznawała mnie za śmiecia. Na moje wyrzuty odpowiedziała, że nie mogła mi pokazać opinii psychologa, bo popadłabym w samouwielbienie.

— A wie pani, jaka jest prawda?

— Jaka?

— Nie mogła pani pokazać tego dokumentu, bo to by podważyło jej autorytet. Przecież ona zawsze twierdziła, że pani jest głupia, a tu nagle ktoś inny uważa, że jest dokładnie na odwrót. Musiała zostać w pani oczach jedyną wyrocznią.

— W tym czasie już dawno nią nie była. W drugiej klasie liceum znów wpadłam w dołek. Nauka mi nie szła, nawet z polskiego miałam jedynki, bo nie byłam w stanie czytać książek, trudności z koncentracją niweczyły każdą próbę podjęcia lektury. Znowu pojawiła się zgubna myśl: Trzeba stąd zniknąć. Planowałam ucieczkę pod Warszawę, ktoś miał mi załatwić pracę w polu. Na szczęście w porę się opamiętałam. W szkole co pół roku powtarzał się ten sam schemat: miałam piątkę z polskiego i historii, a z matematyki, chemii i fizyki byłam zagrożona. Każde wypracowanie z polskiego to była pewna piątka. Z historii byłam najlepsza w klasie. Chodziłam prywatnie na niemiecki. Tu muszę coś powiedzieć na obronę mojej mamy. Zawsze wierzyła, że w naukę trzeba inwestować, i była to jedyna rzecz, na którą nie żałowała pieniędzy.

— Czyli coś dawała, żeby zaraz odebrać coś innego.

— Dokładnie. Kiedy miałam osiemnaście lat, wpędziłam się w bulimię. Przez półtora roku po każdym posiłku wpychałam sobie palec do gardła. Chudłam w oczach, wyglądałam świetnie. Po jakimś czasie byłam jednak tak wyczerpana, że zaczęłam chorować i nie mogłam się wyleczyć. Zwykle przeziębienie przechodziło w przewlekłe zapalenie oskrzeli, mój lekarz, do którego chodziłam już sama, zaczął się domyślać, co się ze mną dzieje. Pewnego razu na mnie nakrzyczał, że jak nie przestanę cudować, to powiadomi moich rodziców. Uświadomił mi, do czego prowadzi bulimia: arytmii serca i wrzodów żołądka. W tym czasie borykałam się już z częstymi bólami w klatce piersiowej, więc wzięłam jego słowa na serio i opamiętałam się. Rodzice musieli wiedzieć, że wymiotuję, ale nie reagowali. Robiłam to tak głośno i tak często, że niemożliwością było nie zauważyć tego w mieszkaniu. Mama jak zwykle chwaliła mnie, że chudnę. Nieważne, jakim kosztem się to odbywało.

— A jak to wygląda teraz? Nie ma pani już takich skłonności?

— Właściwie to ta przypadłość mi została. Nie wymiotuję, ale za każdym razem, gdy się przejem albo najem słodczy, mam ochotę włożyć sobie palec do buzi. Czasem naprawdę ze sobą walczę, żeby tego nie zrobić. Na razie wygrywam.

— Co było dalej?

— W trzeciej klasie liceum stało się coś niespodziewanego. Mama poszła do redakcji

dziennika miejskiego. Chciała dać ogłoszenie i przy okazji nagadała im, że jej córka lubi pisać, i spytała, czy by kogoś nie potrzebowali. Kazali mi się zgłosić z tekstem próbnym. Zrobiłam to. Zabrałam koleżankę z klasy i poszłyśmy do redakcji. Mój tekst im się spodobał, dali mi temat na pierwszy artykuł. Miałam robić wywiady z prymusami ze szkół w naszym mieście. Po trzech miesiącach wysyłali mnie już na rozmowy ze znakomitościami: koncertującymi w mieście gwiazdami muzyki, pisarzami, lekarzami. To wszystko mnie trochę przerastało. Nagle zaczęłam spotykać się z ludźmi, których znałam tylko z czasopism i z telewizji. Dostałam legitymację z moim zdjęciem i podpisem: redaktor. Byłam z siebie dumna. Płacili mi wierszówkę, marne grosze, ale że nigdy nie dostawałam kieszonkowego, pieniądze te sprawiały mi wielką frajdę. W drugim roku współpracy dostałam swoją kolumnę — pisałam o literaturze polskiej, w ramach przygotowania do matury z języka polskiego. Pewnego dnia jeden z redaktorów opowiedział mi, że do siedziby tygodnika przyszedł elegancki starszy pan i kupił wszystkie archiwalne numery z moimi artykułami. Powiedział, że świetnie piszę. Mama mi wręcz nie dowierzała, choć wszyscy cieszyliśmy się z takiego sukcesu.

— To wspaniale!

— Pod koniec maturalnej klasy redakcja wysłała mnie do otwartej niedawno prywatnej kliniki. Cieszyła się ogromnym powodzeniem, oferowała zabiegi medycyny niekonwencjonalnej. Miałam powęszyć, o co w tym chodzi. Obserwowałam „lekarzy” przy pracy i przecierałam oczy ze zdziwienia. Niemówiący po polsku Azjata w towarzystwie tłumacza nakładał ręce na głowy pacjentów i twierdził, że już są zdrowi. W gabinecie panowały prowizoryczne warunki, leżanka była zrobiona z krzesel, a „lekarz” mył ręce w miednicy. Wszędzie brud. Nie mogłam uwierzyć, że ludzie dają się tak nabijać w butelkę. Wizyta kosztowała dwieście złotych, co pod koniec lat dziewięćdziesiątych było pokaźną sumą. Nawet się nie zastanawiałam, co napiszę. Wiedziałam od razu, że muszę ludziom uświadomić prawdę. W dniu ukazania się mojego artykułu od rana odbierałam telefony z kliniki. Menedżerka w jakiś sposób znalazła mój prywatny numer. Wyzywała mnie od gówniarzy i szczeniaków, groziła sądem. Po tym zdarzeniu zniechęciłam się do bycia redaktorką. Na dodatek zbiegło się ono z nawrotem depresji i na zawsze porzuciłam pracę dziennikarki.

— Może warto do tego wrócić?

— Jak? Tu, w Niemczech?

— Może pani nawiązać pracę z polskimi mediami przez Internet.

— Ale nie skończyłam studiów.

— Wcale nie jest powiedziane, że dziennikarz musi mieć tytuł magistra. Znam takich, co nie mają, a świetnie sobie radzą.

— Nie jestem w stanie sobie już tego wyobrazić, przynajmniej nie w tej chwili. Tyle stresu...

— Może teraz nie, ale jak pani wyjdzie ze szpitala i osiągnie znowu równowagę psychiczną... Niech się pani nie skreśla.

— Może kiedyś o tym pomyślę, na razie sobie tego nie wyobrażam.

— Co było potem?

— Potem zrobiłam maturę i nie dostałam się na wymarzone studia w Krakowie.

Po egzaminach miałam ostry nawrót depresji. Rozpoczęłam studia na WSP w moim mieście, na germanistyce, ale nie szło mi, bo czułam się bardzo źle. Znowu zaczęłam wszystkich wokół obwiniać za mój stan. Ponownie pojawiła się też myśl o ucieczce. Tak zrodził się pomysł wyjazdu do Strasburga. Poprosiłam brata, który tam już mieszkał, żeby mi pomógł. Przyjął mnie pod swój dach, znalazłam pracę i zostałam. Mieszkałam tam trzy lata. W tym okresie miałam wciąż doły. Kilka razy próbowałam się powiesić, ale nie umiałam zrobić pętli. Tylko niech się

pan nie śmieje, to naprawdę nie jest takie łatwe. Jak zrobić pętlę, żeby się zacisnęła? Próbował pan kiedyś?

Śmieje się.

— Nie, ale nawet jakbym wiedział, to bym pani nie powiedział.

— Kilka razy się też cięłam, ale nie głęboko. Nie było konieczności interwencji lekarza, dlatego te próby były nierejestrowane. To były takie małe podejścia.

— Nie nazwałbym ich małymi, a już na pewno nie błahymi.

— W każdym razie po trzech latach przenieśliśmy się tu, do Niemiec, i zaczęłam studia na germanistyce i iberystyce.

— Dlaczego ich pani nie skończyła?

— Gdzieś po piątym semestrze depresja zaczęła brać nade mną górę. Nie mogłam się uczyć, ale przede wszystkim nie widziałam sensu w studiowaniu. Chociaż oceny i tak miałam dobre. Problem zaostrzył się, kiedy na zajęciach z hiszpańskiego przyszło mi wygłosić referat. Oczywiście po hiszpańsku. Strasznie się tym stresowałam. Kiedy wyszłam na środek sali, dostałam pierwszego w życiu napadu paniki. Nie mogłam oddychać, cała się trzęsłam, nie wydusiłam z siebie ani słowa. Wybiegłam z klasy i wylądowałam w ubikacji, gdzie przepłakałam godzinę. Od tej pory przestałam chodzić na zajęcia. Wciąż jestem zapisana na uniwersytet, bo potrzebuję ubezpieczenia, jestem już na dziewiątym semestrze, ale *de facto* już dawno nie byłam na żadnych zajęciach. Chodzę na uczelnię tylko na obiady.

12. Decyzja

Jest wtorek, kolejny zwykły dzień w szpitalu. Czuję się jakoś inaczej. Nie lepiej, ale też nie gorzej, po prostu dopadła mnie apatia. Mam wrażenie, że patrzę na świat przez zamgloną szybę. Wszystko jest oddalone, obce. Jestem jak lalka na sznureczkach. Wykonuję mechaniczne ruchy, jakby ktoś mną sterował, wszystko, co robię, jest odruchowe, wyuczone. Całe popołudnie spędzam na kanapie w sali dziennej, tuż przy wyjściu z oddziału. Robię na drutach. Kiedy podnoszę wzrok, obraz przed oczami mi się rozmywa. Skutek uboczny treviloru — źrenice wolniej się rozszerzają. Obserwuję wchodzących i wychodzących z oddziału ludzi. Każdy musi zdezynfekować ręce, ze względu na niedawną epidemię grypy żołądkowej. Pojawiają się lekarze, pielęgniarki, pacjenci wracają z terapii grupowych. Przy drzwiach ciągle panuje ruch. Przysiada się do mnie Helena. Pojawiła się w szpitalu kilka dni temu i ciągle płacze. Ma ponad siedemdziesiąt lat. Jest po operacji biodra. Ledwo chodzi, chociaż biodro jest sprawne. Ale ona boi się, że zrobi sobie krzywdę, i stąpa bardzo ostrożnie, kulejąc. Przysyłają jej rehabilitanta. Helena płacze, bo straciła sprawność ruchową i wydaje się jej, że jest ciężarem dla rodziny. Opowiada mi, że jej obrazy wiszą na parterze w holu. Chcę jej sprawić przyjemność, więc proszę, by mi je pokazała. Cieszy się jak dziecko. Zjeżdżamy na dół i prezentuje mi swoje malunki, opowiadając przy tym historię powstania każdego z nich. Większość to portrety Buddy. Podobają mi się. Helenę cieszy moje zainteresowanie, po raz pierwszy widzę uśmiech na jej twarzy. Wracamy na oddziałową kanapę. Dosiada się do nas Tania. Jest Rosjanką, kiepsko mówi po niemiecku. Jest tu już pewnie tydzień, ale z nikim nie rozmawia. Próbuję ją zagadnąć:

— Co słyszeć, Tania?

Ale ona tylko się uśmiecha.

— Zauważyłam, że nie chodzisz na terapię? — ciągnę dalej łagodnym głosem. — Tam można robić fajne rzeczy: malować, majsterkować.

— Ja wiedzieć — odpowiada. — Ale ja tu być przez pomyłkę. Ja tu wcale nie powinnam być i niedługo stąd wyjść.

Patrzę porozumiewawczo na Helenę. Ta tylko kiwa smutno głową. Było kilku takich pacjentów, którzy sądzą, że znaleźli się tu przez pomyłkę. Ale nie ma pomyłek, nikt tutaj nie jest bez powodu. Po prostu niektórzy nie zdają sobie sprawy ze swojego problemu. Nagle Tania przysuwa się do mnie i mówi:

— Ty dobry człowiek. Ja mieć dar, ja widzieć aura człowieka. Ty dobre serce, ale twoja aura bardzo chora.

Uśmiecham się. Rosjanka widzi więc moją aurę. Helena też się śmieje, trudno brać te słowa na poważnie.

Wieczorem, po kolacji, wciąż siedzę przy wyjściu i robię na drutach. Jakbym wpadła w obsesję. Nie wiem, co mam ze sobą zrobić. Nagle na oddziale rozlega się rozpaczliwy krzyk. Dochodzi z głębi korytarza, z któregoś z pokoi. Powtarza się kilka razy, jest głośny i rozdzierający. Ktoś wrzeszczy, jakby go ze skóry obdzierali. Pielęgniarki biegną do pokoju Tanii. Za chwilę wywożą ją na łóżku w pasach. Rosjanka krzyczy coś w swoim języku, płacze, rzuca się na łóżku i patrzy błędnym wzrokiem, jakby coś przed sobą widziała. Wiozą ją na osiemnastkę.

Potem dowiem się, że miała halucynacje. Widziała diabła.

W środę mój stan się nie zmienia. Robię wszystko automatycznie, bez zastanowienia. Nie rozmawiam z nikim, kontakt z ludźmi mnie męczy. O dziesiątej mam arterię. Biorę czystą

kartkę z zamiarem narysowania czegoś, ale siedzę nad nią beczynnym przez dwie godziny. Gapię się tępo przed siebie.

O pierwszej mam medytację. Stajemy w kółku, trzymamy się za ręce. Każdy ma powiedzieć, co czuje. Kiedy przychodzi kolej na Anke, ta wybuchając płaczem i opowiada, że już nie może wytrzymać i że chyba sobie coś zrobi. Jej łzy są zaraźliwe, po chwili wszyscy płaczą. Wszyscy, tylko nie ja. Jestem obojętna i jakby odrętwiała. Terapeutka pyta mnie, co czuję. Wzruszam ramionami. Nie potrafię jej odpowiedzieć, najchętniej bym rzuciła, żeby mi dała święty spokój.

O trzeciej terapia z psychologiem, panem Schmidtke. Jest bardzo młody, pewnie nie ma jeszcze trzydziestu lat. Już kilkakrotnie brałam udział w jego zajęciach. Zawsze odnosiłam wrażenie, że nie ma pojęcia, o czym mówi. Wyuczył się wszystkiego na studiach, ale nie ma prawie żadnego doświadczenia. Denerwuje mnie. Temat dzisiejszych zajęć to lęki i ich zwalczanie. Rozmawiamy o różnych fobiach. Robię na drutach i słucham, jak pacjenci opowiadają o strachu przed pajakami, przed zamkniętymi pomieszczeniami i o nieśmiałości. W grupie jest kilku ludzi z socjofobią, mówią o lęku przed kontaktami społecznymi. Całą godzinę nie odzywam się ani słowem. W końcu Schmidtke mnie zagaduje:

— Pani Serafin, jak tam robótki ręczne?

— Dobrze, dziękuję.

— Coś nie jest pani dzisiaj specjalnie rozmowna. — Psycholog pamięta mnie widać z wcześniejszych zajęć, na których zawsze brałam udział w dyskusji.

— Chyba nie za bardzo — odpowiadam zdawkowo.

— Może opowie nam pani o swoich lękach?

— Ja nie mam lęków.

— Na pewno?

— Każdy ma lęki — rozlega się niezadowolony głos na sali.

— No dobra, to opowiem. Nie mam jednak takich typowych lęków, na przykład przed pajakami. Moje lęki mają inną naturę. Boję się przyszłości.

— Jak to przyszłości? — pyta Schmidtke.

— Boję się, co mi przyniesie jutro.

— To rzeczywiście inny rodzaj lęku — ciągnie psycholog. — To lęk głęboki, mający korzenie w doświadczeniach z przeszłości. My tu mówimy głównie o lękach zachowawczych, takich, wobec których można wypracować pewne reakcje. Na przykład, kiedy ktoś się boi kontaktów społecznych, powinien je sobie wyobrazić i przeprowadzać wizualizacje, jak idzie między ludzi, a następnie zadać sobie pytanie, co najgorszego może się wtedy stać. Kiedy się nad tym zastanowimy, dojdziemy do wniosku, że nic złego się nie wydarzy. Natomiast pani lęk wymaga terapii. Może nie będę się w ten temat zagłębiał, bo jesteśmy tu na spotkaniu grupowym, nie indywidualnym. — Spogląda na zegarek. — Już szesnasta, dziękuję państwu za spędzony ze mną czas, widzimy się za tydzień.

Ludzie zaczynają się zbierać. Siedzę nieruchomo i czuję, jak łzy płyną mi po policzkach. Psycholog patrzy na mnie, jakby chciał coś powiedzieć, ale nic nie robi. W końcu wychodzę. Ogarnia mnie okropne uczucie, że nikt mnie nie rozumie, że jestem zdana tylko na siebie. Coś mnie zaszło podczas tej rozmowy. Coś pękło. Wiem już, co zrobić. Od tej chwili działam jak automat, jakby ktoś mną sterował. Mam w głowie tylko jedną myśl: to koniec.

Szybkim krokiem idę do pokoju, zakładam buty i kurtkę.

— Wychodzisz? — dziwi się moja sąsiadka.

— Tak, idę do miasta.

— Cieszę się, że wreszcie się zdecydowałaś. Dziś jest piękna pogoda, słońce świeci jak

w lipcu!

Nie odpowiadam. Przy dyżurce zatrzymuje mnie pielęgniarka:

— A pani dokąd? Pani nie wolno wychodzić.

— Idę na spacer. Wolno mi, wczoraj ordynator zniósł mi zakaz wychodzenia.

— Kiedy pani wróci?

Waham się.

— Za dwie godziny.

— W porządku.

Wychodzę. Zimny powiew wiatru przypomina mi, że mamy zimę. Idę na przystanek, nic nie czując. Nie myślę o niczym. Po prostu maszeruję przed siebie. W autobusie zastanawiam się, ile mam w domu leków. Na pewno znajdę tam jeszcze kilka paczek prozacu, jakieś specyfiki przeciwbólowe też się znajdują. I uspokajające. Ile tego może być? Nagle zaczynam czuć ulgę. Dobrze, że podjęłam już tę decyzję, myślę.

Wchodzę do domu. Wszystko posprzątane i poukładane. Nie było mnie tu prawie miesiąc. Przypominam sobie, że przed pójściem do szpitala wszystko wyszorowałam, bo byłam pewna, że jak tu wrócę, będę już zdrowa i nie będę chciała wejść w sam środek bałaganu. Ale tak się nie stało. Nie wracam wyleczona, tylko po leki. Wyrzucam na łóżko zawartość apteczki. Sześćdziesiąt tabletek prozacu, dziesięć paracetamolu i jeszcze kilka uspokajających. Robię sobie herbatę i siadam w fotelu. Patrę przez okno. Mam widok na las, który rośnie tak blisko, że wystarczy kilka kroków i już ma się wrażenie, że jest się daleko od miasta. Dawniej często prawie pod same okna przychodziły sarny i lisy. Lubiłam na nie patrzeć. Kiedyś obserwowałam liska, który rozpaczliwie szukał czegoś do jedzenia w zaspach śniegu. Wyrzuciłam mu chleb, ale spłoszył się i uciekł. Potem przyszły sarny i chleb się nie zmarnował. Teraz jest pusto. Nagie drzewa chylą się od wiatru. Nagle przychodzi mi do głowy, że to nie musi się tak skończyć. Zaczynam się opamiętywać. Wypijam herbatę, zakładam kurtkę i postanawiam wracać do szpitala. Przed wyjściem spoglądam na porozsypywane po łóżku leki. Wyrzucam je do torby. Coś każe mi zabrać je ze sobą. To będzie moje zabezpieczenie, myślę.

Kiedy wchodzę na oddział, akurat trwa kolacja. Siadam do stołu z Matthiasem, Jakobem i Ulą. Nie rozmawiam jednak z nikim. Skupiam się na jedzeniu. Nie słyszę, co mówią. Jestem w innym świecie. Jedzenie nie ma smaku. Szybko kończę i idę do pokoju. Ula pyta, jak udał mi się spacer po mieście, ale nie odpowiadam. Leżę na łóżku. W klatce piersiowej czuję tępy ból, który sprawia, że mam trudności w oddychaniu. Ula gdzieś wychodzi, pewnie poszła pooglądać telewizję. Kiedy byłam w domu, zdołałam się opamiętać, ale w rzeczywistości decyzja już zapadła. Wiem, że to tylko kwestia czasu, kiedy sięgnę po tabletki. Nie ma sensu walczyć. W mojej głowie znów pojawia się myśl, że to koniec.

Idę do łazienki i nalewam sobie pełną butelkę wody. Siadam na łóżku i zaczynam wrzucać do niej leki, potrząsając przy tym, żeby się rozpuściły. Kiedy wsypałam już wszystkie sześćdziesiąt sztuk prozacu, dziesięć paracetamolu i sześć tabletek uspakajających, przychodzi mi do głowy, że trzeba napisać list.

Co tu napisać? Jak się pożegnać?

Kochani rodzice,

Jestem pewna, że tak będzie najlepiej. Całe życie walczę i nie mam już siły. Chcę, by to się skończyło. Jestem pewna, że tam, gdzie pójdę, będzie mi lepiej. Przepraszam Was, że tak wyszło. Nigdy nie chciałam Was zranić. Może z czasem uda się Wam to zaakceptować. Chciałabym, żebyście uszanowali moją wolę.

Bardzo Was wszystkich kocham. Wybaczcie mi.

Jeśli to możliwe, chciałabym zostać spalona.

Do zobaczenia.

Na odwrocie kartki podaję jeszcze hasło do mojego konta bankowego, żeby nie mieli problemu z wyciągnięciem pieniędzy, chociaż niewiele tego było. Biorę pierwszy łyk z butelki. Obrzydliwy roztwór przyprawia mnie o napad kaszlu. Smród jest tak okropny, że pijąc, zatykam sobie nos. Kilka razy mam odruch wymiotny. W sumie wypicie całej butelki zajmuje mi dobrą godzinę.

Jest mi niedobrze, ale postanawiam pójść na ostatniego papierosa. W palarni nikogo nie ma. Pałac, czuję, że coś dziwnego dzieje się w moim żołądku. Jest dwudziesta. Wracam do pokoju, gaszę światło i kładę się do łóżka. Teraz będę spała, myślę. Teraz usnę spokojnie i będzie po wszystkim. Ale spokojne zaśnięcie wcale nie jest mi dane. Po kilku minutach serce zaczyna mi walić jak szalone. Z brzucha wydobywają mi się dziwne dźwięki. Idę do ubikacji. Kładę się. Za pięć minut znów do ubikacji i z powrotem do łóżka, po chwili to samo. Wędruję tak pewnie z dziesięć razy, widocznie tabletki podziałały moczopędnie. Serce wali mi tak, że mało nie wyskoczy z piersi. Robi mi się gorąco. Po jakimś czasie dochodzą do tego problemy z oddychaniem. Płytki oddech nie pozwala mi zaczerpnąć powietrza. Zaczynam panikować. Cholera, trzeba było skoczyć do rzeki, myślę i znowu wstaję do ubikacji. Nie mam odwagi na tak drastyczną śmierć. Wyobrażałam sobie, że szybko usnę, stracę przytomność i już się nie obudzę.

O dziesiątej przychodzi pielęgniarka, by podać mi leki nasenne. Przebiega mi przez głowę, że to moja ostatnia szansa. Teraz jeszcze mogę jej powiedzieć, co zrobiłam, płukanie żołądka załatwi sprawę. Waham się. W końcu połykam lekarstwo na sen i pielęgniarka wychodzi. Uła wraca do pokoju i od razu kładzie się spać. Mijają dwie godziny od zażycia leków. Już nie sikam co pięć minut, leżę spokojnie i próbuję w miarę równo oddychać. Niedługo potem zasypiam. Ostatnie, co pamiętam, to oszalały łomot mojego serca.

13. Przebudzenie

— Wstawaj, Marlena, przegapisz śniadanie! — Ula potrząsa mną raz po raz. — Budzę cię już od pół godziny, coś ty wzięła na sen? Całą apteczkę?

Otwieram oczy. W pierwszej chwili nie pamiętam nic. Czuję parcie na pęcherz, idąc do ubikacji, zastanawiam się, dlaczego jestem taka słaba. Moje ciało jest ciężkie jak kamień, powieki mi opadają, ledwo widzę na oczy. Wracam do łóżka i natychmiast zasypiam. Przez głowę zdąża mi jednak przelecieć myśl, że coś jest ze mną nie tak. Jakiś czas później znowu ktoś mnie budzi:

— Pani Serafin, tak? Przepraszam, że panią budzę, nazywam się Mai i jestem tu od przeprowadzania badań EKG i EEG. Dzisiaj pani kolej, musi pani ze mną zejść na dół, do gabinetu.

Jej słowa docierają do mnie powoli, jakbym usłyszała tylko ich echo.

— Widzę, że potrzebuje pani trochę czasu, żeby się ogarnąć, więc umówmy się, że ja poczekam w gabinecie. Niech pani przyjdzie, powiedzmy, za dwadzieścia minut. Jestem na parterze, pod szóstką. Mogę liczyć, że się pani pojawi?

— Tak, tak... przyjdę... — dukam.

Po chwili zostaję sama i zaczynam rozumieć, co się stało. Lekci... Połknęłam tyle leków... Cholera... I co teraz? Dlaczego się obudziłam?

Jestem mocno otumaniona. Wszystko dociera do mnie powoli, boli mnie głowa i mam sucho w ustach. Zerkam na szafkę przy łóżku i na widok pustej butelki, z której wczoraj piłam roztwór z leków, mam odruch wymiotny. Biegnę do ubikacji, ale wymiotuję tylko żółcią. Nie mam siły się umyć, ubierać się nie muszę, bo na noc nie założyłam pidżamy. Idę na papierosa. W palarni jest Jakob. Pyta, czemu się tak chwieję. Nie odpowiadam. Nie jestem w stanie myśleć. Świat wiruje mi przed oczami. W przebłyskach świadomości zadaję sobie pytanie, dlaczego się obudziłam, ale poszukanie odpowiedzi jest zbyt trudne. Pamiętam, że mam iść na parter na jakies badania. Zjeżdżam windą na dół i staję na środku wielkiego holu — nie wiem, do którego gabinetu się skierować. Nie widzę nikogo, żeby o to spytać. Marzę, aby się położyć, jestem bardzo senna. Siadam na kanapie i zamykam oczy. To wszystko nieprawda, myślę. Usypiam na siedząco.

— Pani Serafin? — Kobieta od badań kładzie mi rękę na ramieniu. — Wszystko w porządku? Czekałam na panią, tu jest mój gabinet, proszę.

Badanie odbywa się szybko, a może mnie się tak tylko wydaje, bo większość czasu przysypiam. Ale kobieta patrzy na wyniki i chce wszystko powtórzyć. Mówi, że chyba z maszynami jest coś nie tak. Wyniki drugiego badania też jej się nie podobają, pyta, jak się czuję. Nie wiem, co powiedzieć. Odprowadza mnie na górę do pokoju. Padam na łóżko i znowu zasypiam.

Nie mam pojęcia, ile minęło czasu, zanim ta sama kobieta znowu mnie budzi:

— Pani Serafin, lekarz obejrzał wyniki i powiedział, że to niemożliwe, żeby tak wyglądały. Musimy powtórzyć badania.

— Znowu...? — Ledwo mam siłę zwlec się z łóżka.

Jeszcze raz zakłada mi elektrody na klatkę piersiową, potem siatkę na głowę, a ja w tym czasie przysypiam. Na oddziale trwa obchód. Kobieta prowadzi mnie do pokoju i mówi, że wyniki od razu obejrzy lekarz. Wracając do siebie, widzę, że lekarze są dopiero w trzecim pokoju. Mój jest na końcu, co normalnie oznaczałoby, że mogę się ich spodziewać za jakąś

godzinę. Nie wiem, co im powiem, przecież na pewno zauważą, że coś ze mną nie tak. Ale myślenie jest dla mnie w tej chwili za trudne i zbyt męczące. Kładę się. Po chwili drzwi się jednak otwierają i ordynator wpada jak burza do pokoju, w rękę trzymając wyniki moich badań:

— Pani Serafin, co się z panią dzieje?

Nie wiem, co powiedzieć.

— Pani wyniki są fatalne, jak się pani czuje?

Nadal nic nie mówię.

— Ma pani poważne zaburzenia pracy serca, a fale mózgowe też nie są w porządku.

Niech mi pani powie, co się dzieje?

Otwieram usta, ale wydobywa się z nich tylko jęk. Cały obchód rozsiada mi się w pokoju: psycholog Schmidtke, pielęgniarki i pielęgniarz. Wszyscy patrzą na mnie wyczekująco. Schmitz bada mi oczy, każe wodzić oczami za długopisem.

— Wiem, że coś jest nie tak, niech mi pani powie, co się stało. — Ordynator, który zwykle brzmiał bardzo łagodnie, teraz jest stanowczy.

Nie ma sensu iść w zaparte, myślę.

— Połknęłam leki... — dukam szeptem.

— Jakie leki?

— Różne... prozac, paracetamol...

— Ile?

— Dużo... — mówię ze spuszczoną głową.

— Ile?

— Siedemdziesiąt tabletek.

— Chryste Panie! Czy pani oszalała!? Siedemdziesiąt tabletek! Przynieś węgiel — zwraca się do pielęgniarza. — Dlaczego pani to zrobiła!?

— Mielicie mi pomoc. Mówiłam, że mam myśli samobójcze, już nie mogę tego znieść.

— To trzeba było przyjść, powiedzieć nam, a nie łykać leki! Na Boga! Kiedy je pani łyknęła!? — krzyczy dalej.

— Wczoraj.

— O której!?

— Koło dwudziestej.

— To jest nie do pomyślenia, żeby takie głupoty robić! Co pani sobie myślała!?

Pielęgniarz przynosi mi rozpuszczony węgiel do wypicia, a ordynator nie przestaje na mnie wrzeszczeć:

— Niech się pani pakuje, to dla pani koniec leczenia na tym oddziale!

O, cholera... Jak to koniec? O czym on mówi?

— Wychodzimy, za pięć minut ma być pani spakowana! Niech ktoś z nią tu będzie, cholera, nie wolno jej zostawić samej!

Towarzyszy mi pielęgniarz. Tak naprawdę to on pakuje moje rzeczy, bo sama nie mam siły. To ten sam młody chłopak, który zajmował się mną, gdy miałam grypę żołądkową.

— Jak pan myśli, dokąd mnie zabiorą? — pytam nieśmiało.

— Nie wiem, pani Marleno, o tym zdecyduje doktor Schmitz.

Wywożą moje łóżko z pokoju i prowadzą mnie na pierwsze piętro. Trafiam na szesnastkę. Jest to oddział dla średnich przypadków, nie tak łagodnych jak na siedemnastce, ale też nie tak ostrych jak na osiemnastce. Czuję ulgę, bo obawiałam się, że trafię na najcięższy oddział. Każą mi zostać w dyżurce z pielęgniarką, jeszcze nie mają dla mnie pokoju. Siedzę więc i przysypiam. Moje rzeczy leżą na łóżku na korytarzu. Mam ze sobą tylko torebkę. Po jakimś czasie przychodzi doktor Hoffman, główny lekarz tego oddziału. Bada mnie. Sprawdza mi równowagę i oczy, tętno

i ciśnienie. W końcu mówi:

— To ile było w końcu tych tabletek?

— Tak jak mówiłam, siedemdziesiąt.

— Gdyby pani wzięła siedemdziesiąt tabletek, to by się pani już nie obudziła. Więc ile ich było naprawdę?

— Nic na to nie poradzę, że mi pan nie wierzy. Mówię prawdę.

— Jeśli ma pani jeszcze jakieś leki, to niech pani je lepiej odda. Zresztą i tak zaraz przeszukamy wszystkie rzeczy.

— Nie mam już żadnych.

Pielęgniarka wychodzi na korytarz i zaczyna przetrzepywać moje torby. Kiedy wreszcie kończy, każe mi pokazać torebkę, którą trzymam na kolanach. Wyciąga z niej puste opakowania po lekach, które wczoraj połknęłam. Liczy puste zagłębienia i chwyta za telefon:

— Panie doktorze, znalazłam opakowania po sześćdziesięciu tabletkach prozacu.

Wygląda na to, że naprawdę tyle połknęła. Poza tym są też puste fiołki po paracetamolu i po taxilanie. Dobrze, czekam.

Po chwili lekarz wraca. Ogląda opakowania i łapie za telefon:

— Halo? Tu doktor Hoffman z psychiatrii. Poproszę karetkę do nas.

— Karetka? — pytam cicho.

— Zostanie pani przewieziona na intensywną terapię.

Kilka minut później siedzę już w samochodzie. Główny budynek szpitala znajduje się ledwie sto metrów od psychiatrii, ale między nimi nie ma przejazdu, musimy jechać naokoło, przez miasto. Pędzimy na syrenie. Ratownik, który siedzi ze mną z tyłu karetki, otwiera pismo od lekarza i gwizdże:

— Naprawdę pani tyle połknęła?

Nie odpowiadam. Znowu przysypiam. Zawożą mnie najpierw na pogotowie. Każą się położyć na łóżku i zakładają mi kroplówkę. Słyszę kobiecy głos, ale nikogo nie widzę, bo razi mnie ostre światło jarzeniówek.

— To rozcieńczy to, co pani połknęła, bo już za późno na płukanie żołądka. Za chwilę zostanie pani przewieziona na intensywną terapię.

Kiedy mnie wiozą przez szpitalne korytarze, jestem w półśnie. Trwa to bardzo długo, jedna winda, druga, długi korytarz, potem następny, potem znowu winda. Wszędzie ostre światło. A może mi się tylko zdaje, że to tak daleko? Mam wrażenie, że jadę windą w nieskończoność. W końcu dojeżdżamy. Zapadam w sen.

14. Alarm

Gdzieś za mną coś uporczywie i przenikliwie piszczy. Otwieram oczy. Pielęgniarka majstruje przy urządzeniach nad moją głową. Za chwilę już jej nie ma, a nieprzyjemny dźwięk ustaje. Rozglądam się — mam na sobie pełno kabli. Wystają mi z koszuli na wysokości klatki piersiowej, inne wiją się przez całe łóżko do mojego palca, na którym mam zaczepiony jakiś klips. Na prawej ręce kroplówka.

Senność minęła. Jestem w dość małym pomieszczeniu, obok mnie stoi jeszcze jedno łóżko. Leży na nim mężczyzna, tyłem do mnie. Spod szpitalnej koszuli wystają obnażone pośladki. Krzywię się na ten widok. Jest bardzo głośno. Z pomieszczenia obok dochodzą głosy personelu oraz szum urządzeń. Z mojej sali wiodą dwa wyjścia — jedno prowadzi do pokoju personelu, drugie do następnej sali. Co chwilę rozlega się piskliwy alarm aparatów, do których podłączeni są pacjenci. Która może być godzina? Ile spałam? Nagle czuję parcie na pęcherz. Bez namysłu siadam na brzegu łóżka i zaczynam odklejać elektrody z klatki piersiowej. Natychmiast rozlega się alarm. Przybiega pielęgniarka i krzyczy:

— Co pani robi!?

— Muszę iść do ubikacji.

— Ale my tu nie mamy ubikacji — odpowiada zdziwiona.

— Jak to nie macie? To gdzie mam się wysikać? — pytam równie zdziwiona.

— To ja pani przywiozę toaletę — mówi i znika.

Jak to przywiezie mi toaletę?

Po chwili wraca z wózkiem na kółkach. Wygląda to jak wózek inwalidzki, tylko zamiast siedzenia jest sedes, a pod spodem przymocowana miska.

— Proszę, pomóc pani?

Zaczynam się śmiać:

— Chyba pani żartuje, mam na tym usiąść?

— Niech pani tylko uważa, żeby się nie zaplątać w kable — mówi poważnie.

Więc ona tak serio. Zaciąga zasłonę między moim łóżkiem a sąsiadem z gołym tyłkiem, żebym miała trochę intymności. Siadam na tym ustrojstwie.

— To zostawię panią samą — oświadcza i wychodzi.

Siedzę chwilę na tym wynalazku i nic. Dziwne, bo pęcherz mam pełny, wyraźnie czuję parcie, a jednak nie mogę go opróżnić. Po kilku minutach wraca pielęgniarka.

— Już?

— Nie, jeszcze.

— Załatwia się pani?

Chryste, jakie to żenujące.

— Nie, robię tylko siku.

Kobieta znowu wychodzi. Siedzę jeszcze chwilę bez żadnego skutku i rezygnuję. Myślę, że to przez tę mobilną ubikację i przez sytuację, w jakiej się znalazłam. W każdej chwili ktoś może wejść i mnie zobaczyć. Pewnie dlatego tak się spięłam, że nie mogę opróżnić pęcherza, dochodzę do wniosku.

Siostra pojawia się, by zabrać wózek.

— Nic pani nie zrobiła?

— Nie, jakoś mi nie idzie.

— Może pani zostawić wózek?

— Tak, niech pani zostawi.

Po jakimś czasie znowu próbuję, ponownie bezskutecznie. Parcie na pęcherz jest coraz większe, powoli staje się nieprzyjemne. Po godzinie zamienia się w ból. Wołam pielęgniarkę.

— Muszę iść do normalnej ubikacji, bo tu nie mogę się wysikać.

— U nas nie ma takiej możliwości. My tu nawet nie mamy toalety, bo nasi pacjenci nie wstają z łóżek.

— Ale naprawdę muszę, brzuch mnie boli!

— Przykro mi, niech pani próbuje na wózku. Nie ma się czego wstydzić, tu każdy rozumie.

— Ale ja się nie wstydzę, po prostu nie mogę opróżnić pęcherza.

Siostra jest nieugięta. Próbuję jeszcze kilka razy, w końcu ból staje się nie do zniesienia. Na dodatek czuję podenerwowanie i niepokój. Chce mi się płakać. Pragnę uciec z tego okropnego miejsca. Szum urządzeń i ten ciągły hałas doprowadzają mnie do szału. Nagle wstaję, zaczynam odrywać elektrody, potem wyrywam sobie igłę od kroplówki — wszystkie aparaty nad moim łóżkiem szaleją. Dopada do mnie pielęgniarka.

— Co pani robi!?! Niech pani przestanie!

— Chcę iść do ubikacji!

— Nie wolno, musi pani leżeć!

Z prawej dłoni leci mi krew, prosto na pościel.

— Co pani zrobiła!?! Proszę siadać! Siadać, bo wezwę lekarza!

— Niech go pani wezwie! Przecież ja chcę tylko do ubikacji!

Nagle pojawia się jakiś wielki pielęgniarz i zaczyna na mnie krzyczeć:

— Co tu się dzieje!?! Dokąd się pani wybiera!?! Siadać mi tu, ale już! Bo jak nie, to w pasy!

Zaczynam płakać. Zrezygnowana kładę się z powrotem, siostra zakłada mi nową igłę i podłącza mnie ponownie do aparatury.

— Niech pani wezwie lekarza — proszę pielęgniarkę.

— Lekarz nie ma czasu na takie problemy — kwituje i zostawia mnie samą.

Wiję się z bólu. Mija następna godzina. Wzbiera we mnie złość i niepokój. Połknięte przeze mnie leki nie zostały bez wpływu na mój stan psychiczny. Prozac to lek antydepresyjny, działający na mózg. Lekarz powiedziałby, że jestem pobudzona, każdy normalny człowiek uznałby jednak, że jestem na haju.

Po pewnym czasie scenariusz się powtarza; znowu zrywam wszystkie kable i chcę iść do ubikacji, pielęgniarze na mnie krzyczą i mi grożą. I tak jeszcze kilka razy. Jest już późne popołudnie, od momentu, kiedy tu trafiłam, nie widziałam żadnego lekarza. W końcu miarka się przebrała; kiedy kolejny raz próbuję wstać, rosły pielęgniarz przynosi pasy i sadza mnie siłą na łóżku.

— Doigrała się pani! Będzie pani leżała w pasach!

— Przecież chcę tylko do ubikacji! — krzyczę przez łyzy. — Nie macie prawa mnie przywiązać!

— Nie pójdzie pani do żadnej ubikacji! My tu nie mamy ubikacji!

— A gdzie pan sika!?! — płaczę.

— Puszczę panią do ubikacji, a pani wyciągnie swoje tableteczki! Ma nas pani za głupków!?!

— Chcę do domu, nie macie prawa mnie tu trzymać siłą!

— Mamy prawo, bo dla takich jak pani jest miejsce tylko na psychiatrii!

— Ty dupku!

— My tu mamy poważnie chorych ludzi, nie możemy zajmować się pani fanaberiami!

— Chcę do domu, puść mnie, ty skurwielu!

Rosły pielęgniarz próbuje mi założyć pasy na nadgarstki. Wyrrywam się.

— Najpierw na psychiatrię, nie do domu! — wrzeszczy, siłując się ze mną.

— To wyślijcie mnie już teraz na psychiatrię, ja tu nie wytrzymam!

Wszyscy patrzą na mnie zdziwieni. Nawet pielęgniarz przestaje mną szarpać. Widocznie nie mieści im się w głowie, że można woleć iść do czubków niż być pod ich opieką.

Nagle jedna z siostr, bardzo młoda dziewczyna, pochyla się nade mną i przemawia łagodnie:

— Niech pani nie płacze, wszystko będzie dobrze. Zawrzyjmy umowę, okej? Pani już nie będzie wstawiała, a my panią nie zakujemy w pasy. Niech się pani uspokoi. — Głaszcze mnie po rękę. — Umowa stoi?

Potrząsam głową na zgodę i zalana łzami wracam do łóżka. Wszystko, tylko nie pasy. Zostaję sama. Koszmarny ból nadal rozsadza mi pęcherz. Następną godzinę siedzę cały czas na wózku, próbując oddać mocz. Płacę. Czuję, że upadłam tak nisko, jak jeszcze nigdy w życiu. Jeszcze nigdy nie byłam tak upokorzona, zrezygnowana i załamana. Do tego ten przekłety ból. Przez salę ciągle ktoś przechodzi, do faceta z gołym tyłkiem przyszła rodzina, ale mnie to już obojętne. Marzę tylko, by się wysikać. Nagle, siedząc wciąż na toalecie, kicham. W tym momencie rozluźniają mi się mięśnie w dolnych partiach tułowia i wreszcie mogę oddać mocz. Odczuwam ogromną ulgę.

Przyjeżdża kolacja. Pielęgniarki zabierają mi nóż. Nie wiem, jak mam sobie posmarować chleb masłem. Mogły mi w tym chociaż pomóc. Jem pieczywo z wędliną i zagryzam masłem, ale coś mi nie wchodzi, nie mam apetytu. Nie kończę nawet jednej kanapki. Wciąż jestem podenerwowana, nie mogę uleżeć, choć na szczęście nic mnie już nie boli. Moja pościel jest zakrwawiona, bo tyle razy sobie wyrывałam igłę, że wszędzie jest mnóstwo czerwonych plam. Oczywiście siostry nie wpadną na pomysł, żeby mi zmienić poszewki. Chciałabym usnąć, ale nie jestem w stanie. Czuję się zbyt ożywiona i nawet nie mogę zamknąć oczu. Godziny ciągną się jedna za drugą, w końcu następuje zmiana dyżuru, personel, który mnie tak bezwzględnie potraktował, idzie do domu. Przychodzi do mnie „nowa” siostra. Jest nawet miła, mówi, że może mi pomóc się umyć. Chcę tylko wyszorować zęby. Pytam, czy nie mają tu jakichś gazet, bo czas mi się niemiłosiernie dłuży. Pielęgniarka przynosi mi kobiece pisemka, ale nie mogę się skupić na czytaniu. Późnym wieczorem jest obchód. Pięć osób staje wokół mojego łóżka.

— Pacjentka zażyła siedemdziesiąt tabletek prozacu — mówi jeden z mężczyzn.

— Co? To niemożliwe — odzywa się drugi.

— Takie dane dostaliśmy z psychiatrii.

— Na pewno nie tyknęła aż tyle.

Wymieniają uwagi, nie patrząc w moją stronę.

— Może mnie spytacie? Chyba powinnam to wiedzieć.

Nie reagują, nawet na mnie nie spojrzeli. Dalej ciągną swoje:

— Pacjentka była dzisiaj agresywna.

— Co? Wcale nie byłam agresywna! Możecie o mnie nie mówić tak, jakby mnie tu nie było?

— Zrobiono jej płukanie żołądka? — pyta mężczyzna, nadal mnie ignorując.

— Nie, było na to za późno — odpowiada drugi.

Czuję się, jakbym nie istniała.

— I ona to wszystko przetrwała? Bzdura. Pieprzą głupoty na tej psychiatrii, udzieliło się im od pacjentów. — Śmieje się. — No nic, to idziemy dalej.

Odchodzą.

Jest noc, nie śpię. Światła są już dawno wyłączone, ale i tak jest jasno. Co chwilę uruchamia się u kogoś alarm. Przenikliwy pisk doprowadza mnie do szału. Ile bym dała, żeby teraz usnąć. Proszę pielęgniarkę, żeby przyprowadziła lekarza. Ten zjawia się dopiero po dwóch godzinach. Dowiaduję się, że jest już trzecia nad ranem. Proszę go o coś na sen. Kategorycznie odmawia, mówiąc, że muszę dać odpocząć żołądkowi i nie wolno mi teraz brać żadnych leków. Męczę się więc dalej. Od pielęgniarki dostaję chociaż zatyczki do uszu, żeby nie słyszeć tego przekłętego pisku. Czuwam. Nie myślę o tym, co się stało. Nie zastanawiam się. Wczorajszy dzień wydaje mi się oddalony, jakby wszystko zdarzyło się miesiące temu. A może to mi się tylko przyśniło?

O ósmej przychodzi znowu obchód, ten sam skład, co wczoraj. Pytam, kiedy mnie wypuszczą. Mówią, że jeszcze trochę będę musiała tu posiedzieć. Proszę, żeby mi już pozwoli iść na psychiatrię, kiedy odmawiają, znowu zaczynam płakać. Nie wyobrażam sobie, żebym mogła tu zostać jeszcze choć godzinę. O dziwo, tym razem się zgadzają. Pół godziny później pielęgniarka odłącza mnie od aparatury i wiozą mnie w wózku inwalidzkim na dół, do karetki. Rozpoznaję ratowników, tych samych co wczoraj. Czuję ulgę, cieszę się, że wreszcie opuściłam to okropne miejsce. Pielęgniarz każe mi usiąść w wózku inwalidzkim, choć mówię, że mogę iść sama. Nie mam już kłopotów z równowagą. Wjeżdżamy do budynku psychiatrii. W windzie mężczyzna wybiera jednak drugie piętro.

— Dlaczego drugie piętro? Miałam iść na szesnastkę, to chyba na pierwszym piętrze? — pytam zaskoczona.

— Wiozę panią tam, gdzie mi polecono.

— To znaczy gdzie?

— Zobaczy pani.

Na drugim piętrze mieści się mój stary oddział — siedemnastka, a tam mnie już na pewno nie zabiorą. Mam złe przeczucia.

Wysiadamy z windy, wjeżdżamy na oddział znajdujący się naprzeciw siedemnastki. Ratownik przekazuje mnie pielęgniarce i znika. Drzwi osiemnastego oddziału zamykają się za mną z hukiem.

15. W paszczy lwa

Siedzę w dyżurce z siostrą i czekam na lekarza. Mówię jej, że to pomyłka, bo miałam trafić na szesnastkę. Odpowiada tylko, że zaraz przyjdzie doktor, to porozmawiamy. Po chwili wchodzi Bauer, od razu go rozpoznaję. To ten lekarz, z którym się spotkałam, zanim jeszcze mnie przyjęli do szpitala.

Doktor Bauer wzbudza emocje wśród pacjentów, zwłaszcza wśród pań. Przystojny, elegancki blondyn przed czterdziestką wywołuje powszechny zachwyt. Jest bardzo wysoki i muskularny, co nawet na mnie robi wrażenie, choć gustuję raczej w innym typie mężczyzn. Podaje mi rękę.

— Pani Serafin, tak? My się już znamy.

— Tak, pamięta mnie pan — mówię bardziej twierdząco niż pytająco.

— Pamiętam. — Przegląda moją kartę. — Czyli najpierw była pani na siedemnastce, w środę była intoksykacja, teraz przyjechała pani z intensywnej terapii.

— To pomyłka, panie doktorze, miałam trafić na szesnastkę.

— Tak było, zanim się dowiedzieliśmy, ile leków pani łyknęła. Zostanie pani u nas. Akurat mamy miejsce, tu obok. — Wskazuje na akwarium.

— Jak to? Akwarium? Dlaczego?

— Posiedzi pani w nim kilka dni, potem się zobaczy.

— Ale dlaczego w akwarium? — Nie mogę w to uwierzyć. Nie dość, że przywieźli mnie na najcięższy oddział, to jeszcze chcą mnie zamknąć.

— Musimy panią poobserwować, w tej chwili nie wiemy, czy można pani zaufać. Jest pani zagrożeniem dla samej siebie. Czy kiedykolwiek się pani cięła?

Nie wiem, co powiedzieć. Znam odpowiedź, ale nie byłaby dla mnie korzystna. Bauer każe mi podciągnąć rękawy i pokazać ręce. Ogląda moje przeguby. Musiał zauważyć delikatne ślady. Wskazuje na maleńką bliznę na lewym nadgarstku.

— Kiedy to było?

— Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat.

— Czy potem jeszcze się pani cięła?

— Nie.

— Czy pocięła się pani wtedy, żeby się zabić, czy po to, by zadać sobie ból?

Co za kretyńskie pytanie. Ale moja odpowiedź jest jeszcze gorsza:

— Jedno i drugie.

— Czy odczuwała pani ulgę, gdy to pani robiła?

— Czasami.

— Czyli to nie był tylko jeden raz?

— Nie. Ale nie cięłam się głęboko — wypalam, jakby mi to miało w czymś pomóc.

— Dlaczego w środę wzięła pani te tabletki?

— Już nie mogłam wytrzymać.

— Czego?

— Napięcia. Myśli samobójczych.

— To nie była pierwsza intoksykacja w pani życiu?

— Nie.

— Skąd miała pani tyle prozacu?

— Od psychiatry, u którego byłam w grudniu.

— A jak jest teraz z myślami samobójczymi?

— Nie ma ich.

— Zniknęły?

— Tak.

— Gdyby wróciły, możemy wierzyć, że pani do nas przyjdzie i o tym powie?

Znowu mam obiecywać...

— Na razie ich nie ma — odpowiadam. Nie podoba mi się ta rozmowa.

— To nie jest odpowiedź na moje pytanie. — Bauer siada na fotelu i przysuwa się do mnie. Jest blisko, za blisko. Czuję dyskomfort.

— Tak, przyjdę.

— Na pewno? Może pani z nami o tym rozmawiać, po to tu jesteśmy. Jeśli nie chce pani rozmawiać z lekarzem, to zawsze są pielęgniarki. Najgorzej jest, kiedy zostaje się z takimi myślami samemu — przemawia do mnie łagodnie. Jest tak blisko, że czuję miętowy zapach z jego ust. — Hm, do tej pory brała pani trevilor? — Nie czeka na odpowiedź. — Odstawimy go, najwyraźniej na panią nie działa. Na razie będziemy podawać tylko coś na osłonę żołądka, musi mu pani dać odpocząć. W przyszłym tygodniu zastanowimy się nad nowymi lekami. Nic pani nie mówi. Jak się pani właściwie czuje?

— Dziwnie. Chce mi się palić — odpowiadam bez namysłu.

— Dobrze, to tyle, może pani iść do pokoju. Gdyby coś się działo, proszę mówić.

Pielęgniarka prowadzi mnie do akwarium. Pokój wygląda tak samo jak poprzedni: dwa łóżka, identyczne wyposażenie. Jest tylko jedna różnica — w ścianie naprzeciw łóżek jest wielkie okno, a za nim dyżurka.

Siostra przeszukuje mi rzeczy. Mówię, że robiono to już na szesnastce, ale nie reaguje. Zabiera mi pilniczek do paznokci. Jakbym mogła sobie nim coś zrobić. W torbie mam też proszek do prania, bo w szpitalu jest pralnia samoobsługowa:

— A co to jest? — pyta siostra.

— Proszek do prania.

— Zabieram go.

— Dlaczego? — dziwię się.

— Bo mogłaby go pani zjeść — odpowiada takim tonem, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie.

Sytuacja wydaje mi się absurdalna.

— Pani raczy żartować!

— Zdziwiłaby się pani, na jakie pomysły wpadają pacjenci na zamkniętym oddziale.

Dobra, niech sobie bierze ten proszek, wszystko mi jedno.

— Ma pani perfumy?

— Po cholerę mi perfumy w szpitalu? — Zastanawiam się, co jeszcze wymyśli.

— Na ten oddział trafiają też alkoholicy na odtrucie, nie wolno mieć perfum, bo je pani wypiją.

— Nie mam żadnych perfum. Chciałabym pójść do palarni.

— Dobrze, ale nie na długo.

Wychodzę. Palarnia znajduje się na końcu długiego korytarza, za oszklonymi drzwiami. Widać ją z dyżurki, w ten sposób wciąż jestem obserwowana. Spotykam w niej młodego chłopaka o ciemnej karnacji, ma południowy typ urody. Od razu mnie zagaduje:

— Jesteś nowa?

Chłopak ma poobijaną twarz. Prawe oko zaszło mu krwią, aż niemiło na to patrzeć. Ma może dwadzieścia pięć lat.

— Tak, jestem nowa.

— W którym pokoju cię umieścili?

— W akwarium.

Śmieje się.

— W akwarium? Co przeskrobałaś?

— Ano przeskrobałam. — Nie mam ochoty mu się zwierzać. — A ty czemu tu jesteś?

— Dałem wpierdol jednemu gościowi i mnie zamknęli.

— To za pobicie trafia się na psychiatrię? — dziwię się.

— Za jedno może nie, ale to już nie moje pierwsze. Sąd zalecił mi obserwację. Dojechałam takim jednemu dupkowi, on mi też, zobacz, jak wyglądam! Mnie zamknęli, a jego nie. Ale ja go jeszcze dorwę, niech tylko stąd wyjdę, zabiję skurwiela, zapierdolę mu!

Odechciało mi się palić. Wracam do akwarium. Jestem w nim sama, drugie łóżko jest puste. Nie bardzo wiem, co mam ze sobą zrobić, wciąż czuję dziwne podenerwowanie. Wyciągam kartki oraz kredki i zaczynam rysować, znowu małą dziewczynkę, nie mogę się od tego uwolnić. Nagle dzwoni moja komórka.

— Siostra? Stoję pod szpitalem, na którym jesteś oddziale?

— Janek? Trzeba było mnie uprzedzić! Jestem na osiemnastce, to na drugim piętrze.

Brat odkłada słuchawkę. Jestem zła, nie chcę go tu teraz. Nie chcę, żeby mnie widział w takim stanie, na dodatek w akwarium. Po pięciu minutach znów dzwoni.

— Stoję przed oddziałem, drzwi są zamknięte!

— Tam gdzieś jest dzwonek, pielęgniarka ci otworzy.

Znowu przerywa połączenie bez odpowiedzi. Ale nie przychodzi do mojego pokoju. Wychodzę na korytarz, nigdzie go nie ma. Gdzie się podział? Mija pół godziny, zanim się pojawia. Jest rozbawiony.

— Cześć, siostra, co, zamknęli cię?

Nie odpowiadam.

— Rozmawiałem z lekarzem, nawet dobrze mówi po francusku. Trułaś się?

Nadal milczę. Nie podoba mi się to pytanie, nie chciałam, żeby o tym wiedział.

— Kiedy się trułaś?

— Przedwczoraj. Tylko nic nie mów starej. — Zależy mi, żeby rodzice się nie dowiedzieli, w jakim jestem stanie.

— Za późno, zadzwoniłem do niej zaraz po rozmowie z lekarzem.

— Po coś to zrobił!?

Brat rozgląda się po pokoju.

— Co to za obrazki? Ty je narysowałaś? Co ty, w przedszkolu jesteś? — Znowu się śmieje. — A dlaczego tu jest okno w ścianie?

— Obserwują mnie.

— No to ładnie się doigrałaś. A co z pracą? Ile tu będziesz siedzieć?

— Nie wiem, pewnie tak szybko mnie nie wypuszczą. Praca na mnie czeka, powiedziałałam szefowi, że idę do szpitala.

— Pieniądze masz? Co z mieszkaniem?

— Nie mam.

— To jak zapłacisz czynsz?

— Nie wiem. Jakoś sobie poradzę.

— Powinnaś wziąć się w garść i poszukać porządnej pracy, a nie cudować.

— Mam depresję.

— Lekarz powiedział, że to nie twój jedyny problem, podobno ci nieźle wali na mózg.

— Jak to? Co ci powiedział? — Jestem zła, że doktor z nim rozmawiał. Powinien był najpierw spytać, czy sobie tego życzę.

— Mówił, że masz jakieś zaburzenia maniakalne.

— Mam chorobę afektywną dwubiegunową.

— Ale lekarz powiedział, że są na to leki, więc wychodź stąd i weź się w garść.

— Jak to wychodź? Myślisz, że mogę sobie stąd tak po prostu wyjść? — Staram się opanować, drżące dłonie chowam między kolanami.

— Nie wiem, ale tak też nie może być. Musisz iść do pracy, bo kto za ciebie mieszkanie opłaci? A jak nie, to spierdalaj do Polski, do starych. Bilet na autobus mogę ci kupić.

— Janek, ty nic nie rozumiesz...

— Może i nie rozumiem, ale wiem na pewno, że mieszkanie się samo nie opłaci.

— To teraz nie jest dla mnie najważniejsze.

— A co jest dla ciebie ważne? — Wyczuwam ironię w jego głosie.

— Żeby wyzdrowieć. Ja tu walczę o siebie, walczę o życie.

— Ale ty pieprzysz. W życiu trzeba zachrzaniać, trzeba być twardym. Dobra, widzę, że nie ma z tobą rozmowy. Może przyjadę w przyszłym tygodniu. Potrzeba ci czegoś?

— Papierosów... — odpowiadam nieśmiało.

— Zobaczmy. Na razie spadam. Trzymaj się, siostra.

Zostaję sama. Jestem przybita. Nie oczekiwałam zrozumienia, wiedziałam, że nie mam co na nie liczyć. Mimo to jestem rozczarowana. W głowie mam wciąż jego słowa: „Spierdalaj do Polski”. Dla niego wszystko jest takie łatwe. Ale on ma zupełnie inną osobowość niż ja. Jest silny, umie przeć przed siebie. Nie rozumie, co to depresja. Nie pojmuje, że człowiekowi może się czasem nie chcieć żyć.

Z zamyślenia wrywa mnie telefon.

— Marlena? Janek do nas dzwonił.

Mama brzmi poważniej niż zwykle. Biorę głęboki oddech.

— Tak, wiem, był u mnie przed chwilą.

Następuje cisza.

— Dlaczego to zrobiłaś? Tata się zdenerwował, aż go serce rozboleło i musiał brać nitroglicerynę.

— Nie mogłam już wytrzymać — odpowiadam cicho.

— Dlaczego do nas nie zadzwoniłaś?

— Po co...?

— I co dalej? — mówi mama spokojnie, ale smutno.

— Przenieśli mnie na inny oddział.

— Dostajesz jakieś leki?

— Na razie nie, dopiero w przyszłym tygodniu.

— No to kończę, bo dzwonię z komórki, majątek za to zapłacę.

— Dobrze, mam, pa.

— Pa.

Idę po kawę do sali dziennej. Nie ma w niej nikogo, wszyscy są na terapii. To pomieszczenie jest również obserwowane z dyżurki, czuję na sobie wzrok pielęgniarki. W palarni siedzi jakaś kobieta. Wyciąga do mnie dłoń.

— Cześć, jestem Isabelle.

— Cześć, Marlena.

— Nowa?

Pewnie teraz każdy będzie mnie o to pytał.

— Tak, nowa.

— Widziałam, że siedzisz w akwarium. Też tam byłam w zeszłym tygodniu. Przerąbane. Nawet ci się nie dadzą spokojnie wysrać.

— Jak to? Chyba nie pójda za mną do łazienki?

— Pójda, pewnie, że pójda. Zobaczysz. Nie spuszcza cię z oka ani na chwilę.

— Przecież łazienki są tu tak przystosowane, że nic sobie w nich nie można zrobić — odpowiadam.

— Można, można, wierz mi.

— Co na przykład? — pytam z ciekawości.

Wskazuje na swoje pończochy i szelmowsko się śmieje.

— Podobno za pomocą pończoch można holować samochód, więc powiesić się na nich też da — mówi.

— Ale jak? Przecież nie ma ich o co zaczepić?

— O drzwi. Przewieszasz pończochy przez drzwi, zamykasz i koniec.

Śmieje się zadowolona ze swojego sprytu.

— Próbowalaś? — pytam.

— Nie, ja się tylko trułam.

— Co połknęłaś?

— Tabletki nasenne.

— Ile?

— Dwieście sztuk.

— Ile!? — nie dowierzam.

— Dwieście. Ale zrobili mi płukanie i na gównu mi się to zdało. Mąż mnie znalazł.

— Skąd miałaś tyle tabletek?

— Wykombinowałam. Trzy miesiące je zbierałam. Lekarz mi nie chciał przepisać, więc chodziłam po aptekach i opowiadałam, że jutro lecę do Ameryki, a bardzo boję się latać i potrzebuję czegoś mocnego na sen. Prawie wszystkie aptekarki dały się ubłagać. I tak biegałam trzy miesiące po wszystkich aptekach w mieście i w końcu uzbierałam.

Wciąż w to nie wierzę.

— I wydały ci leki na receptę?

— Tak. Na co jesteś chora?

— Na zaburzenia maniakalno-depresyjne.

— Ja też. Bierzesz lit?

— Nie, co to jest?

— To lek, który podają większości pacjentom z tą chorobą. Niech go szlag trafi, dwadzieścia kilo po nim utylałam. — Klepie się po zaokrąglonym brzuchu. — A co ci dają?

— Na razie nic, dostawałam trevilor, ale mi nie pomógł.

— Mówię ci, tylko się nie daj zrobić w lit.

— Ty teraz masz manię czy depresję? — pytam, bo jej zachowanie nie jest jednoznaczne.

— Depresję. Jak byłam w ciąży, to miałam manię. Czułam się super, nigdy w życiu nie byłam taka szczęśliwa! Jak urodziłam w zeszłym roku, wpadłam w dół.

Znowu jej nie wierzę, bo kobieta wygląda na pięćdziesiąt lat.

— Masz małe dziecko?

— Tak, synka, skończył dwa miesiące.

— Mogę spytać, ile masz lat?

— Trzydzieści trzy. Wiem, że wyglądam starzej, to przez chorobę. Czekał, pokażę ci zdjęcie. — Wyciąga fotkę z portfela. — Było robione rok temu. To mój mąż i moja starsza córka.

A tu, w środku, to ja.

— To ty? Serio? — Kobieta na zdjęciu jest młoda, ładna i zadbana. W niczym nie przypomina tej, która siedzi obok mnie.

Nagle do palarni wchodzi kilka osób. Robi się tłoczno. Nie znam nikogo i czuję się źle, więc wychodzę.

Po kolacji siedzę w sali dziennej, nie mam ochoty być sama w akwarium. Pacjenci oglądają telewizję, ja robię na drutach. Zdążyłam już zrobić połowę szaleńczej narzuty. Nagle ktoś do mnie podchodzi. Młoda kobieta z uśmiechem pyta, czy może się dosiąść. Rozpoznaję ją. To Katja, była początkowo też na siedemnastce, ale nigdy nie nawiązałyśmy kontaktu. Zawsze chodziła swoimi drogami, a w trakcie posiłków siedziała przy innych stolikach. Kilka razy widziałam, jak płakała.

— Co tu robisz? Pamiętasz mnie? — pyta przyjaźnie. — Też byłam na siedemnastce.

— Nie wiedziałam, że tu jesteś. Pewnie, że cię pamiętam. Myślałam, że puścili cię do domu.

— Niestety, dostałam bilet do wyższej klasy.

— Czemu tu jesteś? — pytam.

— Doktor Schmitz stwierdził, że już nie można mi ufać, i wsadził mnie tu do akwarium.

Wyszłam dwa dni temu, nareszcie mam normalny pokój.

— Czyli też jesteś zagrożona?

Potwierdza głową.

— A ty?

Nie wiem, czy jej powiedzieć. Zawsze robiła na mnie wrażenie bardzo aroganckiej, ale teraz była miła i przyjazna. Postanawiam się jej zwierzyć.

— Połknęłam leki.

— Dziecko... Czemu to zrobiłaś? — pyta litościwie.

— Przecież wiesz, jak to jest...

— Tak, wiem. Nie ma lekko. Ale ten oddział jest lepszy.

Jestem zaskoczona.

— Dlaczego?

— Może to, że się jest zamkniętym, nie jest fajne, no i to akwarium... Ale ogólnie, tu się inaczej traktuje pacjentów. Poważniej. Mnie od razu wzięli w obroty, zmienili leki i już czuję się lepiej. Mają tu dobrych lekarzy, nie to co Schmitz na siedemnastce.

— Widzę, że mamy o nim podobne zdanie.

— Ten lekarz to pomyłka. Siedzę w tym szpitalu już trzeci miesiąc i pod jego opieką nie było żadnej poprawy. Cieszę się, że jestem teraz tu.

— Trzy miesiące? Strasznie długo. A na co tu jesteś?

— Na depresję. Typową, kliniczną depresję.

— Co bierzesz?

— Antydepresanty, wcześniej brałam prozac, teraz mi zmienili środki.

Na myśl o tym leku przypomina mi się jego obrzydliwy smak i robi mi się niedobrze. Tymczasem Katja ciągnie:

— Wyobraź sobie, że Schmitz kazał mi brać prozac, chociaż mówiłam mu, że w okresie dojrzewania miałam anoreksję i nadal mam takie skłonności. A prozac powoduje zmniejszone łaknienie. W efekcie w pierwszym miesiącu schudłam osiem kilo, bo prawie przestałam jeść.

Patrzę na nią. Ma idealną figurę, ale niezbyt ładną buzię. Wypływałe włosy i brzydka cera nie dodają jej uroku.

— Początkowo też miałam taki efekt uboczny po prozacu, mało jadłam. A teraz mi jakoś

wcale nie wchodzi, kolacji prawie nie tknęłam — mówię.

— Też go bierzesz?

— Nie, już nie. Ale to nim się trułam...

— Ile wzięłaś?

— Wszystkiego siedemdziesiąt tabletek.

— Chryste Panie... Miałas płukanie żołądka?

— Nie. Wszystko strawiłam.

— To pewnie dlatego nie możesz jeść.

— Ale to mi akurat nie zaszkodzi, przydałoby mi się trochę schudnąć.

— Idę do łóżka, ja tu chodzę spać z kurami. Pogadamy jutro. Trzymaj się.

Wstaje i klepie mnie po ramieniu.

— Ty też, dobranoc.

Zbliża się dwudziesta i wreszcie muszę zrobić to, czego starałam się uniknąć cały dzień — pójść do ubikacji. Jeśli Isabelle mówiła prawdę, to nawet tam nie będę miała spokoju. Siadam na toalecie. Po jakichś trzydziestu sekundach słyszę pukanie do drzwi:

— Co pani robi?

— Załatwiam się.

— Muszę wejść.

— Ale ja siedzę na toalecie!

— Muszę zobaczyć, co pani robi.

— Dobra, niech pani wchodzi.

Siostra otwiera drzwi i staje w progu. Po chwili odwraca się do mnie tyłem, ale najwyraźniej nie ma zamiaru sobie pójść.

— Potrzebuję trochę prywatności — mówię zła.

— Niestety nie mogę jej pani zapewnić.

— Ale ja robię kupę! Będzie tu pani tak stała!?

— Tak, przykro mi. Niech się pani pospieszy i szybko spuści wodę.

I tak pielęgniarka cały czas stoi tyłem do mnie, zatykając sobie nos, aż nie skończę.

16. Allah, Irak i dziewczica

W nocy nie mogę spać, ani na chwilę nie zmrużam oka. Rysuję.
W sobotę z samego rana dzwoni do mnie siostra z Polski. Brzmi agresywnie:
— Coś ty zrobiła!?
— Jak to co? O co ci chodzi?
— Mama mówiła, że się trułaś! Czyś ty zwariowała!?
— Co cię to obchodzi? — odpowiadam zrezygnowana.
— Ty się nad sobą zastanów, chcesz sobie zdrowie rozwalić!? Co połknęłaś i ile?
— Nie znasz tego leku.
— Trujesz się już drugi raz, przecież żołądek ci wysiądzie! Marlena, powiem ci coś: weź się w garść i nie użalaj nad sobą! Wyjdź z tego zakładu, idź do roboty!
— Muszę się wyleczyć.
— Nie jesteś chora, tylko leniwa! I użalasz się nad sobą!
— Uważasz, że trzymaliby mnie w szpitalu z powodu lenistwa?
— To co, będziesz siedzieć w tym zakładzie!? — krzyczy.
— To nie jest zakład, tylko szpital — wycedzam przez zaciśnięte zęby.
— Co za różnica! Trzeba iść do roboty, a nie się opieprzać! Odpowiedzią na doły jest praca! Weź się w garść, tłuściochu!
— Uważasz, że mam doły? Ty w ogóle wiesz, co to jest depresja?
— Wiem, lepiej niż sobie myślisz. Jak mi źle, jak mi niedobrze, nikt mnie nie lubi, nikt nie kocha. Pozbieraj się, dziewczyno, masz dwadzieścia siedem lat i nic w życiu nie osiągnęłaś. Studiów nie skończyłaś. Kim będziesz w życiu? Z czego się utrzymasz? Trzeba zapieprzać, a nie użalać się nad sobą!
Rzucam słuchawkę i wybucham płaczem. Zapłakana idę na papierosa, w korytarzu spotykam Katję. Nie pali, ale chce mi dotrzymać towarzystwa. Streszczam jej rozmowę z siostrą.
— Masz rodzeństwo? — pytam.
— Miałam siostrę, ale już jej nie ma.
— Starszą czy młodszą?
— Młodszą o pięć lat — odpowiada, spuszcżając wzrok.
— Moja jest ode mnie cztery lata starsza. Zachowuje się, jakby była najmądrzejsza. Przykro mi z powodu twojej siostry. Co się stało? — pytam delikatnie.
— Kiedy miała dwanaście lat, zachorowała na raka. Zmarła w moich ramionach. Wtedy postanowiłam, że zostanę lekarzem.
— Jesteś lekarzem?
— Tak, internistą. Kiedy mała zmarła, obiecałam sobie, że już nigdy nie będę stała bezsilnie przy łóżku chorego, więc poszłam na medycynę. Po studiach zaczęłam pracę w szpitalu, na oddziale dziecięcym. W ciągu trzech lat na moim dyżurze zmarło pięćoro dzieci. I tak wpadłam w depresję. Znowu byłam bezsilna. Chciałam pomóc tym dzieciom, ale nie potrafiłam. Myślałam, że mogę się bawić w Boga, ale życie pokazało, że nie mam żadnej władzy. Żadnej — podkreśla.
— To przykre. Gdzie pracowałaś?
— We Frankfurcie. Przyjmowałam też w przychodni. Teraz cofnęli mi pozwolenie na wykonywanie zawodu.
— Dlaczego?

— Bo jestem zagrożona samobójstwem. Ale co dziwne, nie zabrali mi legitymacji lekarza. Z tą legitymacją mogę w każdej chwili w całych Niemczech wejść do apteki i zażądać każdego leku na receptę. Nie wiem, po co mi cofnęli pozwolenie, skoro nadal mam dostęp do leków.

— Ale chyba zabrali ci je tylko na jakiś czas?

— Na nieokreślony. Jak się wyleczę, będę musiała stanąć przed komisją. Jeszcze rok temu miałam w szpitalu pacjenta po próbie samobójczej. Truł się. Wydarłam się na niego, opieprzyłam, że nie szanuje życia i że nie ma prawa o nim decydować. Nie potrafiłam pojąć, jak można się targnąć na życie.

— Teraz rozumiesz...?

— Tak, codziennie zastanawiam się, czy ze sobą nie skończyć.

— Powiedz, skoro jesteś lekarzem, bo nurtuje mnie jedna sprawa: jak to się mogło stać, że łyknęłam sześćdziesiąt tabletek prozacu i trochę innych rzeczy i nic wielkiego mi nie było?

— Też się nad tym zastanawiam. Przetrawiłaś wszystko, to nie wróży dobrze. Prozac może wywołać zmianę rytmu serca, więc jest niebezpieczny.

— Tak, jak połknęłam te tabletki, serce mi waliło jak oszalałe.

— Leki antydepresyjne mają opóźnione działanie. Połknęłaś je w środę?

— Tak.

— Dzisiaj mamy sobotę. Możliwe, że w najbliższych dniach pojawią się jeszcze jakieś nieprzyjemne skutki uboczne. Sama mówiłaś, że nie możesz jeść, to na bank od tego leku.

— Nie mogę też spać, jestem pobudzona. Praktycznie od czterdziestu ośmiu godzin nie zmrużyłam oka.

— Bo prozac ma działanie pobudzające.

— A na intensywnej terapii nie mogłam oddać moczu.

— Tak? To ciekawe. Widocznie prozac zakłócił pracę układu moczowego.

— Rozmawiałam tu z jedną pacjentką, mówiła, że wzięła dwieście tabletek nasennych.

— A tak, Isabelle. Wszyscy ją tu znają. Obnosi się z tym, jakby było się czym chwalić.

— Też odniosłam takie wrażenie. Dużo tu ludzi jak na sobotę — zauważam. — Nie jadą do domu?

— Niektórzy jadą, ale nie tak wielu jak na siedemnastce. Tu większość pacjentów jest w stanie ciężkim i nie wolno im wychodzić. Masz już kogoś do towarzystwa w akwarium?

— Nie, nadal jestem sama. Przykrzy mi się, przydałby się ktoś do pogadania. A ty z kim jesteś w pokoju?

— Z Anette, taką blondynką w moim wieku. Ale ona dostaje takie leki, że większość czasu śpi.

— Jesteś mężatką, Katja? — pytam, choć nie widzę obrączki na jej palcu.

— Nie, jestem sama. A ty?

— Witaj w klubie singielek.

— Samotność i depresja, to pewnie ma jakiś związek — mówi.

— Ale można być singlem i nie być samotnym, choć to sztuka. W moim przypadku takie rozwiązanie się nie sprawdza — podejmuję temat.

— W moim też nie. Schmitz uważa wręcz, że to mój główny problem. Powiedział, że moja depresja bierze się stąd, że nie uprawiam seksu.

— Żartujesz?

— Nie. Doktor Schmitz uważa, że gdybym nie była dziewicą, to nie miałabym depresji.

— Jesteś dziewicą? — jestem zaskoczona.

— Tak. Nie patrz na mnie w ten sposób, tak po prostu wyszło.

— Ile masz lat?
— Trzydzieści jeden.
— Jak ty się uchowałeś? — dziwię się; nie jest wprawdzie urodziwa, ale za to inteligentna i sympatyczna. No i ma nienaganną figurę, której jej zazdrozczę.
— Jakoś tak się złożyło. Na początku chciałam czekać do ślubu, potem zmieniłam zdanie, ale już nikt mnie nie chciał.
— Żartujesz sobie? Takiej świetnej dziewczyny? Przecież jesteś błyskotliwa, dowcipna...
— I może to jest właśnie problem — przerywa mi. — Faceci nie lubią zbyt mądrych kobiet.
— W pewnym sensie masz rację, ciężko jest dopasować faceta do swojego poziomu. Za głupi — źle, za mądry — też niedobrze. Mnie się trafiają same półgłówki.
— Wiem coś o tym — przytakuje głową.
— Zeszłego lata zamieściłam ogłoszenie matrymonialne w Internecie. To była regionalna strona Karlsruhe. Zgłosiło się wielu mężczyzn.
— A co napisałeś?
— Coś w stylu: „Puszysta, sympatyczna dziewczyna pozna pana do lat czterdziestu”. Odpalam kolejnego papierosa.
— I co, spotkałeś się z kimś?
— Z kilkoma tak. Niektórzy byli niepoważni. Było ich chyba pięciu i miałam wrażenie, że jeden był gorszy od drugiego.
Katja klaszcze w dłonie.
— Opowiadaj!
Krzywię się.
— Jeden przyszedł w skórze i w butach z krokodyla. A ja jestem przyjacielem zwierząt i już sam ten fakt wystarczył mi, żeby go skreślić. W każdym razie od początku zachowywał się głupio, śmiał się z byle czego i ciągle chciał, żebym mu przybijała piątkę. Porozmawialiśmy, wiesz, jak to jest, człowiek nawija o sobie, bo nie bardzo wie, co ma powiedzieć. Wspomniałam więc, że mówię po francusku. On na to: „Ha, ha, ha, ja po francusku nie umiem mówić, za to umiem po francusku robić! Przybij piątkę”. Myślałam, że padnę ze śmiechu.
Katja jest rozbawiona:
— I co mu odpowiedziałaś?
— Jak to co? „Gdzie byleś całe moje życie?” Nie, żartuję. Zaczęłam się po prostu śmiać, a w duchu marzyłam tylko o tym, żeby już iść do domu.
— A inni?
— Jeden był niechlujny. Miał brud pod paznokciami, długie tłuste włosy i dziurawą koszulkę.
— Ideal!
— Z innym poszłam najpierw na piwo, potem do kina. Był nawet sympatyczny i w miarę inteligentny, ale... Usiedliśmy na sali, a było pełno ludzi. Nagle w połowie filmu zaczął się bardzo kręcić i pocić. Trzymał się za brzuch, więc domyśliłam się, że ma problemy z trawieniem. Pytam: „Co się dzieje?”. On na to: „Muszę iść do ubikacji”. „To idź.” „Nie, bo tu tyle ludzi, nie ma jak wyjść, wytrzymam.” Po filmie wystartował do toalety jak z procy. Po dwudziestu minutach wychodzi cały spocony i mówi: „Ale dostałem sraczki! Takiej to już dawno nie miałem!”
Katja śmieje się.
— Takie rzeczy powinno się taktownie przemilczeć.
— W każdym razie ten chłopak kojarzył mi się już tylko ze sraczką. Może bym się z nim

umówiła jeszcze raz, ale za każdym razem, jak dzwonił i widziałam jego imię na wyświetlaczu komórki, myślałam: Auć, sraczką dzwoni — i nie odbierałam.

— Rzeczywiście, to nie jest wymarzone skojarzenie z facetem.

— Inny znowu całą randkę opowiadał mi, jak funkcjonuje jego świetny, drogi i bardzo skomplikowany zegarek. Ze szczegółami wyjaśnił mi cały mechanizm.

— Zegarmistrz?

— Gorzej, fizyk z wykształcenia. Gadał coś o jakichś trybach, nic z tego nie rozumiałam.

— Nie dziwię się.

W tym momencie do palarni wpada pielęgniarka i przerywa nam rozmowę:

— Pani Serafin, co pani tak długo tu siedzi? Pani musi być w akwarium! Wolno wypalić pani papierosa, a nie gadać tu w nieskończoność. Proszę wracać do pokoju, albo przynajmniej iść do sali dziennej, tam, gdzie panią dobrze widać z dyżurki!

Chcąc nie chcąc, muszę się pożegnać.

— Mogę z tobą iść do pokoju i dotrzymać ci towarzystwa — proponuje Katja.

Nie chcę jej zmuszać, by siedziała ze mną w akwarium.

— Nie, w porządku, posiedzę w sali dziennej i porobię na drutach.

Idę do pokoju po węgiel, lecz tu czeka na mnie niespodzianka. Mam nową sąsiadkę. Młoda dziewczyna siedzi na łóżku i modli się, trzymając w dłoniach obrazek z Jezusem.

Ucieszyłam się, że już nie jestem sama. Kiedy kończy, chcę się przedstawić:

— Cześć, jestem Marlina.

— Nie mówię po niemiecku — odpowiada po angielsku.

Na szczęście znam trochę ten język.

— Skąd jesteś?

— Ze Stanów. Z Kalifornii.

— To strasznie daleko stąd — próbuję nawiązać rozmowę. — Co robisz w Niemczech?

— Przyjechałam z mężem. Jest żołnierzem i stacjonuje tutaj. A teraz chcą go wysłać do

Iraku!

Dziewczyna zaczyna płakać. Jestem poruszona, siadam koło niej i próbuję pocieszyć:

— To straszne. Nie da się tego jakoś uniknąć?

— On nie może odmówić, nie ma takiej możliwości. Jak mu każą, to musi jechać. Wiesz, ilu żołnierzy wraca stamtąd w trumnach? — opowiada przez łzy. — Ale jak będę chora, to go nie wyślą, więc muszę być chora. Powiedziałam, że sobie coś zrobię, i mnie tu przywieźli.

— To twój pierwszy pobyt w takim szpitalu?

— Nie, byłam już leczona na depresję w Stanach. Jesteśmy małżeństwem dopiero dwa lata i już mam go stracić?

Nie wiem, jak ją pocieszyć, to rzeczywiście dramatyczna sytuacja.

— Jestem Jenny — uspokaja się trochę.

— Marlina.

— Co to za dziwne imię? — pyta.

— Polskie.

— Wiesz, ja się teraz trochę pomodłę. — Jenny szuka w pościeli obrazka Jezusa.

— Dobrze, zostawię cię samą.

— Poczekaj. Wierzysz w Boga?

— Wierzę, ale nie chodzę do kościoła.

— Dlaczego?

— Wierzę na swój sposób. Uważam, że kościół nie jest mi do tego potrzebny.

— A modlisz się?

— Tak, modlę się co wieczór.

— Pomodlisz się za mnie? Za to, żeby mojego męża nie wysłali do Iraku? — Patrzy na mnie błagalnym wzrokiem i widzę, że ma to dla niej duże znaczenie.

— Pewnie, pomodlę się.

Zabieram wełnę i druty i wychodzę. Siadam na kanapie przed dyżurką i z korytarza słyszę, że ktoś rozmawia przez telefon. Mamy tu aparat na monety. Rozpoznaję głos pobitego chłopaka, którego poznałam wczoraj w palarni.

— Mamo, obiecuję ci, przysięgam na Allaha, przysięgam na grób ojca, że już nigdy z nikim się nie będę bił! Mamo, uwierz mi, przecież cię kocham, nie okłamałbym cię. Niech mnie Allah ukarze, jeśli kłamię!

Po chwili chłopak kończy i przysiada się do mnie. Nie jestem zadowolona, boję się go trochę, ale nie daję nic po sobie poznać.

— Robisz na drutach? Co to będzie? — pyta.

— Narzuta.

— W poniedziałek stąd wychodzę, właśnie mi lekarz powiedział.

— Gratuluję, pewnie się cieszysz — odpowiadam, nie patrząc mu w oczy.

— Pewnie. Jeszcze jeden tydzień wśród tych czubków i sam bym zwariował. Ale jak wyjdę, to się będzie działo! Pierwsze, co zrobię, to się najebię, potem pójdę do tego skurwiela, co mnie tak urządził — wskazuje przekrwione oko — i mu zapierdolę. Zabiję gnoja! Popamięta mnie!

Nie wiem, co odpowiedzieć. Chłopak najwyraźniej oczekuje jakiejś reakcji. O czym tu rozmawiać z takim człowiekiem? Postanawiam zmienić temat.

— Masz jakąś pracę?

— Co? Zwariowałaś? Nie jestem taki głupi, żeby pracować. Inni pracują na mnie.

— To z czego żyjesz?

— Daję sobie radę, umiem się zakręcić.

— Sprzedajesz coś...?

Następuje długa cisza. Chłopak bada mnie wzrokiem i wreszcie szeptem odpowiada:

— To zależy, co byś chciała kupić.

— A co można dostać? — pytam z ciekawości, choć w sumie już domyślam się, co usłyszę.

— Wszystko, co chcesz. Jak masz kasę, to nie ma problemu.

Śmieję się sztucznie i próbuję obrócić rozmowę w żart.

— Nie, żartuję, nic nie chcę, wystarczy, że mnie tu faszerują lekami.

Na szczęście chłopak szybko traci mną zainteresowanie i zostaje sama.

Wieczorem karetka przywozi nową pacjentkę. Znam ją z uniwersytetu, ale tylko z widzenia. Okazuje się, że jest Polką, ale nie ma z nią kontaktu. Biega w tę i z powrotem, śmieje się i tańczy. Nie reaguje na nikogo, nawet na lekarza. Dostaje miejsce na korytarzu, tuż obok dyżurki, bo w akwarium już nie ma miejsca. Następnego dnia rano leży w łóżku w pasach, pacjenci opowiadają, że personel rzucił się na nią i obezwładnił.

17. Druga strona medalu

W niedzielę rano czuję się jakoś inaczej. Znowu całą noc nie zmrużyłam oka, to już trzecia moja doba bez snu. Mam nagły przypływ energii. Cały dzień spędzam w pokoju. Zastanawiam się nad moim życiem, nad tym, gdzie zabrnęłam, i jak się to wszystko skończy. Obwiniam Schmitza za to, co się stało. Nie pomógł mi, nic nie zrobił, chociaż widział, że spadam na dno. Zaczynam myśleć, że lekarze są moimi wrogami. Podejrzliwie patrzę na pielęgniarkę przez okno w akwariium. Siedzi, franca, i się gapi. Nie spuszcza nas z oka, raz patrzy na mnie, raz na Jenny. Ta ostatnia ciągle się modli. Skarbie, Bóg ci nie pomoże. Twój mąż pojedzie do Iraku i będziesz musiała się z tym pogodzić. Takie jest życie, brutalne. Nie ma złudzeń. Muszę być silna. Podczas posiłków przyglądam się pacjentom. Wydaje mi się, że do nich nie pasuję. Oni są chorzy, ja nie. Ja tylko znalazłam się w złym miejscu o złej porze. Ale jak stąd wyjdę, to wezmę się za siebie i będę żyć pełną parą. Przecież jestem silna. Mogę wszystko osiągnąć, jeśli tylko będę tego chciała.

Czwarta nieprzespana noc. Nie mogę nawet przymknąć powiek, czuję pęd do działania, czuję, jak energia mnie rozpiera.

W poniedziałek rano jest obchód. Tutaj odbywa się to inaczej niż na siedemnastce. Personel nie przychodzi do pokoju, lekarze przyjmują pacjentów w bardzo małym gabinecie. Przed wejściem znajduję w mojej szafce wydruk o trevilorze, którego z powodu problemów z koncentracją nie mogłam przeczytać. Teraz już nie mam z tym kłopotów. Czytam i oczom nie wierzę. Już wiem, co powiem tym konowałom — wcale nie chcą mojego dobra, są moimi wrogami! Nie dam się dupkom, już ja im nawtykam, tak szybko mnie nie zapomną! Myślą, że coś wiedzą, ale gówno wiedzą! Wchodzę do gabinetu pewnym krokiem i siadam przed trzema lekarzami. Bauer i jeszcze jakichś dwóch, których nie znam. Obok pod ścianą siedzi pielęgniarka i siostra. Psychologa nie ma.

— Jak się pani dzisiaj czuje? — zaczyna jeden z tych, których nie znam.

— Kim pan jest? Może się pan przedstawić? — rzucam twardo.

— Nazywam się doktor Handke, prowadzę ten oddział. Odpowie mi pani na pytanie?

— Czuję się świetnie — mówię pewnie.

— Tak? W zeszłym tygodniu się pani tak nie czuła. Co się zmieniło?

— Zeszły tydzień był dawno temu i nie ma już znaczenia.

— Ma pani jeszcze myśli samobójcze?

— Nie. Kiedy stąd wyjdę?

— A dokąd się pani tak spieszy? Ma pani jakieś plany?

— Chcę stąd wyjść, bo to nie jest odpowiednie miejsce dla mnie. Więc kiedy? — Patrzę lekarzowi prowokująco w oczy.

— To niestety na razie nie jest możliwe, musi pani u nas trochę posiedzieć. Dostanie pani nowe leki.

— Jakie leki?

— Antydepresyjne.

— Nie będę już brała żadnych leków, nie dam się wrobić.

— Wrobić w co? — pyta Handke.

— Schmitz kazał mi brać trevilor, mówił, że mi pomoże, a przeczytałam w ulotce, że ten lek może początkowo nasilać stany samobójcze. — Mój głos jest mocny, donośny, pewny siebie. — Więc co mi, do diabła, daliście?

— O tym może pani podyskutować z doktorem Schmitzem, tutaj dostanie pani inne leki.

— Nie będę brała żadnych leków!

— Możemy panią zmusić, ale proszę mi wierzyć, że by pani tego nie chciała.

— Do niczego mnie nie możecie zmusić! — Wstaję. — Jestem wolnym człowiekiem i nie macie prawa tak ze mną postępować!

Pielęgniarz, który do tej pory siedział beczynnie, podniósł się i chwycił mnie za ramiona:

— Niech pani usiądzie.

— Niech mnie pan nie dotyka! Co to ma znaczyć!? Łapy przy sobie! Nie możecie mnie tu trzymać bez mojej zgody! Proszę mnie natychmiast wypuścić!

Walę pięścią w stół, za którym siedzą lekarze. Ci jednak się nie odzywają. Siostra znika, a po chwili wraca z pasami w rękę. Handke wskazuje na nie.

— Pani Serafin, wie pani już, jak to się skończy?

Pielęgniarz staje nade mną, gotowy w każdej chwili mnie złapać.

— Ma pani typowe objawy manii — mówi spokojnie Handke. — W tej sytuacji dostanie pani inny lek, który zahamuje manię, a jednocześnie nie dopuści do nawrotu depresji. Będzie pani współpracowała?

Jestem zaskoczona, ale nie opuszcza mnie wola walki.

— Jaka mania? O czym pan mówi? Nie mam żadnej manii! Żadnych leków nie będę brała! Kurwa mać, pan powinien konie leczyć, a nie ludzi!

Na wszelki wypadek znowu jednak siadam, bo wystraszyłam się pasów.

— W takim razie unieruchomimy panią i podamy lek dożylnie. Wybór należy do pani — ciągnie lekarz beznamiętnym głosem. — To jak będzie?

— To niemożliwe, żebym miała manię, przecież dopiero co miałam depresję! Po prostu wróciłam już do siebie. Jestem sobą, taka jestem na co dzień. Pan mnie nie zna, to tego nie wie.

— Pani Serafin, mania może się pojawić nagle, co więcej, stany depresyjne i maniakalne mogą występować naprzemiennie nawet kilka razy w ciągu dnia. Poza tym, miała pani w zeszłym tygodniu traumatyczne przeżycie, które mogło wywołać manię. Mam na myśli oczywiście intoksykację. No i strawiła pani sześćdziesiąt tabletek prozacu, który też może być odpowiedzialny za obecny stan. Wygląda na to, że dopiero zaczyna pani wpadać w manię, możemy to szybko zahamować. Ale jeśli nie weźmie pani leków, mania będzie się nasilać z godziny na godzinę. To jak, będzie pani współpracowała?

Zastanawiam się. Cholera, czy naprawdę wpadłam w manię? Rzeczywiście, czuję się inaczej. Jestem pewna siebie i kłótliwa, naładowana agresją. Nie ma rady, jak nie wezmę tych leków, to się na mnie rzucą i skończę w pasach, z zastrzykiem w tyłku. Nie odzywam się. Milczenie przerywa Handke:

— Rozumiem, że się pani zastanowiła. Pierwszą tabletkę dostanie pani za chwilę. Zaczniemy od małej dawki, będziemy ją stopniowo zwiększać. To wszystko, może już pani iść.

Wychodzę bez słowa. Jak to możliwe, że wpadłam w manię? Jak to możliwe, żeby mój nastrój się tak diametralnie zmienił? Mam ochotę na kawę i papierosa, ale pielęgniarka przynosi mi od razu lek. Mówię, że chcę najpierw przeczytać ulotkę. Dostaję ją, ale niewiele z niej wynika. Lek nazywa się seroquel. Siostra pilnuje, żebym go połknęła. Idę na papierosa, potem siadam przed dyżurką i robię na drutach. Dwadzieścia minut po zażyciu specyfiku zaczyna się ze mną coś dziać. Najpierw mam zawroty głowy, potem czuję zmęczenie, które z minuty na minutę rośnie, aż w końcu mnie zniewala. Powieki same mi się zamykają, nie mogę utrzymać otwartych oczu. Chcę wstać i iść do łóżka, ale moje ciało odmawia posłuszeństwa. Mam wiotkie mięśnie, nogi mi się trzęsą, nie mogę się podnieść. Mój umysł jest trzeźwy, ale ciało mam ciężkie jak z kamienia. Boże, co oni mi zrobili? Z dyżurki wychodzi siostra i chyba widzi, że coś ze mną nie

tak:

— Pani Serafin, wszystko w porządku?

Otwieram usta, ale wydobywa się z nich tylko bełkot. Czuję się tak, jakby moje ciało się usamodzielniało, jakby było mi zupełnie obce. Siostra pomaga mi wstać. Prowadzi mnie do pokoju. Idę z zamkniętymi oczami, bardzo powoli, powłóczę nogami. Chce mi się płakać, ale nawet nad tym nie mam kontroli. Padam na łóżko i natychmiast usypiam.

Budzi mnie krzyk. Ktoś woła, gdzieś blisko mnie słyszę męski głos.

— Chodź! Chodź! Tu! Tuuuu!

Jest ciemno, tylko słabe światło z dyżurki wlewa się do akwarium. Patrzę na zegarek — dziewiętnasta trzydzieści. Przespałam cały dzień. Na dodatek to nie był normalny sen, mój stan bardziej przypominał śpiączkę. Idę do ubikacji, czuję się ciężka i ospała. Zauważam, że jestem oddzielona od łóżka Jenny parawanem. Co, u diabła? Zaraz, Jenny nie ma! Jakiś facet leży na jej miejscu! Leży i krzyczy:

— Chodź! Tuuuu!

Początkowo myślę, że to do mnie, ale mężczyzna patrzy tępo w sufit.

Po dłuższej chwili go rozpoznaję. Był kiedyś stałym klientem w sklepie, w którym pracuję. Nawet pamiętam, co kupował: zawsze paczkę papierosów i gazetę regionalną. Był bardzo miły. Potem dowiem się, że ma alzheimera. Czeka na miejsce w zakładzie. Ja tymczasem idę do sali dziennej. Jest dawno po kolacji, mogę się już tylko napić herbaty. Polka, którą przywieźli wczoraj, biega po korytarzu, śmiejąc się i klaszcząc w dłonie. Siedzę przed telewizorem i gapię się tępo w ekran. Jestem słaba i podłamana. Chce mi się płakać. Nagle ktoś od tyłu kładzie mi rękę na ramieniu.

— Co się dzieje, ptaszku? Cały dzień cię nie było widać.

Katja uśmiecha się do mnie dobrodusznie.

Siada obok, ale nic nie odpowiadam. Patrzy w moją stronę litościwie. Pewnie wyglądam jak siedem nieszczęść.

— Posadzili mnie — odpowiadam cicho.

— Jak to...?

— Nafaszerowali mnie czymś uspokajającym. Nawet się popłakać nie mogę. Doigrałam się.

Katja głaszcze mnie po ręku:

— Wiesz chociaż dlaczego? — pyta.

— Bo podobno wpadłam w manię. Narobiłam rabanu, to mnie posadzili.

— Mogę ci w czymś pomóc?

— Nie sądzę, ale dziękuję.

— Jakbyś czegoś potrzebowała, to zawsze możesz do mnie przyjść.

— Jesteś dobrym człowiekiem, Katja.

— Trzeba sobie pomagać w tym wariackowie. — Uśmiecha się. — Co to za lek?

— Seroquel.

— Nie znam go. Będziesz go brała doraźnie czy stale?

— Nie wiem. Powiedzieli tylko, że najpierw mi dadzą małą dawkę, a potem ją zwiększą.

Jak mnie już pierwsza dawka zwała z nóg, to nawet nie chcę myśleć, co będzie, jak dostanę dużą.

— Czyli będziesz to brała dłużej. Z czasem się pewnie przyzwyczaisz i nie będziesz już tak reagowała.

— Wiesz, ja myślę, że im wcale na nas nie zależy. Mają nas w dupie. Uważają, że leki wszystko załatwią. Faszcerują nas jak świny, jak króliki doświadczalne. Sami nie wiedzą, co

może nam pomóc, działają po omacku. Może to zadziała, a może tamto. A jak nie, to trudno, da się coś innego. Pacjent jest jak lalka. A jak ci się coś nie podoba, to w pasy. Grozili mi rano, że mnie przywiążą do łóżka.

Katja uśmiecha się.

— To musiałas im tam nieźle dać popalić.

— Może mnie trochę poniosło, ale żeby od razu w pasy? Na intensywnej terapii też mi grozili, bo chciałam wstawać i iść do ubikacji. Machali mi pasami przed oczami i się wydzierali. Jakbym była zwierzęciem.

— Na intensywnej terapii nie mogli cię zwięzać. Straszili cię tylko.

— Serio? Nie mieli prawa? To dlaczego tu mogą?

— Psychiatria rządzi się swoimi prawami. A na intensywnej terapii mogą unieruchomić tylko agresywnych pacjentów.

— Ale świnię. Nabrali mnie.

Katja wskazuje na dyżurkę.

— Tym tutaj możesz wierzyć. Ci mają prawo obezwładnić cię w każdej chwili.

Wystarczy im tylko jeden krótki telefon.

— Jaki telefon?

— Potrzebują na to zgody, wszystko musi odbyć się zgodnie z prawem. Mają od tego odpowiednią osobę w sądzie, podają tylko nazwisko pacjenta i w ciągu pięciu minut dostają faks z pozwoleniem.

— To ciekawe, nie wiedziałam o tym.

Nagle przywołuje mnie pielęgniarka, mówi, że lekarz chce ze mną porozmawiać.

Wchodzę więc do dyżurki i widzę kolejnego doktora, którego nie znam. Przedstawia się i od razu przechodzi do rzeczy:

— Jak się pani teraz czuje?

— Nie chcę brać tego leku, co mi go daliście rano. Zapadłam po nim w śpiączkę i bardzo źle się czułam.

Śmieje się i zagląda w moją kartę.

— Nie, w śpiączkę pani na pewno nie zapadła. To był seroquel? Ten lek może wywoływać senność. Skoro pojawiła się taka reakcja, to będzie go pani brała wieczorem, przed pójściem spać.

— Ale ja go wcale nie chcę. On mnie ogłupia. Panie doktorze — głos mi się łamie — ja już nic nie mam, został mi tylko mój rozum.

— Musi pani zrozumieć jedną rzecz: nie chcemy pani odebrać zdolności intelektualnych, tylko je przywrócić. Teraz może sobie pani z tego nie zdawać sprawy, ale pani intelekt pracuje gorzej niż normalnie. Powiem tylko tyle, a pani niech przytakuje, jeśli ma pani takie objawy. Problemy z koncentracją? Problemy z czytaniem, liczeniem, ze skupieniem się na rozmowie? Problemy ze śledzeniem filmu w telewizji? Problemy z nauką?

Za każdym razem potwierdzam.

— Sama pani widzi. Zmiana nie przyjdzie od razu, ale leki, które podajemy, postawią panią na nogi, również intelektualnie. Może teraz przejdę do rzeczy, nie rozmawiam z panią bez powodu. Potrzebujemy miejsca w akwarium, czy czuje się pani na siłach pójść do normalnego pokoju?

— Nie wiem, chyba tak. Zresztą co to znaczy: czy czuję się na siłach? W tej chwili nie mam siły na nic. Ale też nie wyobrażam sobie, żeby mogła zostać w akwarium z tym krzyczącym facetem.

— Rano stwierdzono u pani atak manii. A jak jest teraz?

- Teraz jestem otumaniona.
- Czy depresja wróciła?
- Nie, chyba nie.
- Czy ma pani myśli samobójcze?
- Nie.
- W takim razie będzie pani już dzisiaj spała w normalnym pokoju. Gdyby pojawiły się myśli samobójcze, proszę natychmiast do nas przyjść. Zrobi to pani?
- Tak, zrobię.
- W porządku. W takim razie ja się zegniam, a siostra pokaże pani nowy pokój. Dostaję salę blisko palarni. Jest w niej już Jenny.

18. Miłość i nienawiść

We wtorek przychodzi do mnie Barbiana. Pyta, czy chcę, by dalej prowadził moją terapię. Nie widzę powodów, żeby zmieniać psychologa. Zjeżdżamy na dół do jego gabinetu, pilnuje mnie na każdym kroku.

— Byłem kilka dni na zwolnieniu i nie wiem, co się działo. Jak to się stało, że przeniesiono panią na osiemnastkę?

Opowiadam o zdarzeniach z zeszłego tygodnia, o tabletkach, ataku manii i akwarium. Barbiana słucha uważnie i mówi:

— Pani Marleno, jestem rozczarowany. Okłamała mnie pani. W czasie naszej pierwszej rozmowy obiecała mi pani, że nic sobie nie robi.

Patrzy na mnie surowo.

— Wymusił to pan na mnie.

— Jak to wymusiłem? Więc pani mi po prostu przytaknęła?

— Tak, dokładnie tak. Co miałam zrobić? Gdybym tego nie zrobiła, to byście mnie od razu zamknęli na osiemnastce, a ja się strasznie bałam tego oddziału. Ostatecznie i tak na nim wylądowałam — wzdycham.

— Dlaczego pani to zrobiła? — Słyszę to pytanie kolejny raz w ciągu ostatnich dni.

— Mielście mi pomóc, zamiast tego mój stan wciąż się pogarszał. Myśli pan, że ile można wytrzymać? Jestem tylko człowiekiem.

— I jak się pani teraz czuje?

— Jakbym się zresetowała.

— Jak to?

— Mam wrażenie, że wszystkie moje problemy się oddaliły, jakbym wymazała wszystko, co było.

— Czyli czuje pani ulgę?

— W pewnym sensie tak. Jest ze mną dużo lepiej, nie mam już myśli samobójczych.

— Nie bała się pani brać tylu leków?

— Nie. Wszystko było mi w tamtym momencie obojętne.

— A pomyślała pani o tym, że może się obudzić sparaliżowana?

— Jak to?

— Przecież to mogło się stać. Łyknęła pani leki psychotropowe, mogły podziałać na system nerwowy i wywołać nieodwracalne szkody. Co by pani zrobiła, gdyby panią odratowano, ale tylko do takiego stanu, że stałaby się pani warzywem? Nawet by się pani nie mogła zabić.

Słucham psychologa z przerażeniem. Rzeczywiście, nie pomyślałam o takiej ewentualności.

— Sądziłam, że się już nie obudzę.

— To była bardzo ryzykowna próba zwrócenia na siebie uwagi.

— Jak to: „zwrócenia na siebie uwagi”? Myśli pan, że dlatego to zrobiłam?

— Tak, tak sądzę. Myślę, że ten czyn był wołaniem o pomoc.

— Gdybym chciała zwrócić na siebie uwagę, to bym wzięła krzesło i rzucała nim po oddziale. Albo bym komuś przywaliła. Na pewno zrobiłabym coś na widoku, na przykład przed dyżurką. A nie sama, w ciszy i ciemnym pokoju. Pan sugeruje, że zachowałam się jak rozkapryszona dziewczynka. Obraża mnie pan.

— Nie mówię, że zrobiła to pani świadomie. Niech mnie pani nie zrozumie źle, nie mam

o to pretensji. Ale proszę zobaczyć: tego dnia pojechała pani do miasta, do domu. Mogła pani skoczyć z wieżowca, położyć się na torach czy rzucić pod ciężarówkę, a jednak zdecydowała się pani połknąć leki tu, w szpitalu.

— Boję się drastycznej śmierci. Brakuje mi odwagi, żeby się rzucić pod pociąg. Myśli pan może, że to takie proste?

— Nie, nie myślę. Ale to, co pani zrobiła, też mogło się skończyć drastycznie. Mogła pani wylądować na wózku i wegetować do końca życia. Dzisiaj medycyna czyni cuda; zawsze panią odratują, ale może się pani znaleźć w takim stanie, że człowiek wolałby raczej nie żyć.

— Skoro pan jest taki mądry — mówię zgrzyliwie — to niech mi pan powie, dlaczego się tak nie stało. Nic mi nie było. Obudziłam się, jakby nigdy nic.

— Nie jestem lekarzem, ale sądzę, że miała pani bardzo dużo szczęścia. To już drugi raz w pani życiu. Niech się pani zastanowi, bo może za trzecim razem już nie będzie tak lekko. Nie można łykać sobie leków jak cukierki. Jest pani inteligentną kobietą, a robi takie nieprzemyślane rzeczy.

Następuje długa cisza.

— Napisała pani list?

— Tak.

— Co w nim jest?

— Nie wiem, prawie nic nie pamiętam.

— Ma go pani jeszcze?

— Tak.

— Niech go więc pani przeczyta i powtórzy wszystko swojej matce. Wszystko, co tam jest napisane.

Nie podoba mi się ten pomysł.

— Mam jej przeczytać mój list pożegnalny?

— Tak, dokładnie tak. Dlaczego się pani tak krzywi?

— Ale chyba napisałam tam, że ją kocham!

— No i właśnie to powinna jej pani wyznać.

— W życiu! Nigdy nie usłyszałam od niej czegoś takiego! Ona uważa, że uczucia to coś, czego należy się wstydić.

— Ale mimo to napisała to pani.

— Tak, napisałam, bo byłam zrozpaczona i myślałam, że to moje ostatnie słowa. Ale na pewno jej tego nie powiem.

— A może ona właśnie potrzebuje, żeby pani pierwsza to zrobiła?

— Mam ją uczyć okazywać uczucia? To chyba była jej rola?!

— Nienawidzi jej pani?

— Nie. Jest moją matką, więc żywię w stosunku do niej jakieś tam uczucia, to oczywiste. Ale ta moja miłość nie jest jakaś superwielka. Na pewno jej nie powiem, że ją kocham. Ona rzuca we mnie błotem, a ja mam zwrócić się ku niej z otwartymi ramionami? Powiedziała mi kiedyś, że powinna była mnie usunąć. A do mojej siostry wypaliła: „Powinnam była cię wysrać na kamieniu”.

— To bardzo przykre, usłyszeć coś takiego od matki.

— Mama uważa również, że nie powinnam mieć dzieci.

— Dlaczego?

— Bo dzieci to same problemy i nie ma z nich żadnego zadowolenia. Poza tym przekonuje mnie, że bym sobie nie poradziła. Moja mama sama zniszczyła kontakty ze mną i moim rodzeństwem. Ciągłe lata po znajomych, nasłucha się, jakie to oni mają dobre dzieci,

a potem opowiada nam o tym z wyrzutem. Bo inni to mają dzieci, co pomagają rodzicom, kochają ich i szanują. A za co ja mam ją szanować? Nie zasłużyła sobie na to, nie zasłużyła na ciepłe uczucia, bo sama ich nigdy nie miała.

— Widzę, że jest pani podenerwowana.

— Bo mnie pan wkurzył. Panu wszystko wydaje się takie łatwe: idź, powiedz, że ją kochasz, i już. Może tak to funkcjonuje w pana świecie, ale nie w moim. Jaka jest pana matka? Nie, niech pan nie odpowiada. Pewnie miał pan z nią świetne relacje i nadal tak jest. W mojej rodzinie wszystko jest wymuszone, sztuczne. Robię wiele rzeczy, bo tak wypada, podobnie jak moja mama. Ale to wszystko jest pozbawione uczuć. Niech pan sobie wyobrazi, że kiedy miałam osiemnaście lat, przyszła ze mną porozmawiać. Poczula się w obowiązku, by coś mi przekazać: „Marlena, ty to nie masz co liczyć na miłość, bo miłość jest tylko dla ładnych dziewczyn. Ty sobie lepiej poszukaj jakiegoś starszego pana, który będzie cię traktował jak księżniczkę tylko dlatego, że jesteś młoda. A o miłości to niestety musisz zapomnieć”. I niech pan sobie wyobrazi, że ona to mówiła w dobrej wierze.

— To bardzo przykre.

— Tak, przykre, znowu się pan powtarza, w kółko pan to mówi! Na tym ma polegać terapia? Że będzie mi pan mówił, że mam przykre życie? Tyle to ja też wiem.

— Dobrze, to powiem pani, co sądzę na ten temat. Myślę, że pani matka ma osobowość dysocjalną.

— A co to znowu?

— To jest zespół zaburzeń. Ludzie dysocjalni mają problemy z okazywaniem uczuć, z budowaniem kontaktów i podtrzymywaniem ich.

— Uczuć to ona na pewno nie umie okazywać. A jeśli chodzi o kontakty, to mama zawsze kalkuluje, kto jej się do czego przyda i ile ten ktoś ma pieniędzy. Nie zadaje się z ludźmi, z których w jej przeświadczeniu nie ma pożytku.

— Proszę, to typowy objaw osobowości dysocjalnej. Poza tym ma pewnie jeszcze skłonności do zrzucania winy na innych, nawet wtedy, gdy sama przewini.

— Trafił pan w dziesiątkę! Mama wszystko zwała na innych, zawsze szuka winnego. Kiedyś, jak złamała rękę, bo się wywaliła na chodniku, to uznała, że to przez jakiegoś przechodnia, bo się na nią gapił i ją zdekoncentrował.

Barbian się śmieje.

— To dobrze, że nie zwała winy na chodnik. Przepraszam za tę złośliwość.

— Jakie są jeszcze objawy?

— Taka osoba uważa, że wszystko wie najlepiej i nie przyjmuje racji innych.

— Nie mogę, mam wrażenie, że mówi pan o mojej mamie!

— Sądzę, że pani matka cierpi na poważne zaburzenia. Normalnie, jak człowiek ma problemy, to może iść na terapię i sobie poradzi. Jeśli natomiast chodzi o pani matkę, w ogóle nie widzę możliwości, żeby się zmieniła. Jej nikt nie pomoże, ona się nigdy nie zmieni. To pani się musi zmienić. Dlatego tak ważne jest, żeby pani się do niej zdystansowała.

— To bardzo trudne. Czasem, gdy ją widzę, od razu robię się agresywna. Kiedyś spytała mnie, dlaczego jej nienawidzę. Odpowiedziałam, że jej nie nienawidzę, tylko mam do niej żal. I że chcę, żeby przyznała się do błędu. Chciała wiedzieć, o co mam żal. O spieprzone dzieciństwo. Ona myśli, że miałam takie dzieciństwo, jakie miałam, przez tą pierwszą próbę samobójczą. Nie widzi w tym swojej winy. Mama jest często wulgarna. Jak na przedszkolankę z zawodu to nawet bardzo wulgarna. Wiele razy słyszałam, że jestem bydlę, kurwa, krowa, małpa, chamica. Ona nie ma żadnych zahamowań. Kiedyś w złości wykrzyczałam jej w twarz: „Nienawidzę cię”. Była wielce obrażona i domagała się przeprosin. Oczywiście musiałam to

zrobić, ojciec mnie przekonał. Ale ona za swoje wyzwiska nigdy mnie nie przeprosiła. Nie wiem, czy jest zbyt harda, czy honorowa. Nawet jak kogoś potrąci w supermarkecie, to się na to nie zdobędzie. Chyba by jej korona z głowy spadła.

— Potwierdza się moje zdanie. Pani matka żyje w swoim świecie, który rządzi się własnymi prawami.

— Mama miała trudne dzieciństwo. Dziadek był alkoholikiem, urządzał awantury i bił babcię. Żyli w skrajnej biedzie.

— Aha, czyli mamy też syndrom dorosłego dziecka alkoholika.

— Skoro jednak napatrzyła się na takie warunki, to dla swojej rodziny powinna stworzyć lepsze — ciągnę. — Całe życie goniła tylko za pieniędzmi. Jeszcze teraz bezczelnie potrafi powiedzieć, że nam się w dupach poprzewracało, bo byliśmy wychowywani w dobrobycie. Może na naukę nam dawała, na korepetycje na przykład, ale na podstawowe rzeczy często już nie. Zawsze chodziłam w jednych jeansach i było mi wstyd w szkole, lecz mama uważała, że drugie spodnie to już luksus. Jak robiłam pranie i mi nie wyschły, to musiałam iść do szkoły w mokrych, bo innych nie miałam. Siostrze nie chciała nawet dać na podpaski, kazała jej używać waty. I tak ciułała całe życie. I co dzisiaj z tego ma? Czasem myślę, że ona kocha pieniądze bardziej niż ludzi.

— Pani Marleno, rozmawiamy dużo o pani matce, a co z ojcem? Nigdy pani o nim nie mówi. Jak dotąd wiem tylko, że był milicjantem.

— Mój ojciec to dobry człowiek. Rodzice poznali się przez biuro matrymonialne. Niech pan sobie wyobrazi, że na pierwsze spotkanie tata przyjechał do mamy aż z Radomia. To sto kilometrów od nas, był rok osiemdziesiąty, wtedy taka podróż trwała pewnie kilka godzin. I czekał na nią w kawiarni. A mama stwierdziła, że jej się odechciało tego spotkania, i nie pojechała. Olała go. Ojciec czekał dwie godziny, aż w końcu poszedł na pocztę i do niej zadzwonił. Jakoś ją uprosił, żeby łaskawie przyjechała. Jak tak można? Trzeba sumienia nie mieć. Mama się do tego nie przyznała, ale ja uważam, że z jej strony to było małżeństwo z rozsądku. Pewnie sobie zaczęła kalkulować: mam troje dzieci, jestem po trzydziestce, pewnie lepszego już nie znajdę. Natomiast tata się w niej zakochał. I kocha ją do dziś. Chociaż jest zupełnie pod jej kapciem i nie ma nic do powiedzenia. Dzisiaj to wygląda tak, że mama podjudza ojca przeciwko mnie, a ten ślepo za nią podąża. Moje relacje z ojcem też bywają kiepskie, ale winna jest mama. Gdyby nie ona, to mój kontakt z ojcem byłby wręcz wzorowy.

19. Codzienna walka

Od kilku dni obserwuję Iwonę, Polkę, którą przywieziono karetką. Nadal nie ma z nią w ogóle kontaktu. Pewnego dnia przychodzi do niej młoda kobieta, która od razu mnie zagaduje.

— Ja panią znam — zwraca się do mnie po polsku.

— Tak? — Jestem zaskoczona. — Skąd?

— Widziałam panią kiedyś na spotkaniu studentów polskich na uniwersytecie.

Rzeczywiście, bywałam na takich zlotach.

Podaję jej rękę.

— Proszę mi mówić po imieniu, jestem Marlana.

— Marzena, miło mi. Przyszłam tu do siostry. — Wskazuje na Iwonę, która biega między stołami. — Nie reaguje na mnie. Nawet nie wiem, czy mnie poznaje. Jak ona się ma?

Zastanawiam się, czy powiedzieć prawdę, czy taktownie ją okłamać. Wybieram pierwszą możliwość.

— Nie zmieniła ubrania, odkąd tu przyjechała, nie myje się, nie je, pielęgniarki się nią w ogóle nie przejmują. Na noc przywiązują jej nogi pasami, żeby nie biegała.

— Naprawdę? — obruszyła się kobieta. — To okropne. Będę musiała z nimi porozmawiać. Iwona właśnie miała bronić pracę doktorską, kiedy to się stało. Poszła na imprezę, lekarze mówią, że ktoś jej podał pigułkę gwałtu, która wywołała psychozę.

Jestem w szoku.

— To straszne, ale czy doszło do gwałtu?

— Nie, koleżanki mówią, że cały czas była z nimi. Ona nigdy na nic nie chorowała, nie mogę tego zrozumieć. To taka inteligentna dziewczyna, jak to się mogło stać, że tu wylądowała?

Następnego dnia siedzę w palarni i słucham muzyki na mp3. Przez oszklone drzwi widzę zagubioną Iwonę na korytarzu. Wychodzę do niej, wygląda na to, że czegoś szuka. Nie może znowu znaleźć swojego pokoju, chociaż na drzwiach wisi kartka z jej imieniem. Zanim do niej dojdę, po nogach zaczyna płynąć jej mocz, po chwili stoi już w kałuży. Przebiera nogami.

Prowadzę ją do dyżurki i wracam na palarnię. Po dłuższym czasie idę do akwarium, by sprawdzić, jak się ma Iwona. Czuję się w jakiś sposób z nią związana, pewnie przez to, że jest moją rodaczką. Rozmawiać się z nią niestety nie da. Patrzę, a ona wciąż w tym samym ubraniu. Pielęgniarki tylko zmyły plamę z podłogi, a ją zostawiły samą sobie. Siedzą spokojnie w dyżurce i się nam przyglądają. Dość tego, myślę.

— Iwona, idziemy się umyć. Gdzie masz swoje rzeczy?

Dziewczyna patrzy na mnie jak dziecko i nie reaguje. Otwieram jej szafę. Po chwili jesteśmy już w łazience, każę się jej rozebrać, sama taktownie się odwracam. Nie słyszę jednak za sobą żadnego dźwięku. Iwona stoi, jak stała, nie reaguje na moje słowa. Muszę pomóc jej zdjąć ubranie i umyć się pod prysznicem. Zakładam jej czyste rzeczy i rozczesuję mokre włosy. Całą tę scenę obserwują pielęgniarki. Czuję wściekłość, ale leki już zaczęły działać i nie jestem tak asertywna, jak jeszcze kilka dni wcześniej.

Od tej pory Iwona zaczyna za mną chodzić. Często mówi, że chce pojeździć samochodem. Prosi mnie, żebym jej na to pozwoliła. Chwilami ma mnie za pielęgniarkę, innym razem za koleżankę ze Szczecina. Na moje pytania nie odpowiada logicznie. Pilnuję, by jadła posiłki.

Jest już marzec, powoli nadchodzi wiosna. Pewnej nudnej niedzieli siedzimy z Katją na balkonie, ja jak zwykle palę, ona dotrzymuje mi towarzystwa. Jest na tyle ciepło, że nie

potrzebujemy kurtek. Katja twierdzi, że i tak nie czuje ani zimna, ani ciepła, ani zmęczenia. Codziennie rano uprawia jogging na terenie szpitala. Mówi, że mogłaby biegać godzinami. Opowiada, że pierwszą oznaką depresji były u niej nagłe ataki bezruchu. Po prostu upadała i nie mogła się ruszyć. Tego dnia Katja jest jakaś inna. Po krótkiej wymianie zdań zbieram się na odwagę i pytam:

— Jesteś dzisiaj bardzo spokojna.

Katja przytaknęła głową. Zauważyłam, że nie patrzy mi w oczy.

— Bo ja już wszystko rozumiem — odparła.

— Co rozumiesz?

— Dokąd to wszystko prowadzi.

— Dokąd?

Uśmiechnęła się i spojrzała na mnie tak, jak patrzy się na małe dziecko, kiedy płacze.

— Ty też to kiedyś zrozumiesz, nie martw się.

— Ja się nie martwię o siebie, tylko o ciebie, nie podoba mi się twój ton.

— Poradzę sobie, nie przejmuj się mną. Wiesz, dzisiaj po raz pierwszy od dawna dobrze spałam. Śniła mi się piękna łąka, z kwiatami i motylami. Stałam na środku i kopałam dół.

— To chyba nie za dobry znak?

— Nie, dlaczego niedobry? Czulałam się w tym śnie spełniona. Marlena, co byś chciała w życiu robić?

Zastanowiłam się.

— Chciałabym być szczęśliwa — odpowiedziałam.

— Tak, wszyscy tego chcemy. Ale co to dla ciebie znaczy?

— Chciałabym zostać pisarką. Pisać książki, jeździć na spotkania autorskie. Mieć partnera. Znaleźć prawdziwą miłość. Chciałabym, żeby mama mnie kochała. Chciałabym się z nią nie kłócić. Złość mnie męczy. Kiedyś mamy zabraknie i będzie za późno na wszystko. Chciałabym, żeby świat stał się dla mnie nie czarny, jak teraz, tylko przejrzysty. Tak przejrzysty jak źródłana woda.

— I tego ci życzę. Zrób to wszystko: zostań pisarką, podpisuj książki na spotkaniach autorskich, znajdź fajnego faceta, pogódź się z matką.

— A ty czego potrzebujesz do szczęścia? — pytam.

— Spokoju. Już go osiągnęłam. Dziś rano, kiedy się zbudziłam, poczułam się szczęśliwa jak jeszcze nigdy dotąd. Muszę zostać na mojej łące, tylko na niej jest mi dobrze.

— Katja, gadasz jak potłuczona.

Śmieję się, a ona odwzajemnia mój śmiech.

— W końcu jesteśmy w wariatkowie, gdzie mam gadać jak potłuczona, jak nie tu? Teraz cię zostawię samą, idę na przepustkę.

— Na przepustkę? — zdziwiłam się. — Jesteś pewna, że to dobry pomysł? Czujesz się na siłach?

— Nie martw się o mnie, ja się nie dam. Zresztą wieczorem jestem z powrotem.

— O której?

— O dwudziestej.

— Liczę na to, że wrócisz cała i zdrowa.

Pogłaskała mnie po policzku.

— Tak będzie, mała. I pamiętaj, nic nie jest takie, jakie się wydaje. Życie jest ciągłą walką, ale ty tę walkę wygrasz. Walcz, mała, bo jest o co.

Wieczorem Katja nie wraca na oddział. Od personelu niczego się nie mogę dowiedzieć. Pielęgniarka zabiera jej rzeczy z sali.

Mam jej numer telefonu, ale komórka milczy. Dwa dni później wreszcie ktoś odbiera.
W słuchawce słyszę nieznanomy kobiecy głos.

— Czy mogę rozmawiać z Katją?

— Kim pani jest?

— Jestem jej koleżanką ze szpitala.

— Katja nie żyje. Powiesiła się.

20. Chęć życia

Niespodziewanie śmierć Katji wywołuje u mnie nie depresję, ale ochotę do walki. Miotam się między poczuciem winy a nagłym przyplywem energii. Obwiniam się, że tego dnia nic nie zrobiłam. Kiedy się teraz nad tym zastanawiam, staje się jasne, co znaczyły jej słowa. Wysyłała sygnały, ale je zignorowałam. Może ktoś bardziej kompetentny, na przykład psycholog, odczytałby je prawidłowo, ale ja nie potrafiłam tego zrobić. Katja mówiła o śmierci, ale to nie było wołanie o pomoc, tylko najgorsza faza depresji — pogodzenie się z samobójstwem. Stąd jest już tylko krok na drugą stronę. Jednocześnie myślałam, że należy uszanować jej wolę. Ale to młode, zmarnowane życie... A gdybym była na jej miejscu? Ile szans straciła Katja? Szansę na miłość, na udane życie. Moi rodzice nigdy nie pogodziliby się z moją śmiercią. Skrzywdziłabym ich, zawsze już pytaliby się siebie, dlaczego do tego doszło. Może nawet wzajemnie by się obwiniali? Przecież nie mogę im tego zrobić. Gdzieś tam musi być coś lepszego, coś wartościowego. Trzeba żyć i pozwolić, by los przyniósł nam to wszystko, co ma przynieść. Przecież życie nie jest pasmem niepowodzeń. Kiedyś karta musi się odwrócić. I na to będę czekać, a póki co, modlę się za Katję. Ciekawe, gdzie teraz jest? Na swojej łące? Według katolików samobójcy nie idą do nieba, bo zabijając się, łamią piąte przykazanie. Ale dokąd idą, jeśli nie do nieba? Do piekła? Bóg każe ich za to, że choroba ich zabiła? I niech mi nikt nie mówi, że samobójca ma wolną wolę. To nie wola, lecz choroba pcha ich ku śmierci. Czy Bóg karze swoje dzieci za to, że się poddały? W Polsce istniał kiedyś krzywdzący zwyczaj, że samobójców chowano pod murem cmentarza. Jakby byli wyklęci, napiętnowani.

Postanawiam modlić się co wieczór za duszę Katji. Kiedy byłam dzieckiem, po śmierci mojej babci modliłam się za nią, by poszła do nieba. Co dzień klepałam gorliwie pacierz w jej intencji. Po dwóch latach miałam sen: widziałam w nim babcię, która unosi się na obłoku. Wizja ta wydawała mi się tak rzeczywista, że po przebudzeniu byłam przekonana, iż babcia naprawdę poszła do nieba. Teraz nie mam złudzeń; nie wymodlę Katji zbawienia, bo modlitwa grzesznicy nie może mieć takiego oddziaływania jak modlitwa małego, niewinnego dziecka. Mimo to pamiętam o niej każdego wieczoru.

Z dnia na dzień czuję się coraz lepiej. Jestem przekonana, że trzeba walczyć. Wciąż trzęsą mi się ręce, mam nerwowy tik powiek, ale jestem gotowa żyć. Nie umyka to lekarzom. Dwa tygodnie później mój stan jest już na tyle dobry, że przechodzę na oddział dzienny. Tutaj spędza się czas codziennie od poniedziałku do piątku, od ósmej do szesnastej, potem zaś idzie się do domu. Oddział znajduje się w tym samym budynku, na parterze. Wciąż rozmawiam z psychologiem, uczestniczę w zajęciach, tylko noc spędzam w domu. Wieczorami maluję, oglądając jednocześnie telewizję. Bardzo polubiłam malowanie, co mnie zaskakuje, bo nigdy wcześniej tego nie robiłam, nie licząc czasów przedszkolnych. W nocy śpię dobrze, seroquel wciąż zwala mnie z nóg, choć już nie tak jak na początku. Wizyty na oddziale dziennym jednak mnie męczą. Muszę dojeżdżać na drugi koniec miasta, nie mogę wytrzymać w szpitalu do szesnastej, potrzebuję drzemki. Zrobiło się ciepło. Wszystko budzi się do życia, ja też. Miasto nie wydaje mi się już karykaturalne. Dawniej twarze obcych ludzi na ulicach mnie drażniły, dziś mi nie przeszkadzają.

21. Stosunki damsko-męskie

— Pani Marleno, rozmawialiśmy dotąd głównie o problemach z matką. A jak wyglądają pani stosunki z mężczyznami?

— Nijak — rzucam krótko.

Barbian uśmiecha się.

— Czyli?

— Są nijakie, bo ich nie ma. Nie mam chłopaka.

— Ale wspominała pani, że kiedyś miała.

— Stare dzieje, nie ma o czym mówić.

— Sądzę, że jest, ale pani chce mi uciec. Drażni panią ten temat?

— Tak jakby.

— Dlaczego?

— Nie chcę o tym rozmawiać.

— Pani Marleno, to ważne dla terapii, bo doszliśmy już przecież do wniosku, że rozczarowania natury sercowej wpędzają panią w manię. Dlatego interesuje mnie, jak wyglądają pani relacje z mężczyznami.

— Co chce pan wiedzieć? Proszę skonkretyzować pytanie.

— Czy była pani kiedykolwiek molestowana seksualnie?

Zastanawiam się.

— Nie. Tak. To znaczy nie. To znaczy tak. Chryste, musi mnie pan tak męczyć?

— Czyli jednak coś się zdarzyło?

— Czy ja wiem? Nie wyolbrzymiałabym tego.

— Opowie mi pani o tym?

— Nie.

— A jeśli poproszę?

Zaciskam pięści.

— To nie ma na mnie wpływu. Nie pozwoliłam, żeby miało. Wyparłam to, wymazałam z pamięci. To mnie nie zniszczyło. Jestem silniejsza niż to.

— Proszę kontynuować.

Dłuższą chwilę milczę, w końcu niepewnie zaczynam:

— Ja tego nie traktuję jako molestowanie. To były tylko złe doświadczenia.

— Zdarzyło się to zatem więcej niż jeden raz?

— Kiedy miałam sześć lat, naprzeciwko w bloku została zgwałcona moja pięcioletnia koleżanka. Jakiś mężczyzna zwabił ją do piwnicy słodyczami. Po tym zdarzeniu rodzice wszystkich dzieci w okolicy stali się przewrażliwieni na punkcie obcych i piwnicy. Piwnica stała się symbolem zła, a ja zaczęłam się potwornie bać tego miejsca. Kiedy miałam osiem lat, wracałam raz do domu z zabawy z dziećmi. Na klatce schodowej chwyciło mnie dwóch pijanych facetów. Zanieśli mnie do piwnicy; po prostu jeden z nich wziął mnie pod pachę, jak pakunek. Byłam tak sparaliżowana strachem, że nie mogłam krzyczeć. Nie wiem, co chcieli ze mną zrobić, mogę się tylko domyślać. W tym samym momencie do klatki weszła jednak inna dziewczynka, która oczywiście też miała od dłuższego czasu kładzione do głowy, że piwnica to zło. Narobiła wrzasku, obcy mężczyźni się spłoszyli i uciekli. Mama zawiadomiła policję, ale było za późno, szukaj wiatru w polu.

Barbian chciał chyba coś powiedzieć, ale rzuciłam w jego kierunku:

— Niech mi pan nie przerywa. Wyrazi pan swoją opinię, jak skończę, a do tego jeszcze daleka droga. Kiedy miałam jedenaście lat, wsiadł za mną do windy ekshibicjonista. Niewiele z tego rozumiałam. Nic mi nie zrobił, tylko się obnażył. Nie wiedziałam, o co chodzi, ale instynktownie czułam się zagrożona, wpadłam w panikę. Mieszkałam na ósmym piętrze, nagle jazda windą okazała się zbyt długa. Zaczęłam na oślep naciskać guziki, żeby się zatrzymała na jakimkolwiek piętrze. A później zdarzyło mi się jeszcze coś innego. Jako czternastolatka zaczynałam już nabierać kobiecych kształtów. Byłam wtedy sama w domu, robiłam pranie, byłam lekko ubrana. Przyszedł tak zwany wujek. Nie był z nami spokrewniony, był mężem koleżanki mamy. Przyniósł ze sobą słodycze, cukierki, pączki. Potem stało się jasne, że chciał mnie przekupić. Jadłam je, bo mnie męczył, żebym się częstowała. Nie chciałam już, ale był nachalny. Nagle zbliżył się do mnie, zaczął mnie przytulać, całować, zanim zdążyłam zareagować, wsunął mi rękę pod spódniczkę i pchnął mnie na łóżko. Zaczęłam się rzucać i krzyczeć. Nie byłam już małą dziewczynką, dobrze wiedziałam, co się święci. Wystraszył się mojego wrzasku. Zaproponował mi pieniądze, pamiętam nawet ile — pięćdziesiąt złotych. Powiedziałam, żeby się wynosił, bo wyjdę na korytarz i narobię rabanu. Nie napierał już na mnie, próbował mnie przekonać. Ruszyłam do drzwi wyjściowych, ale powstrzymał mnie: „Masz tu kilka cukierków, tylko pamiętaj, nic nie mów mamie”. Nie powiedziałam. Wstydziłam się. Jakiś rok później spotkałyśmy go na ulicy, ja i mama. Zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Mama była dla niego miła, śmiali się. Nie mogło mi się pomieścić w głowie, jak mogła go tak dobrze traktować. Ale o niczym przecież nie wiedziała. Kiedy „wujek” odszedł, wszystko jej wyznałam. Była w szoku i przyznała mi się, że do niej też się nieraz przystawiał. Od tej pory moi rodzice przestali kontaktować się z tą rodziną. Nigdy więcej go nie widziałam. To niestety nie koniec moich doświadczeń tego typu. Kiedyś byłam na urodzinach koleżanki, w domku letniskowym na wsi. O mały włos nie padłam ofiarą zbiorowego gwałtu. Dorwało mnie pięciu, może sześciu pijanych i naćpanych nastolatków. Rzucili mnie na łóżko, trzymali za ręce i pobili. Znowu miałam szczęście, uratował mnie jakiś chłopak z mojego osiedla, którego nawet dobrze nie znałam. Wróciłam do domu ze spuchniętą twarzą, powiedziałam rodzicom, że się upiłam i spadłam ze schodów. Dwa lata temu, kiedy byłam w Polsce, przypadkiem na ulicy spotkałam jednego z tych mężczyzn. Tego, który bił mnie najmocniej. W pierwszej chwili poczułam strach, ale zaraz minął. Im bardziej się zbliżał, tym bardziej chciałam mu spojrzeć w oczy. Wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy: markowe dresy, ogolona głowa, sportowe buty znanej firmy. Nie był sam, rozmawiał z kolegami i mnie nie zauważył. Czułam pogardę i wściekłość. Myślałam o nim jak o śmieciu, na który nawet nie warto splunąć. Potem było trochę spokoju, zmieniłam się w kobietę i myślałam, że mężczyźni nie będą mnie już tak traktowali. Oczywiście się myliłam. Pracowałam kiedyś w chińskiej restauracji, zmywałam tam naczynia. Pracodawca szybko dał mi do zrozumienia, że jeśli chcę zachować posadę, to muszę z nim sypiać. Odeszłam. To było w Strasburgu. W tym mieście pewnego razu pojechałam na rozmowę kwalifikacyjną w sprawie pracy. Była piętnasta, a w całym wielkim biurze nie spotkałam nikogo poza szefem. Był Szwajcarem. Rozmawiał ze mną rzeczowo, był miły, nic nie wskazywało na to, że ma złe zamiary. I nagle po prostu się na mnie rzucił. Wylądowałam na biurku, on na mnie. Moja reakcja była natychmiastowa — chwyciłam lampkę z biurka i zaczęłam go nią okładać. Biłam na oślep. To go zaskoczyło. Widać nie spodziewał się oporu. Wykorzystałam to i uciekłam. To wciąż nie koniec. Kiedy przeprowadziłam się do Karlsruhe, dostałam pracę w pewnej znanej knajpie jako kelnerka. Powtórzył się schemat z chińskiej restauracji. Szef dał mi wybór: albo wskakujesz mi do łóżka, albo do widzenia. Aha, zapomniałabym, w Strasburgu gonił mnie w parku ekshibicjonista. To tyle.

Barbian znowu chciał się odezwać.

— Chwileczkę, jeszcze nie skończyłam. Zanim pan cokolwiek powie, musi pan wiedzieć, że ja nie pozwoliłam, żeby te zdarzenia stały się dla mnie traumą. Chodzę z podniesioną głową, nie dam się zastraszyć.

— To ciekawa postawa. Kiedy miał miejsce ostatni taki incydent?

— Cztery lata temu.

— Cztery lata? Czyli przestała mieć pani problemy tej natury. Dlaczego, jak pani myśli?

— Bo jak skończyłam dwadzieścia pięć lat, zaczęłam gwałtownie tyć. Widzi pan, jak teraz wyglądam, nie jestem już atrakcyjna, więc mnie nikt nie napastuje.

— Pani Marleno, dlaczego pani utyla?

— Bo ja wiem? Mogłabym teraz powiedzieć, że mam złą przemianę materii albo skłonności genetyczne. Tyle że to bzdura, po prostu się objadałam.

— Dlaczego się pani objadała?

— Zajadałam depresję. Czułam się na chwilę lepiej. Ale to zamknięte koło, bo potem tyłam i to wpędzało mnie w zły nastrój.

— Nie pomyślała pani nigdy, że przytyła na własne życzenie?

— Pewnie, że na własne, przecież jadłam świadomie.

— Nie to mam na myśli. Sądzę, że w pewnym momencie, po tylu przykrych doświadczeniach z mężczyznami, chciała pani przytyć, żeby nie być już atrakcyjną kobietą i nie stanowić dla siebie zagrożenia.

— To tak się da?

— To jest mechanizm, który często pojawia się u kobiet, które były molestowane.

— Ja nie byłam molestowana — zaprzeczam twardo.

— Wiem, rozumiem, pani nie chce do siebie dopuścić tej myśli, lecz to nie zmienia faktu, że przeżyła pani coś traumatycznego i to na pewno odbiło się na psychice. Jak obecnie wygląda pani życie seksualne?

— Nie mam czegoś takiego jak życie seksualne.

— Dlaczego?

— Mówiłam już: bo jestem gruba i nieatrakcyjna.

— Wie pani, czym głosem wypowiedziała pani to zdanie?

— Jak to czym? Swoim.

— Nie, nie swoim, lecz matki. Przecież to ona zawsze powtarzała, że jest pani gruba i nieatrakcyjna. To ona wmówiła pani, że nie ma szans na miłość. Chcę, żeby teraz odrzuciła pani głos matki i powiedziała szczerze, dlaczego jest samotna.

Zastanawiam się długo.

— Jestem sama, bo nie mogę trafić na odpowiedniego mężczyznę.

— To już lepiej. A robi pani coś w tym kierunku?

— W zeszłym roku dałam ogłoszenie matrymonialne.

— I?

— Spotkałam się z kilkoma chętnymi, ale nic z tego nie wyszło.

— Dlaczego?

— Nie podobali mi się.

— A jaki musi być mężczyzna, żeby się pani spodobał?

— Inteligentny. Musi mi czymś zaimponować, być opiekuńczy i miły.

— A jaki nie powinien być?

— Chamski, wulgarny, niechłujny, szowinistyczny, głupi.

— A jaki był pani pierwszy chłopak? Ten, którego pani pobiła podczas ataku manii?

— Byliśmy bardziej przyjaciółmi niż parą zakochanych. Czułam się przy nim dobrze, był

bardzo opiekuńczy.

— Twierdzi pani, że byliście tylko przyjaciółmi. Dlaczego?

— Nie zakochałam się w nim. Początkowo byłam nim zauroczona, nawet bardzo, ale szybko mi przeszło.

— Ile byliście razem?

— Rok.

— Żałuje pani, że wasz związek się rozpadł?

— Nie. Zdecydowanie nie. To nie było to. Żałuję tylko, że skończyło się to w taki sposób. Żałuję, że go tak potraktowałam. Nie zasłużył na to, to był dobry człowiek.

— Macie jeszcze kontakt?

— Tak, ale rzadko. Poznał kogoś i przeprowadził się do Belgii. Czasem do mnie dzwoni.

— A drugi chłopak?

— O nim nie będziemy rozmawiać. Czy czasem nie kończy się nam właśnie przepisowa godzina?

— Owszem, kończy się i widzę, że się pani z tego powodu cieszy. Szkoda, chciałbym kontynuować ten temat za tydzień.

— Wolałabym nie.

22. Krzeselko szczęścia

Mój stan się polepsza. Zbliżają się moje urodziny i postanawiam, że nie spędzę ich w szpitalu. Proszę o wypis i go dostaję. Dzień przed wyjściem mam ostatnią rozmowę z psychologiem. Jak zwykle posyła mi uśmiech.

— Pani Marleno, jutro wielki dzień, prawda?

— Tak, czekałam na niego trzy miesiące, były momenty, kiedy myślałam, że nie nadejdzie wcale.

— Czuje się pani gotowa zmierzyć z rzeczywistością?

— Nie wiem. Chyba tak. Jest ze mną znacznie lepiej, nie boję się konfrontacji ze światem.

— Pani Marleno, mieliśmy dzisiaj kontynuować temat, o którym zaczęliśmy rozmawiać w zeszłym tygodniu, ale w obliczu tego, że jutro nas pani opuszcza, chciałbym spytać o plany na przyszłość.

— Mam zamiar wrócić do pracy w maju. Nie mam wielkiego wyboru, muszę zarabiać na życie. W tym miesiącu rodzice przysłali mi pieniądze, żebym mogła opłacić mieszkanie, ale nie są zamożni i to była tylko jednorazowa pomoc. Porozmawiam jednak z szefami, żeby zmienili mi zakres obowiązków. Nie chcę już siedzieć na kasie, to mnie męczy. Może znajdą dla mnie jakieś inne zajęcie.

— Ma pani konkretne i realistyczne plany, to dobry znak. A co z leczeniem?

— Będę oczywiście brała leki, zaordynowano mi lit. Pewnie zgłoszę się też na jakąś terapię.

— A co pani zrobi, jeśli myśli samobójcze wróć? Pomyślała o tym pani?

— Nie wiem. Wolę myśleć, że nie wróć.

— Lepiej się jednak zabezpieczyć na taką okoliczność. Przede wszystkim niech pani pamięta, że można uzyskać pomoc tutaj. Zawsze może się pani do nas zgłosić, choćby tylko na weekend, jakby się coś działo. Poza tym chciałbym dać pani wizytówkę z naszym czynnym całą dobę numerem alarmowym. Odbiera zawsze lekarz dyżurujący. W razie, gdyby pani stan się pogorszył i nie czułaby się pani na siłach przyjechać do nas, proszę zadzwonić, tutaj albo bezpośrednio na pogotowie, przyjadą po panią. Nie jest pani sama. Chciałbym też, by zrobiła sobie pani skrzynkę alarmową.

— Co to jest?

— To może być zwykłe pudełko, włoży pani do niego wizytówkę, którą pani przed chwilą dałem, oraz wszystko, co może pani pomóc, jeśli pojawią się myśli samobójcze. Za każdym razem, gdy będą panią nękały, proszę tam zaglądać. Co by pani mogła tam jeszcze umieścić?

— Może list pożegnalny, który napisałam, jak się trułam.

— Niech pani też włoży do środka listę z numerami do osób, z którymi może pani porozmawiać. Są takie osoby? Kto to mógłby być?

— Nie wiem, nie mam kogoś takiego.

— A co z rodzicami?

— Nie, to nie jest dobry pomysł. Nie rozumieją mnie, zresztą denerwowaliby się niepotrzebnie.

— Proszę się nad tym zastanowić, może warto spróbować. Kiedy będzie się pani gorzej czuła, proszę zadzwonić do mamy i jej o tym powiedzieć.

— Nie, nie wyobrażam sobie tego.

— Czego pani się obawia? Że powie: „Jesteś głupia”?

— Obawiam się niezrozumienia, poza tym nie chcę ich martwić. Ojciec jest chory na serce, jeszcze mu się coś stanie.

— Pani Marleno, niech się pani zastanowi nad dobrą terapią. Przede wszystkim musi być regularna, inna nie da efektów. Powinna pani popracować nad relacjami z rodziną, głównie z matką. Jeśli pani tego nie zrobi, będzie pani całe życie ciągnąć ten bagaż ze sobą. A to ciężkie brzemię. Kiedyś może się okazać za ciężkie.

— Postaram się coś zorganizować.

— Co może pani jeszcze dla siebie zrobić?

— Schudnąć?

— A co by się zmieniło, gdyby tak się stało?

— Chyba niewiele. Nie sądzę, żebym była przez to szczęśliwsza.

— Na pewno warto schudnąć dla zdrowia, ale nie powinniśmy się spodziewać, że to diametralnie odmieni nasze życie. Cieszę się, że pani to dostrzega.

— Chciałabym schudnąć dla lepszego samopoczucia. Ale to nie jest najważniejsze, nie płaczę w poduszkę, bo jestem gruba. Może kiedyś przyjdzie taki czas, że dam radę zrzucić trochę kilogramów. Na razie jednak nie planuję przejść na dietę, boję się.

— Rzeczywiście, powinna pani trochę odczekać, bo teraz jest pani jeszcze osłabiona psychicznie, a dieta wymaga dobrej kondycji duchowej. I niech się pani nie zraża, jeśli nie od razu będą efekty. Szczęście nie polega na byciu atrakcyjnym.

— A na czym?

— Na to pytanie musi pani sobie sama odpowiedzieć. Czego potrzebuje pani do szczęścia?

— Gdybym to wiedziała...

— Ależ oczywiście, że pani to wie. Trzeba to tylko z siebie wydobyć. — Barbiana wstał i postawił na środku gabinetu puste krzeselko. — Tu jest krzesło. Co musi się na nim znaleźć, żeby była pani szczęśliwa?

— Hm, niech się zastanowię. Miłość.

— Czyli partner. W porządku. Mamy miłość. Niech pani się przesiądzie na to krzesło. Wstaję, a Barbiana ciągnie dalej:

— Proszę zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że ma pani tę miłość. Jest pani szczęśliwa?

— Nie.

— Czego jeszcze pani brakuje?

— Poczucia bezpieczeństwa.

— Dobrze, więc mamy miłość i poczucie bezpieczeństwa. Jest pani szczęśliwa?

Zaprzeczam.

— Czego jeszcze pani potrzebuje?

— Akceptacji.

— Czyjej?

— Środowiska.

— Naprawdę? A proszę sobie wyobrazić, że akceptuje pani samą siebie. Proszę głośno powiedzieć: „Taka jaka jestem, jestem w porządku”.

— Taka jaka jestem, jestem w porządku.

— Mamy miłość, poczucie bezpieczeństwa i samoakceptację. Jest pani szczęśliwa?

— Hm, nie.

— Ale już jesteśmy bliżej tego szczęścia?

— Tak, ale jeszcze czegoś brakuje.
— Czego?
— Chcę pisać i wydawać książki.
— Czyli chce pani zostać uznaną pisarką?
— Tak, chcę pisać i wydawać.
— Niech pani powie głośno: „Jestem uznaną pisarką”.
— Jestem uznaną pisarką.
— Mamy więc miłość, poczucie bezpieczeństwa, samoakceptację, jest pani uznaną pisarką. Zamykamy oczy. Czuje pani to wszystko?
— Tak. — Wyobrażam sobie, że mam już wszystko, czego pragnę, i czuję ciepło w środku.
— Jest pani szczęśliwa?
— Nie...
— Coś jeszcze?
— Nie wiem... Nie wiem, jak to nazwać.
— Pomogę pani. Proszę powiedzieć głośno: „Mama mnie kocha i szanuje”.
— Mama mnie kocha i szanuje.
— Jest pani szczęśliwa?
— Nie... — wzdycham.
— Sądzę, że już jesteśmy bardzo blisko szczęścia. Czego jeszcze pani trzeba?
— Nie chcę już nosić w sobie złości. Nie chcę nienawiści. Chcę... Sama nie wiem...
Chcę być wolna od negatywnych uczuć.
— Co musi się stać, żeby pani już nie czuła złości i nienawiści?
— Nie wiem. Wyrzucić to wszystko z siebie?
— Jak?
— Nie wiem.
— Czy wybaczenie by pani w tym pomogło?
— Tak...
— Wybaczenie komu?
— Mamie...
— Proszę powiedzieć głośno: „Wybaczam mamie”.
— Wybaczam mamie.
— Ma pani miłość, poczucie bezpieczeństwa, akceptuje pani siebie, jest uznaną pisarką, wybaczyła pani mamie. Jest pani teraz szczęśliwa?
Zastanawiam się długo.
— Tak, jestem.
— Proszę otworzyć oczy. Gratuluję, właśnie zrobiła pani pierwszy, bardzo duży krok do tego, żeby być szczęśliwą. Uświadomiła sobie pani, jakie warunki muszą być spełnione. To dużo, większość ludzi nie potrafi sprecyzować, co jest im potrzebne do szczęścia. Jeszcze jedno pytanie: wierzy pani, że może to wszystko osiągnąć?
— Tak.
— W takim razie proszę te wszystkie rzeczy zapisać na kartce i włożyć do skrzynki alarmowej. Kiedy pojawiają się myśli samobójcze, niech pani weźmie tę listę, zamknie oczy i wyobrazi sobie, że to wszystko jest osiągalne, bo zależy tylko od pani. I niech pani pomyśli przez chwilę, tak jak dziś, że już to wszystko osiągnęła. Pani Marleno, to było nasze ostatnie spotkanie. Mam nadzieję, że udało mi się pani pomóc i że się więcej nie spotkamy w tym miejscu. Życzę, by znalazła pani wewnętrzny spokój i harmonię. Powodzenia.

23. Powiew wolności

Ostatniego dnia mojego pobytu na oddziale dziennym postanawiam się zrelaksować, by dobrze przygotować się na wyjście. W piwnicy, tam gdzie odbywa się terapia zajęciowa, jest pokój zwany chrapaczem. Nazywa się tak dlatego, że większość pacjentów w nim usypia. Ma on służyć właśnie do relaksu i wsłuchiwania się w siebie. Nigdy w nim nie byłam, miałam dziwne skojarzenia, myślałam, że wyspać to się mogę w łóżku, na oddziale. Terapeutka wpuszcza mnie do środka. Każe mi zamknąć oczy.

— Poprowadzę panią, tutaj są różne rzeczy, których można dotykać. Proszę nie otwierać oczu — mówi do mnie bardzo łagodnym tonem.

Kieruje moją dłoń do jakiegoś pojemnika.

— Co pani czuje?

— Piasek.

— Jaki jest ten piasek?

— Szorstki, bardzo drobny.

— Teraz drugi pojemnik. — Naprowadza mi rękę. — Co czuje pani teraz?

— To jest coś okrągłego, ale nie całkiem. Czy to fasola?

— To może być fasola, jeśli tego pani chce. Z czym się pani kojarzy?

— Z domem. Z fasolówką mojej mamy. Prawie czuję jej zapach w powietrzu.

— To przyjemne skojarzenie, prawda?

— Tak, bardzo. Kojarzy mi się z czymś dobrym.

— Teraz trzeci pojemnik, nie otwieramy oczu. Co pani czuje?

— Hm. Trudno powiedzieć. Coś gładkiego, jakiś materiał. Jest bardzo delikatny. Jedwab?

— Z czym się pani kojarzy?

— Z wytworną damą, która owija się drogim jedwabnym szalem. Szal jest spryskany wytwornymi perfumami.

— Przyjemnie pachną?

— Tak, bardzo.

— I ostatni pojemnik, co tu mamy?

Dotykam tego długo, macam, po czym nagle wiem już, co trzymam w dłoni.

— Muszelki! Jakie drobniutkie!

— Jakieś skojarzenia?

— Plaża, morze, świeża bryza. — Stojąc tak z zamkniętymi oczami, mam wrażenie, że czuję nadmorski powiew na twarzy.

— Była pani kiedyś nad morzem?

— Tak, dawno temu, z rodzicami.

— Zbierała pani muszelki?

— Tak, gdy byłam dzieckiem. Kąpałam się, budowałam zamki z piasku. Pamiętam smak słonej wody.

— Gdzie to było?

— Nad Bałtykiem.

— Chciałaby tam pani wrócić?

— Bardzo. Chciałabym poczuć zapach morza.

— Może pani już otworzyć oczy. Zauważyłam, że dla pani bardzo ważne są zapachy.

— Tak, to prawda. Zapachy przywołują wspomnienia.

— Proszę się rozejrzeć. Mamy tu łóżko wodne, może się pani na nim położyć, jeśli ma pani ochotę. Zostawię panią samą, drzwi zamknę na klucz, żeby nikt pani nie przeszkadzał. Wrócę za godzinę, w porządku?

— Tak, oczywiście.

Pomieszczenie jest średniej wielkości, panuje tu przyjemny półmrok. Po lewej znajduje się basen z piłkami, zupełnie jak w przedszkolu. Na piłkach siedzi wielki pluszowy miś. Spontanicznie wchodzę do środka. Piłki, mniejsze i większe, rozstępują się pod naporem mojego ciała. Biorę miśka giganta i kładę się.

Przyglądam się pokojowi. Pod ścianami stoją rzędy szafek, a na nich dziwne lampki, takie z ciecżą w środku, przez którą przebija delikatne kolorowe światło. W niektórych wirują kryształki. Z głośników dochodzi cicha muzyka i odgłosy natury. Leżę trochę z miśkiem i zauważam, że na jednej z szafek znajduje się jakiś bliżej nieokreślony przedmiot. Podchodzę i z zaskoczeniem stwierdzam, że to różne rodzaje kadzidełek. Obok leżą zapalki. Wybieram jedno z nich i zapalam. Natychmiast czuję przyjemny zapach, którego jednak nie mogę z niczym utożsamić. Kładę się na łóżku wodnym, które zaczyna się lekko kołysać. Najwyraźniej jest podgrzewane, bo czuję ciepło, które z każdą chwilą jest coraz bardziej intensywne. Po chwili wstaję, zabieram z basenu miśka i z powrotem wracam na łóżko. Przytulam pluszaka i układam się na wznak. Dopiero teraz dostrzegam na suficie, tuż nade mną, jakieś jasne paski. Są wyswietlane przez projektor, którego nie mogę zlokalizować. Obraz jest nie większy niż łazienkowe lustro. Po chwili paski przechodzą w kropeczki, potem w fale. Kojarzy mi się to z dziecięcą zabawką, której już od dawna nie miałam w rękach — z kalejdoskopem. Kolorowe obrazy zmieniają się powoli i zdaje mi się, że współgrają z muzyką. Odgłosy ptaków zastępują kojący szum fal. Zapach kadzidełka przyjemnie rozchodzi się po pokoju. Ogarnia mnie wrażenie bez troski. Czuję się jak w bajce. Jest tak, jakbym płynęła łódką w piękny dzień, na spokojnej wodzie. Miś pachnie trochę starością, ale teraz ta woń wydaje mi się przyjemna. Usypiam.

Budzi mnie terapeutka. Szkoda, że przespałam całą godzinę, chciałam się nacieszyć tą bajeczną atmosferą. Żałuję też, że nigdy wcześniej tu nie zajrzałam. Odkładam miśka. *Ciao, amore mio*, mówię do niego w myślach. Do końca dnia jestem spokojna, zrównoważona i radosna.

Przed opuszczeniem szpitala idę jeszcze na osiemnastkę, by odwiedzić Iwonę. Wciąż tam przebywa, ale jest już w dużo lepszym stanie. Była kontaktowa, wreszcie mogłyśmy porozmawiać. Opowiedziała mi, że pochodzi ze Szczecina, a do Niemiec przyjechała na studia. Chciała uczyć cudzoziemców niemieckiego. Przyjrzałam się jej. Siedziała przede mną piękna dziewczyna: czysta, pachnąca, schludnie ubrana, chyba nawet trochę umalowana. Miała śniadą cerę i kruczoczarne włosy, które miękko opadały na ramiona. Zazdrościłam jej urody, chociaż zdawałam sobie sprawę, że właśnie ta uroda stała się przyczyną tragedii tej dziewczyny, w końcu podano jej pigułkę gwałtu. Nie rozmawiamy jednak o tym, to dla niej zbyt bolesne przeżycie, nie jest jeszcze gotowa, by podjąć ten temat. Dostaje silne leki, skarży się na wywoływane przez nie skutki uboczne. Wymieniamy się numerami telefonów i przytulamy na pożegnanie.

Na siedemnastce dawno nie ma już ludzi, z którymi się zaprzyjaźniłam, wszyscy doszli do siebie i puszczono ich do domu. Po wyjściu z budynku odwracam się jeszcze na chwilę, patrzę na nowy kolorowy budynek psychiatrii. Spędziłam tu trzy miesiące, można powiedzieć, że się zadomowiłam. Teraz muszę pożegnać się z tym miejscem, zostawić tu wszystko, czego nie chcę zabierać do domu. Powinam zbudować mur między tym budynkiem a światem zewnętrznym. Tutaj czułam się bezpiecznie. Tam czeka mnie trudna rzeczywistość. Trzeba będzie znowu walczyć. Odwracam się w stronę ulicy — więc tak pachnie wolność. Poradzę sobie, myślę i odchodzę. Następnego dnia kończę dwadzieścia osiem lat.

24. Powrót do żywych

Jak wrócić do normalnego życia po pobycie w takim miejscu? Najlepiej wcale nie wracać. Szybko zdaję sobie sprawę, że nie mogę znowu żyć tak jak przed szpitalem. Ktoś na oddziale powiedział mi kiedyś: „Jak stąd wyjdiesz, nic już nie będzie takie, jak było. Ty nie będziesz taka sama”. Miał rację. Ostatnie lata żyłam w nierealnym świecie. Pracowałam i grałam we wszystko, co wpadło mi w rękę. Byłam uzależniona od gier komputerowych: przygodowych, ekonomicznych, wojennych. Potrafiłam spędzić dwanaście godzin bez przerwy przed monitorem. Przenosiłam się w świat wirtualny, bo on pozwalała mi zapomnieć o rzeczywistości. Kiedy grałam, nie czułam bólu. Mogłam być bohaterką, mogłam podbijać nowe tereny, zarabiać fortunę — czyli robić wszystko to, do czego nie byłam zdolna w prawdziwym życiu. Oderwanie się od komputera zawsze bolało i było dla mnie wstrząsem. Codziennie oddawałam się wirtualnemu światu marzeń, a potem zderzałam z brutalną rzeczywistością. Wpadłam w zaklęty krąg, z którego nie umiałam wyjść. W końcu, na krótko przed podjęciem leczenia, gry też przestały wystarczać.

Nie mogłam teraz do tego wrócić. Zresztą nawet nie miałabym na to czasu. Kilka tygodni po wyjściu ze szpitala zaczynam znowu pracować. Nie odważyłam się jednak usiąść znowu na kasie, boję się kontaktu z ludźmi. Szefostwo przydzieliło mnie do magazynu, na nocną zmianę. Pracuję sześć godzin dziennie, układam towar na półkach, zajmuję się rozładunkiem dostaw. To ciężka praca fizyczna, czasem w ciągu jednej nocy muszę przenieść trzydzieści skrzynek piwa z magazynu do sklepu, ale wolę to niż obsługiwanie klientów.

Seroquel powoduje, że sypiam szesnaście godzin na dobę. Praktycznie nie mam życia prywatnego, na dodatek zarabiam marne grosze, choć starcza mi na opłaty. Ale godzę się na taki rytm. Długi sen daje mi spokój i równowagę ducha. Biorę też lit, lek, przed którym ostrzegali mnie inni pacjenci. W szpitalu schudłam kilka kilogramów, w domu zaczynam tyć. Do tego dochodzą problemy z trawieniem, często mam biegunkę. W dzień śpię, wieczorami jeżdżę rowerem do sklepu, o trzeciej rano jestem z powrotem w domu.

Tak przetrzymuję lato. Czuję się w miarę dobrze. Po tylu miesiącach, a nawet latach męczarni wreszcie nie mam myśli samobójczych. Ale pojawiają się nowe problemy. Owładnął mną dziwny, bliżej niesprecyzowany lęk przed ludźmi. Cieszę się, kiedy mogę spędzać czas w magazynie, gdzie w środku nocy jestem praktycznie sama.

Mam stały kontakt z rodzicami. Mama dzwoni do mnie kilka razy dziennie, często tylko po to, by spytać, jak się czuję. Martwi się. Nie poprosiła też o zwrot sumy, którą przesłała mi, gdy w ostatnich tygodniach pobytu w szpitalu skończyły mi się pieniądze na czynsz.

Wraz z minieniem lata, coś znów zaczyna się ze mną dziać. Wprawdzie myśli samobójcze nie powróciły, ale z dnia na dzień moja aktywność zaczyna drastycznie spadać. Na terapię nie chodzę, zapisałam się w kolejce i czekam na wolne miejsce. Nie mogę też znaleźć psychiatry, u którego dobrze bym się czuła.

Ktoś w szpitalu polecił mi doktora Krause. Podobno cieszy się świetną opinią. Rozmawia ze mną długo, wypytuje o wszystko, robiąc przy tym trochę za lekkie jak na moje oko komentarze. Opowiada o swojej matce, która chorowała na depresję, zanim umarła w cierpieniu i osamotnieniu. Mówi, że nie potrafił jej pomóc: „Trzeba było jej walić zastrzyki w tyłek, to by przynajmniej pożyła. Teraz ja nie mam matki, a moje dzieci babci”. Na koniec wyciągam ziołowe tabletki uspokajające, które dostałam od szefowej. Pytam, czy mogę je brać wraz z przepiszanymi lekami. Ogląda je, kręci głową i mówi: „Może je pani brać, ale one pani pomogą

jak plasterek na chuja”.

Następny psychiatra został mi też polecony przez pacjentów w szpitalu. W jego poczekalni wiszą dziesiątki mniejszych i większych obrazów, wszystkie stare, malowane ręcznie. Pokrywają wysokie ściany od podłogi po sufit. Jestem zaskoczona, kiedy lekarz każe mi się rozebrać do bielizny. Sadza mnie na leżance i zaczyna obstukiwać młotkiem. Z tego, co mówi, rozumiem tylko tyle, że nie mam jakichś odruchów w nogach. Na koniec każe mi się położyć i podkurzyć kolana. Wyciąga coś, co przypomina metalowy grzebień, ale ma bardzo ostre końce. Przejeżdża mi tym po łydkach. Boli. Na skórze zostają delikatne ślady po zadrapaniach. Potem bada mnie na stojąco; po kolei staję na jednej i na drugiej nodze, wyciągam ręce przed siebie, celuję palcem w nos. Ujmuje moje dłonie i prosi, bym ścisnęła najmocniej jak potrafię. Bada mi jeszcze słuch. Małe urządzenie z dużymi słuchawkami piszczy mi raz w lewym uchu, raz w prawym. Lekarz wyrokuje, że mam słabe mięśnie i nie dosłyszę na lewe ucho. Kiedy siadamy przy biurku, zaczyna mi zadawać nietypowe pytania.

— Czym pani myje ubikację w domu?

Spoglądał na niego chyba trochę głupio, bo za chwilę powtarza pytanie.

— WC-kaczką — odpowiadam.

— Jaką?

Wymieniam nazwę znanego detergentu.

— To zawiera chlor. A czym pani myje podłogę?

Znów podaję markę produktu.

— Niedobrze. A czym pani wybiela pranie?

— Do czego pan zmierza? — niecierpliwie się.

— Wie pani, że w czasie pierwszej wojny światowej Niemcy używali chloru do zabijania?

— I co w związku z tym?

— Chlor to zabójcza trucizna. To detergenty zatrują nasz organizm, powodując zaburzenia, w tym też problemy psychiczne. Wystarczy, że myje pani ubikację i wdycha to świństwo.

— Czy to żart?

— Niech pani się zastanowi, sprzątaczkę są zawsze albo bardzo chude, albo bardzo grube, bo takie zaburzenia wywołują detergenty. To jest najgorsza trucizna naszych czasów, gdyby nie chemia, nie byłoby depresji, schizofrenii, psychozy. Pewnie wdychała pani takie opary już w dzieciństwie.

— To co, mam nie używać chemikaliów? A w czym zrobię pranie?

— W specjalnych płatkach mydlanych. Dam pani katalog firmy, która rozprowadza naturalne detergenty.

Kładzie przede mną prospekt. Zaglądam z ciekawości. W oczy rzucają mi się horrendalne ceny.

— Ile ta firma panu zapłaciła, żeby pan opowiadał ludziom takie rzeczy?

— Nikt mi za nic nie zapłacił. My używamy tych produktów, mamy czysto i bez chemii. Niech mi pani wierzy, zrobi pani sobie i swojemu zdrowiu przysługę. Jeśli przestanie pani używać tradycyjnych detergentów, nie będą pani potrzebne żadne leki. Choroba się cofnie.

— Tak po prostu? A słyszał pan kiedyś o Aleksandrze Macedońskim i Iwanie Groźnym? Oni byli psychicznie chorzy, a wtedy jeszcze nie było detergentów. Co pan na to?

— To były wyjątki. Myśli pani, że dlatego depresja była chorobą dwudziestego wieku? I nadal nią jest. To przemysł nas zabija. Postęp cywilizacyjny doprowadzi ludzkość do zagłady. Człowiek musi odnaleźć drogę do natury, a zacznie znowu normalnie żyć. Niech pani spróbuje.

Moja propozycja brzmi tak: nie przepiszę pani dziś żadnych leków, a pani pójdzie do domu i wyrzuci wszystkie detergenty. Proces oczyszczania organizmu będzie trwał kilka miesięcy, ale cofną się problemy psychiczne.

— Jak to, mam zrezygnować z leków? Czy pan oszalał? Mam się znowu stoczyć? Ja żyję dzięki lekom!

— Tak się pani wydaje. To kolejne kłamstwo naszej cywilizacji.

— Proszę mi wypisać receptę.

— Jak pani sobie życzy.

Mam ochotę powiedzieć mu, że nie powinien być lekarzem, ale się hamuję. Nie ma sensu z nim dyskutować. Zabieram receptę, zostawiam katalog, za miesiąc idę do innego lekarza.

Tym razem spodziewam się już, że się z nim nie dogadam, i niestety mam rację.

Psychiatra nawet na mnie nie patrzy, rzuca tylko pobieżnie okiem na wypis ze szpitala. Nie pyta, jak się czuję ani czy czegoś mi nie trzeba. Wypisuje po prostu receptę. Wizyta nie trwa nawet dziesięciu minut.

Jest już jesień, kiedy trafiam do doktora Winda. Polecenia jak dotąd nie przyniosły nic dobrego, wybrałam więc lekarza z książki telefonicznej. Idę do niego gotowa na kolejne rozczarowanie, lecz ku mojemu zaskoczeniu jest rzeczowy, profesjonalny, rozmowny, miły i zainteresowany mną jako pacjentką. Długo rozmawiamy; opowiadam mu o szpitalu i moich próbach samobójczych. Słucha i notuje, nie komentując. Wreszcie znalazłam psychiatrę, który sam nie jest kandydatem do leczenia na głowę czy też wyzutym z uczuć rutyniarzem.

Od momentu wyjścia ze szpitala co miesiąc muszę poddawać się badaniu krwi, które określa poziom litu w moim organizmie. Lek ten ma to do siebie, że musi osiągnąć określone stężenie w organizmie, żeby zadziałać, a każdy pacjent reaguje nań inaczej. Zbyt wysoka dawka może być jednak niebezpieczna, dlatego tak ważne jest regularne wykonywanie badań. Skutkiem ubocznym stosowania litu jest bardzo wzmożone pragnienie. Piję z miesiąca na miesiąc coraz więcej, nie mogę nigdzie pójść, bo zaraz chce mi się siku. Proste zakupy w supermarkecie są już problemem, bo nie wytrzymuję tak długo bez ubikacji. Na dodatek ciągle mam biegunkę, która nie ustępuje, choć lekarz twierdzi, że to nie od litu. Jesienią piję już tak dużo, że dochodzę dziennie nawet do ośmiu litrów płynów. Mówię o tym lekarzowi. Odpowiada, że kategorycznie muszę zmniejszyć tę ilość, bo to za duże obciążenie dla nerek.

Kiedy przez kolejny miesiąc nic się nie zmienia, doktor straszy mnie niewydolnością nerek i uświadamia mi, że jeśli nie poskromię pragnienia, będę musiała pójść do szpitala na odwyk od wody. Proszę go, by mi w takim razie zmienił lek, ale odmawia, argumentując, że lit dobrze działa na moją psychikę. Zdążyłam już utyć dziesięć kilo od chwili wyjścia ze szpitala. Na szczęście udaje mi się zejść z ośmiu litrów wypitej dziennie wody na sześć, co jednak w żadnym stopniu nie zmienia mojego problemu z ubikacją.

Mój nastrój powoli zaczyna się pogarszać. Po wyjściu ze szpitala nie był wspaniały, ale pozwalał mi w miarę normalnie funkcjonować. Teraz zaczynam znowu wpadać w dół. Pierwsze objawy są typowe — apatia i niechęć do działania. Coraz częściej zdarza mi się nie pójść do pracy, bo nie mogę sobie poradzić z myślą, że mam cokolwiek zrobić, choćby ruszyć się z fotela. Potrafię godzinami siedzieć przed telewizorem i oglądać co popadnie. Ale nie mam myśli samobójczych. Jestem w takim stanie po raz pierwszy w życiu i trudno mi go oddać w słowach. Zaczynam się bać o pracę, o to, co będzie dalej, boję się znowu przyszłości. Mówię o wszystkim mamie. Jestem z nią tak szczerą, jak jeszcze nigdy dotąd. Mama postanawia przyjechać do mnie.

25. Mama

Jesienny wiatr strącił już prawie wszystkie liście drzew, ale nadal jest ciepło. Stoję na przystanku, gdzie za chwilę ma wysiąść z autobusu moja rodzicielka. Cieszę się i boję. Dawno się nie widziałyśmy. Wysprzątałam mieszkanie, zrobiłam zakupy, ładnie się ubrałam. Czy mama to zauważy? Nie, pewnie pomyśli, że ja tak zawsze. Nawet nie będzie wiedziała, że to wszystko dla niej. Nigdy dotąd nie odwiedziła mnie za granicą, nigdy nie była w Niemczech.

Autobus nadjeżdża z prawie godzinnym opóźnieniem, mama jest jedną z pierwszych osób, które wysiadają. Zrobiła sobie trwałą, kupiła nową kurtkę i spódnicę, widać, że też się postarała. Jej szeroki uśmiech rzuca mi się z daleka w oczy. Witamy się czule i serdecznie. Opowiada, że podróż nie była tak męcząca, jak się spodziewała. Pomagam jej wziąć walizkę i jedziemy do domu. Mieszkanie jej się podoba, choć składa się tylko z jednego pokoju, aneksu kuchennego i łazienki.

Przywiozła mi zawekowany bigos i fasolkę po bretońsku. Ona wie najlepiej, co lubię. Pierwszego dnia prawie wcale nie rozmawiamy, jest senna i wczesnie kładzie się spać. Śpimy obok siebie na materacach, nie mam nawet łóżka.

Następnego dnia mam wolne i mogę poświęcić jej cały czas. Pogoda jest piękna, idziemy nad rzekę. Miasto bardzo jej się podoba. Po długim spacerze proponuję obiad we włoskiej pizzerii.

— Jestem dumna z ciebie, że tyle lat sobie radzisz za granicą — zaczyna mama, gdy czekamy na jedzenie.

— Nie zawsze sobie radzę.

— Ale jeszcze sobie poradzisz, jeszcze wrócisz na studia, będziesz panią magister.

— Mamo, nie wrócę na studia — odpowiadam niepewnie.

— Jak to nie wrócisz? Przecież musisz skończyć studia. — Mówi to takim tonem, jakby to było najbardziej oczywistą rzeczą na świecie.

— Nie wyobrażam już sobie takiego stresu. Zresztą, jak mam to zrobić, śpię po szesnaście godzin dziennie. Kiedy mam chodzić na zajęcia? A nauka?

— To ci przejdzie. Teraz nie czujesz się na siłach, ale jeszcze dojdiesz do siebie, odstawisz leki i wrócisz na uniwersytet.

— Lekarz powiedział mi, że muszę brać leki do końca życia.

— Lekarz się myli. Przecież ludzie wychodzą z depresji.

— Ale ja nie mam zwykłej depresji, mam chorobę afektywną dwubiegunową, to można tylko zaleczyć.

Kelner przynosi nam nasze pizze. Są bardzo duże jak na dwie kobiety.

— Nie zamierzasz więc kończyć studiów? — W jej głosie wyczuwam pretensję.

— Nie. Nie wyobrażam sobie tego.

— To co będziesz robić w życiu? Nosić skrzynki w sklepie? Przecież jesteś taka zdolna...

— Na razie muszę dojść do siebie, jeszcze nie czuję się na siłach zmieniać cokolwiek w moim życiu, podejmować nowe wyzwania.

— W takim razie powinnaś wrócić do Polski.

— I co tam będę robić?

— Zamieszkaś u nas, na początek możesz się zająć tłumaczeniami, a potem coś się wymyśli.

Spuszczam wzrok.

— Nie widzę sensu w powrocie do Polski.
— Ja bym wolała cię mieć przy sobie, ojciec też, przynajmniej dopóki nie staniesz na nogach.
— Chyba jestem już trochę za stara, żeby mieszkać z rodzicami.
— Ale my cię zawsze wspomozemy, nie damy ci wpaść w dół. Wtedy, tamtego dnia...
— Wiem, mamó — przerywam jej.
— Mogłaś do nas zadzwonić.
— Co miałabym wam powiedzieć?
— A pomyślałaś o nas? O tym, co my czujemy? O ojcu, o mnie?
— Pomyślałam.
— Widać za mało. Trzeba się cieszyć życiem, tym, że słońce świeci, że masz dach nad głową, że masz co włożyć do garnka, że masz jeszcze rodziców, którzy ci zawsze pomogą.
— Miałam do was zadzwonić, żebyś mi powiedziała, że trzeba się cieszyć, bo słońce świeci?
— Jesteś jeszcze taka młoda. Nie tak cię wychowałam.
Czuję, jak krew napływa mi do twarzy.
— A jak mnie wychowałaś? Myślisz, że może lepiej?
— Niczego ci nigdy nie brakowało.
— Brakowało mi jednej, podstawowej rzeczy: uczuć — cedzę przez zaciśnięte zęby.
— Czego ode mnie oczekiwałaś? Ja nie mam sobie nic do zarzucenia.
— Dlaczego nie czytałaś mi bajek na dobranoc?
— O to masz pretensje? Że nie czytałam ci bajek?
— Dlaczego mnie nigdy nie przytulałaś?
— Nie miałam czasu. Ganiałam za pieniędzmi. Ktoś się musiał troszczyć o dom, żeby wam niczego nie brakowało. Wszystko mieliście: kiełbasy, szynki, codziennie mięso na obiad.
— A na tyłek zawsze jedne jeansy, bo na drugie już żałowałaś. Ale mnie nie o to chodzi. Nie zajmowałaś się nami, zostawiłaś nas samym sobie.
— A co, miałam was po dupach lizać?
— Jesteś wulgarna. Zawsze byłaś. Wyzywałaś nas.
— Jak zasługiwaliście, to wyzywałam. A wiesz, jak mój ojciec na mnie kłął? Wiesz, w jakich warunkach myśmy się wychowali? Wiesz, jak to jest, gdy wieczorem nie możesz zasnąć, bo masz świadomość, że ojciec poszedł pić i wróci pijany, wyciągnie wszystkich z łóżek i będzie awantura? Wiesz, jak to jest patrzeć, kiedy ojciec bije matkę?
— Skoro miałaś takie doświadczenia, to powinnaś się tym bardziej postarać, żeby dać swoim dzieciom coś lepszego.
— A nie dałam? Czego wam zabrakło?
— Uczuć, mamó, już ci mówiłam.
— Uczuć? Wiesz, jak to jest, jak się je suchy chleb z mlekiem? Ja tak całe dzieciństwo miałam! Chodziłam do szkoły bez majtek, a w lato pasłam krowy na bosaka! Ty miałaś wszystko, czego dusza zapagnie!
— Myślałaś tylko o dobrach materialnych, a o naszym życiu emocjonalnym już nie.
— Gdyby nie ja, nic byście nie mieli! Kupa gnoju by z was była!
Uciszam ją, bo za bardzo się uniosła. Na szczęście w małym lokalu jesteśmy jedynymi gośćmi. Odechciało mi się jeść. Mama za to wcina pizzę i ciągnie dalej:
— To tylko i wyłącznie twoja wina, że masz takie życie, jakie masz!
— Niby dlaczego moja?
— Bo się trułaś, jak miałaś trzynaście lat. Jesteś gruba i nikt cię nie chce. Jesteś

niezaradna, nie umiesz sobie radzić w życiu.

— Dopiero mówiłaś, że sobie świetnie radzę.

— Do tej pory sobie radziłaś. A co będzie dalej? Jakbyś się wtedy nie truła, nie miałabyś dziś depresji.

Mój widelec upada z brzękiem na talerz.

— A pomyślałaś, dlaczego się trułam? Przecież to ty kazałaś przepisać swojej lekarce leki, które wpędziły mnie w depresję!

— Bzdura.

— No to proszę, powiedz mi, dlaczego się trułam?

— Bo byłaś głupia.

— To jest dla ciebie odpowiedź na wszystko. Jak już nie wiesz, co powiedzieć, zawsze mówisz, że jestem głupia. Przez ciebie całe życie czuję się głupia i nic niewarta.

— Nie mam sobie nic do zarzucenia. Wszystko wam dałam.

— Kurwa, nic nam nie dałaś!

— A do ojca czemu nie masz pretensji?

— Ojciec okazywał mi uczucia. Poza tym dziecko zawsze bardziej patrzy na matkę. A ty nas udupiałaś. Miałaś nas za nic.

— A kto ci przysłał pieniądze na mieszkanie, jak byłaś w szpitalu?

— Owszem, przysłałaś i dziękuję ci za to, ale to cię nie usprawiedliwia.

— Inni mają dzieci za granicą, co im pieniądze dają. Ludzie mają dzieci jak z obrazka, a ja takie wyrodne bachory. Powinnaś była was wszystkich posłać w pieruny.

— Usunąć?

— Przynajmniej bym miała spokojne życie i na wszystko by mnie było stać. A tak mam same problemy.

— Przyjechałaś, żeby mnie wkurwiać?

— Przyjechałam, żebyś znowu nie wpadła w depresję, a ty mnie o wszystko obwiniasz. To nie moja wina, że ci się pojechało we łbie. Jak jesteś psychiczna, to sama sobie jesteś winna. Ja to mam dzieci: jedno ćpa, drugie jest podłe, trzecie egoistyczne, a czwarte psychiczne.

Rzucam sztucce i wstaję gwałtownie. Nie zjadłam nawet połowy pizzy.

— Mamo, idziemy.

— Przecież jeszcze nie zjadłyśmy.

— Ja się już najadłam.

— Przecież zapłacisz za to. Siadaj i jedz. Trzeba zjeść wszystko, bo szkoda.

— To takie typowe, cała ty. Najważniejsze są pieniądze — mówię z goryczą, siadając.

— Pewnie, że najważniejsze, bez pieniędzy nie ma szczęścia.

— Ale one go też nie dają. Całe życie się jeszcze tego nie nauczyłaś? Bardziej kochasz pieniądze od własnych dzieci.

— Ale przynajmniej coś osiągnęłam. Mam dom, wypracowaną emeryturę na stare lata.

— Myślisz, że pieniądze wszystko załatwią? A kto się będzie tobą opiekował, jeśli będziesz tego wymagała? Z wszystkimi dziećmi jesteś skłócona. Co będzie, jak dostaniesz wylewu i staniesz się niedołączna?

— Oby do tego nie doszło, bo od was to nawet garnuszka wody nie dostanę.

— Nie poprawiasz swojej sytuacji, gadając takie głupoty.

— Wynajmę sobie pielęgniarkę.

— Wiesz, ile to kosztuje? Myślisz, że cię będzie stać?

— Wynajmę sobie kogoś, a dom oddam na Kościół.

— A jak stracisz władze umysłowe? Nie będziesz sama o niczym decydować, staniesz się

całkowicie zdana na nas. Chcesz, żebyśmy cię tak potraktowali, jak ty nas w dzieciństwie? Zadbamy o to, żebyś nie była głodna i miała się w co ubrać. A poza tym będziesz leżeć sama jak palec i nikt się nawet do ciebie nie odezwie.

— Wiem, że jesteście do tego zdolni. Znam moje dzieci.

— Nie, nie znasz mnie, nie masz pojęcia, co czuję.

— Byłaś zawsze wybuchowa i pyskata, a do tego bujałaś w obłokach. I nic się nie zmieniłaś. Kawał cholery z ciebie. Jesteś agresywna. O co ty właściwie masz do mnie wieczne pretensje? Biłam cię, ciągałam za włosy, piłam wódkę, przepuszczałam pieniądze?

— Tak, biłaś mnie.

— Jak zasłużyłaś, to dostałaś.

— Nie biłaś nas, jak to robią zwykle rodzice. Ty nas poniżałaś. Wyciągałaś przedłużacz i kazałaś się kłaść na łóżku z wystawionym tyłkiem.

— I tak tego nigdy nie zrobiłaś.

— Ja nie, bo się nie dawałam tak traktować, ale Łukasz to robił. Kładł się, a ty go lałaś. I za co? Za pierdoły.

— Dupa nie szklanka, nie rozbije się. Wielka krzywda się wam nie stała.

— Biłaś mnie, jak uciekałam z domu. A nie przyszło ci do głowy, żeby spytać, co się dzieje? Uciekałam, bo miałam depresję. Przecież widziałaś, jak wracałam ze szkoły i od razu się kładłam do łóżka. Nie przyszło ci do głowy, że coś jest nie tak?

— Przecież chodziłam z tobą do lekarza.

— Do neurologa, który faszerował mnie jakimiś lekami, cholera wie na co. Wiesz, że ja w ogóle nie pamiętam siódmej klasy?

— To gdzie miałam cię prowadzić, do psychiatry?

— Może trzeba było. Może teraz bym nie była w takiej rozsypce.

— Przecież byłaś w szpitalu, teraz pracujesz, nic po tobie nie widać, wszystko jest w porządku.

— Nic nie jest w porządku. Ciągłe się trzęsę, jestem apatyczna, sikam trzydzieści razy na dzień, boję się ludzi i cały czas śpię.

— To wracaj do Polski.

— Przecież to nic nie zmieni!

— Ale ja chcę cię mieć na oku, jeszcze znowu ci co strzeli do tej mózgownicy.

— Gdyby coś się ze mną działo, nawet byś tego nie zauważyła.

— Bo o tym trzeba rozmawiać. Musisz się nauczyć, że jak ci jest źle, to masz do mnie zadzwonić. Ja ci zawsze poukładałam w głowie.

— Tak, powiesz mi, że życie jest piękne, bo świeci słońce.

— Chcę żebyś mi obiecała, że do mnie zadzwonisz, jak się znowu będziesz źle czuła.

Potem będziemy myślały, co dalej.

— Bez sensu.

— Nie bez sensu, tylko masz mi obiecać, tu i teraz. Jesteś moją córką i zawsze nią będziesz. Kto cię lepiej zrozumie niż matka? To jak?

— Dobra, zastanowię się.

— Nie chcę wrócić do domu i martwić się, że sobie coś zrobisz. Jakbyś się zabiła, ja...

Nie wiem... Nie wyobrażam sobie...

— Chodźmy już, mamó.

26. Martin

Kolejne dni mama spędza u brata w Strasburgu. Kiedy wraca, jest nastawiona pokojowo. Gotuje mi domowe potrawy, spaceruje sama po okolicy. Czasem, gdy nie mam już siły i chcę się położyć, daję jej do zrozumienia, żeby poszła sobie pochodzić po mieście. W nocy często przez sen pakuje się na mój materac, zabierając mi miejsce. Czuję jej ciepło. Jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem i przychodziłam do niej w nocy, gdy śniły mi się koszmary. Po ciemku siadałam na fotelu w jej sypialni i słuchałam, jak spokojnie oddycha. To mnie uspokajało.

Pewnego dnia poznaję w sklepie Martina. Oferuje mi pomoc we wnoszeniu skrzynek, po czym zaprasza mnie na kawę w weekend. Jestem zdziwiona, ale godzę się. Początkowo nie dopuszczam do siebie myśli, że mogłabym mu się podobać. Jest wysoki, przystojny, inteligentny. Tacy mężczyźni nigdy się mną nie interesowali. Ostatnio znowu przytyłam, moje poczucie własnej wartości nikło wraz z każdym dodatkowym kilogramem. Ale Martin jest miły, uśmiecha się do mnie, okazuje zainteresowanie.

Na sobotnią randkę zakładałam najlepsze ciuchy, maluję się, czego już bardzo dawno nie robiłam, a tuż przed spotkaniem idę do perfumerii i dyskretnie psikam się perfumami za ponad sto euro, o których zawsze marzyłam. Mama cieszy się razem ze mną i życzy mi powodzenia. Martin czeka na mnie w irlandzkim pubie, posyłając mi na przywitanie czarujący uśmiech. Jest informatykiem, pracuje w dużej korporacji. Opowiada mi o swojej pasji — malowaniu obrazów. Niedługo będzie miał wystawę w miejskiej galerii. Jest szarmancki, elokwentny i nie spuszcza mnie z oka. Nosi gustowne okulary, znad których patrzy na mnie niebieskimi oczami, przesywając mnie wzrokiem na wskroś. Staram się zachować dystans. Zbyt dobrze jeszcze pamiętam, że zaangażowanie zawsze kończy się bólem. Ale od Martina bije ciepło. Czy taki mężczyzna mógłby mnie zranić? Opowiadam mu, że chcę zostać pisarką. Nie wspominam nic o chorobie. Niestety od rana mam biegunkę i w ciągu randki trzy razy ląduję w ubikacji. Martin mówi, że regularnie przychodzi do naszego sklepu i już dawno zwrócił na mnie uwagę. Jak to się stało, że go nie zauważyłam? Po prostu nie mieścił się w kategorii mężczyzn, na których mogłam sobie pozwolić. Tacy jak on byli poza moim zasięgiem. Tacy jak on chodzili z pięknymi dziewczynami, zadbanymi i szczupłymi. Nie pasują do niego nawet wizualnie. Mimo to rozmawia nam się świetnie, między nami wyraźnie iskrzy. Odprowadza mnie do domu, prosi o numer telefonu.

Mama czeka na mnie w piżamie, mimo późnej pory. Podekscytowana relacjonuję jej przebieg spotkania.

- Zapłacił za mnie!
- Proszę, chłopak ma gest. A dałaś mu buzi na do widzenia?
- Dałam, dałam. Ale w policzek.
- Trzeba było go w usta cmoknąć!
- Zwariowałaś? To za wcześnie.
- Ech, dziewczyno, gdybym ja była w twoim wieku, z tą wiedzą, którą mam teraz o mężczyznach, to bym sobie wzięła najlepszego faceta.
- Jakoś wzięłaś zwykłego.
- Bo byłam taka głupia jak ty.
- Ja nie jestem głupia.
- Ale z facetami nie potrafisz się obchodzić. Jakbyś umiała, to już dawno byś sobie jakiegoś przygruchała. O czym rozmawialiście?

- O naszych pasjach. On jest malarzem.
— Czyli artysta. Może pedał?
— Przecież się ze mną umówił. Artysta od razu musi być pedałem?
— A ty co mu powiedziałaś?
— Że chcę zostać pisarką.
— Zwariowałaś? Nic lepszego nie mogłaś wymyślić?
— Mamo, nie zaczynaj.
— Przecież nie będziesz żadną pisarką.
— Nie ty będziesz o tym decydować.
— Dziecko, do tego trzeba mieć talent i siłę przebiccia, myślisz, że ktoś się zainteresuje twoimi wypocinami?
— A dlaczego nie?
— Bo nie masz talentu.
— Skąd wiesz? Nigdy nic mojego nie czytałaś.
Machnęła ręką.
— Ty się lepiej zajmij czymś pożytecznym, a nie znowu fruwasz w obłokach.
— Pisanie jest pożyteczne i kreatywne.
— Strata czasu na pierdoły. Z tego nigdy nic nie będzie, przestań marzyć, dziewczyno.
— Nie będę z tobą dyskutowała na ten temat.

Zaczyna mi się z nią dłużyć. Praktycznie cały mój wolny czas spędzamy razem, w mieszkaniu nie mogę przed nią uciec, w końcu mam tylko jeden pokój. Coraz częściej i coraz mniej grzecznie proszę, żeby poszła pospacerować. Czuję się osaczona. Nie wiem, ile ma jeszcze zamiar zostać, ale zaczynam wyglądać jej wyjazdu i tęsknić za ciszą i spokojem. Denerwuje mnie jej gadanie, komentuje wszystko, co robię i mówię. Jest przerażona liczbą leków, które łykam. W sumie biorę dwanaście sztuk dziennie. Ale wiem, że dzięki temu funkcjonuję.

Tydzień po pierwszym spotkaniu znowu umawiam się z Martinem. Jestem nim coraz bardziej oczarowana. Zaczynam dopuszczać do siebie myśl, że to może się udać. Ta wiara staje się jeszcze mocniejsza, kiedy chłopak całuje mnie na pożegnanie w usta i zaprasza na przyszły weekend do siebie na kolację. Cieszę się jak dziecko.

Tymczasem w pracy czeka mnie niemiła niespodzianka: zostaję zwolniona, rzekomo z powodu kryzysu. Z dnia na dzień zostaję bez pracy. Nie mam oszczędności, wszystko, co posiadam, starczy tylko na bieżące wydatki. Czuję się oszukana przez szefową, z którą się przecież zaprzyjaźniłam. W prywatnej rozmowie telefonicznej dowiaduję się, że do mojego zwolnienia przyczynił się fakt, że dużo kratkowałam. Nie przychodziłam do pracy, bo nie miałam siły. Zostało to odebrane jako lekceważący stosunek do obowiązków.

Mama bardzo się zmartwiła i znowu zaczęła mnie namawiać, żebym wróciła do Polski. Ja jednak nie widzę takiej możliwości, myśl o tym mnie przeraża. Muszę szybko znaleźć jakieś zajęcie, bo kończą mi się pieniądze. Postanawiam uderzyć tam, gdzie najłatwiej jest coś dostać. Szukam posady sprzątaczkki. Nie czuję się na siłach, żeby znaleźć coś lepszego. Obiecuję sobie, że to tylko przejściowe rozwiązanie. Na szczęście taka praca pozwala dobrze zarobić.

Daję ogłoszenie w Internecie i umawiam się na kilka spotkań. We wszystkich przypadkach chodzi o sprzątanie mieszkań, kilka godzin w tygodniu. Kiedy idę na pierwszą rozmowę jestem pełna nadziei. Właściwie to jestem przekonana, że pójdzie jak z płatka, w końcu to tylko sprzątanie. Kiedy drzwi otwiera mi młoda kobieta i zaprasza do środka, nagle nie mogę złapać tchu. Wchodzę do mieszkania i siadam przy stole. Duszę się i trzęsę. Kobieta pyta, czy dobrze się czuję. Wybiegam na dwór, bo mam wrażenie, że zaraz stracę przytomność. Łzy kapią mi na policzki. Dobre dwadzieścia minut łąkam i zanoszę się głośnym płaczem. Kiedy się

uspokajam, zaczynam się zastanawiać, co się stało. Znam to uczucie. To samo przytrafiło mi się kilka lat temu podczas referatu z hiszpańskiego. To atak paniki. Ale dlaczego do tego doszło? Czyżby strach przed ludźmi wziął we mnie górę?

Postanawiam się jednak nie zniechęcać i kilka dni później idę na drugie spotkanie. Scenariusz się powtarza. Na trzeci raz nie mam już odwagi. Jestem załamana. Nie wiem, co dalej. Nie wspominam Martinowi o moich problemach, chociaż telefonujemy do siebie codziennie. Przy nim czuję się dobrze. Może nawet bezpiecznie? Daje mi poczucie, że jestem coś warta. Mama z kolei nie potrafi zrozumieć, dlaczego się tak zachowałam w trakcie spotkań o pracę. Proponuje, że na następną rozmowę pójdzie ze mną, żebym się mniej stresowała. Tak też robimy. Lecz mój strach przed kolejnym atakiem paniki jest tak głęboki, że jeszcze przed wejściem do domu potencjalnego pracodawcy wybucham płaczem. Mama pyta, co się dzieje. Nie umiem jej tego wyjaśnić. Wracamy do domu w milczeniu. To zdarzenie jeszcze bardziej utwierdza ją w przekonaniu, że czas, bym wróciła do Polski.

Zbliża się kolacja u Martina. Mam dylemat, czy powinnam iść do niego do domu. Czy to oznacza, że wylądujemy w łóżku? Wolałabym jeszcze odwlec ten moment. Mama radzi mi, żebym poszła i zobaczyła, jak się sprawy potoczą. Tuż przed randką muszę wziąć tabletkę na powstrzymanie biegunki.

Martin ugotował spaghetti bolognese i zrobił pyszny deser własnej roboty. Ma nieduże, ale bardzo gustownie urządzone mieszkanie. Podczas kolacji dotyka mojej dłoni. Mówi, że mam fascynującą osobowość. Od razu włącza mi się alarm w głowie. Chcę mu wierzyć, lecz coś mnie hamuje. Strach? Opowiada o swojej byłej dziewczynie, która zostawiła go dla innego. Widać, że bardzo to przeżył. Wzbudza we mnie litość. Wszystko we mnie krzyczy, żebym mu nie ufała, ale nie potrafię się oprzeć. Po deserze pijemy wino, jedno, drugie...

Budzę się o piątej rano. Martin chrapie. Jest jeszcze ciemno. Ogarnia mnie panika. Straciłam kontrolę, przespałam się z nim, chociaż tego nie planowałam. Wpadłam jak śliwka w kompot. Ubieram się po cichutku, w ciemności szukam moich rzeczy. Nie chcę go obudzić. Wstydzę się. Czy teraz myśli, że jestem łatwa? Nie zamierzam czekać do rana, by spojrzeć mu w oczy. Sama nie wiem, czego tak naprawdę się boję. Kiedy w przedpokoju zakładam buty, Martin wychodzi z sypialni. Obudziłam go jednak. Jest zdziwiony, że chcę uciec, prosi, żebym została na śniadanie. Dziękuje mi za cudowną noc i przytula. Jak mam mu się sprzeciwić?

Mama czeka w domu na relację. Muszę jej opowiedzieć każdy szczegół, łącznie z rozmiarem przyrodzenia Martina. Nie jest mi głupio, seks nigdy nie był między nami tematem tabu. Mama nie widzi nic złego w fakcie, że spędziliśmy razem noc.

Po tym zdarzeniu staram się bezskutecznie opanować emocje. Myślę tylko o nim, wszędzie go widzę, czuję nawet jego zapach w powietrzu. Mama śmieje się, że często się zamyślam, uśmiechając się przy tym do siebie. Martin dzwoni codziennie, widujemy się coraz częściej. Kino, restauracje, wystawy i te domowe kolacje, które zawsze kończą się w łóżku. Mam masę problemów, jestem bez pracy i pieniędzy, ale czuję się świetnie. Zakochałam się.

Nie wiem, co dalej. Mama zachowuje się tak, jakby było już postanowione, że razem wrócimy do Polski. Podjęła tę decyzję za mnie. Nie szukam pracy, bo boję się jakiegokolwiek rozmowy wstępnej. Pieniądze nikną w oczach. W końcu tato musi nam zrobić przelew z Polski, żebyśmy miały za co kupić jedzenie. Mieszkanie jest opłacone do końca miesiąca, a potem... Nie wiem, co potem. Nie mam pomysłu, a myślenie o tym, co będzie dalej, przeraża mnie, więc uciekam w marzenia. Ciągle znajduję się w jego ramionach, nawet gdy go przy mnie nie ma. Jestem przekonana, że oto znalazłam mężczyznę, na którego czekałam całe życie. Jesteśmy dla siebie stworzeni, zawsze będziemy razem, urodzę mu dzieci, zestarzeję się z nim. Nie może być inaczej, przecież wszystko układa się tak świetnie. Martin twierdzi, że nigdy nie spotkał takiej

kobiety jak ja. Kupuje mi kwiaty, zaprasza na kolacje do drogich restauracji, a w domu tuli i kocha namiętnie. To uczucie daje mi nadzieję, że mimo kłopotów wszystko się jakoś ułoży.

Po kilku tygodniach zauważam jednak, że Martin dzwoni coraz rzadziej. Dawniej robił to nawet kilka razy dziennie, teraz telefonuje co kilka dni. Kiedy ja wybieram jego numer, nie odbiera. Gdy chcę się spotkać, wymawia się pracą. Instykt podpowiada mi, że coś się dzieje, ale serce każe wierzyć, że wszystko jest w porządku. Przecież jesteśmy dla siebie stworzeni, będziemy zawsze razem. Martin chwilowo nie ma czasu i muszę to uszanować.

Kiedy się wreszcie spotykamy, od razu widzę, że coś jest nie tak. Po pierwsze, nie zaprosił mnie do domu, tylko nalegał na spotkanie na neutralnym gruncie. Do tego wybrał jakąś podrzędną knajpę, a nie wystawną restaurację, jak dotąd.

— Marlena, musimy porozmawiać. — Zawsze przeszkadzało mi, jak twardo wymawiał moje imię z niemieckim akcentem.

— Słucham cię.

— Jesteś wspaniałą dziewczyną, wiesz o tym.

To nie zapowiada się dobrze. Tymczasem Martin ciągnie dalej:

— Kiedy cię poznałem, byłem tobą oczarowany i nadal jestem. Jesteś dobrym człowiekiem, zasługujesz na to, by spotkać kogoś wartościowego.

— Dlaczego to wszystko mówisz? — pytam, choć już wiem, o co chodzi.

— Widzisz, ja nie jestem tym kimś. Zasługujesz na kogoś lepszego.

Czuję, że robię się czerwona.

— Co ty pieprzysz?

— Ty się ze mną zmarnujesz. Jestem pewien, że niebawem znajdziesz kogoś lepszego.

— Poznałeś kogoś?

Nie odzywa się. Nie patrzy mi w oczy. Bawi się serwetką.

— Nie, ja...

— Powiedz mi — rzucam twardo. — Nie okłamuj mnie. Nie pieprz, że nie jesteś mnie wart.

Znowu milczenie.

— Martha, moja była dziewczyna... — Przerzywa, patrząc w stół.

— Wróciliście do siebie?

— Tak...

Przez chwilę siedzę i przetwarzam w głowie to, co usłyszałam. Potem raptownie wstaję. Próbuje mnie zatrzymać, ale chwytam kurtkę i torebkę i wychodzę.

Wsiadam do autobusu. Jest pełen ludzi, ale znajduję dla siebie wolne miejsce. Jest mi gorąco. Serce mi wali jak młot, lecz nie płaczę. Jestem wściekła. Jak śmiał mnie tak załatwić!? Miał rację, że nie jest mnie wart. Mam nadzieję, że ona znowu go zostawi. I że będzie cierpiał. Bo na to zasługuje. Nie potrzebuję takiego dupka. Czym on mi właściwie zaimponował? Tego kwiatu pół świata, znajdzie się inny. A jak się nie znajdzie, to też nie będzie źle, bo ja sobie świetnie radzę sama. Wysiadam przed domem, czując na twarzy zimny jesienny wiatr. Kurtkę mam rozpiętą, szal niezawiązany, ale nie jest mi zimno. Nagle czuję, jak ogarnia mnie głęboki żal. Więc to już wszystko? Nigdy więcej się do niego nie przytulę?

Kiedy wchodzę do mieszkania, znowu czuję się silna, wręcz niezłomna. To mnie nie pokona. Nie takie rzeczy już przeszłam.

Mama jednak od razu widzi, że coś się stało.

— Co masz taką minę?

— Nie chce mi się o tym gadać.

— Czemu tak szybko wróciłaś? Coś nie tak?

— Nie wkurwiał mnie durnymi pytaniami.
— Co, zerwał z tobą? — Mówi to tak, jakby od dawna się tego spodziewała. Nie odpowiadam, więc draży dalej: — Dlaczego?
— Dlaczego, dlaczego, chuj go wie dlaczego, pies go w dupę lizał!
— Siadaj tu i nie denerwuj się tak.
Odpalam papierosa przy stole.
— Za bardzo się zaangażowałaś, a przecież to było do przewidzenia.
— Weź mnie nie wkurwiał.
— Marlena, on jest ślepy, przecież nosi okulary, nie przyjrzał ci się, nie zauważył, jaka jesteś gruba. Teraz dopiero zobaczył i zrezygnował.

Nie odpowiadam. Do końca wieczoru już nie rozmawiamy. Mama próbuje mnie namówić na kolację, ale nie mam apetytu. Chcę się wyłączyć, marzę o tym, żeby zniknęła. A przynajmniej niech się nie odzywa. Całą noc słucham muzyki przez słuchawki, paląc jednego papierosa za drugim. Mama śpi. Nie płaczę. Przez głowę przemyka mi tysiąc myśli na minutę. Jest mi bardzo gorąco, czuję się tak, jakbym miała gorączkę. W końcu nad ranem kładę się do łóżka.

Budzę się po dwóch godzinach. To, co stało się wczoraj, wydaje mi się teraz oddalone, jakby zdarzyło się lata temu. To już się nie liczy, nie robi na mnie żadnego wrażenia. Mama coś do mnie mówi, a jej słowa wydają mi się zabawne. Zaczynam się śmiać, sama nie wiem z czego. Wszystko wydaje mi się śmieszne. Po porannej toalecie wychodzę z łazienki i dalej się śmieję. Mama wciąż pyta, co mnie tak bawi. Początkowo śmieje się razem ze mną, ale kiedy po dwóch godzinach nadal nie przestaję, zaczyna na mnie patrzeć podejrzliwie. Pyta, czy coś brałam. W odpowiedzi znowu wybucham śmiechem. Nie mogę przestać. Śmieję się głośno i niepohamowanie. Jest mi gorąco. Czuję pęd do działania. Włączam muzykę i tańczę. Zaczyna się zabawa w kotka i myszkę — mama ścisza magnetofon, a ja podgłaśniam. Od rana nic nie jadłam. Nie czuję jednak głodu. Tak mija cały dzień.

Wieczorem niespodziewanie przyjeżdża moja była szefowa, by podać mi jakieś zaległe dokumenty z pracy. Mówi coś do mnie, ale ja mam znowu atak śmiechu. Nie jestem w stanie nawet jej odpowiedzieć, nie nadaję się do konwersacji. Cornelia nie może też porozmawiać z moją mamą ze względu na nieznamość języka. Patrzą tylko na siebie raz po raz, potem na mnie i znowu na siebie. Szefowa pyta, od kiedy się tak czuję i czy coś się stało. Kiedy nie dostaje odpowiedzi, dzwoni do psychiatry swojego męża. Słyszę, że opisuje mu mój stan. Mówi o moim pobycie w szpitalu, o depresji, o zdiagnozowanej dwubiegunówce. Podaje adres.

Po kilku minutach w moich drzwiach staje szpakowaty lekarz. Zadaje mi pytania, jestem świadoma jego słów, tylko ten śmiech... Psychiatra jest miły, ale stanowczy. Mówi, że muszę jechać do szpitala. Mama nic nie rozumie, wygląda na dezorientowaną i wystraszoną. Prosi, żebym się uspokoiła, ale to mnie jeszcze bardziej rozbawia. Szefowa proponuje, że zawiezie mnie do szpitala. Sprzeciwiam się. Kiedy kwadrans później pod dom podjeżdża karetka, wiem już, co się stanie. Zabiorą mnie, a jeśli będę się opierać, to wezmą mnie siłą. Mam tego pełną świadomość i próbuję się opanować, lecz nie mogę. Od śmiechu boli mnie już brzuch. Zdołam jeszcze tylko wydusić z siebie, by pozwolili mi się spakować. Wiem, że jak znowu znajdę się na oddziale, to prędko z niego nie wyjdę.

Trafiam do tego samego szpitala, z którego kilka miesięcy wcześniej wyszłam przekonana, że już nigdy tu nie wrócę. Osiemnasty oddział w ogóle się od tego czasu nie zmienił.

27. Euforia

Dyżurny lekarz próbuje mnie zbadać, co chwila wybucham jednak śmiechem. To doktor Bauer, ten przystojniak. Pamięta mnie. Przegląda w komputerze historię mojej choroby. Mówi coś o odstawieniu leków i o tym, że trzeba będzie odczekać, zanim podadzą mi nowe. Słucham go, siląc się na poważną minę. Pyta, czy zdaję sobie sprawę, że mam atak manii. Odpowiedzią jest kolejna salwa śmiechu. Dostaję łóżko na korytarzu przy dyżurce, bo w akwarium nie ma miejsca. Jest po dwudziestej, większość pacjentów już śpi. Pielęgniarki każą mi się położyć, ale ja czuję w sobie tyle energii, że nawet nie ma o tym mowy. Siadam więc w palarni i sięgam po papierosa. Włączam odtwarzacz mp3 i zaczynam śpiewać i tańczyć. O dwudziestej drugiej pielęgniarki przychodzą zamknąć palarnię. Znowu każą mi pójść spać. Ale ja dalej rechoczę. Zabierają mi słuchawki. Są niemiłe. Mówią, że jak się nie położę, to mnie przywiążą. Siadam więc na chwilę na łóżku i udaję posłuszeństwo. Nie mogę jednak długo usiedzieć w miejscu. Chodzę tanecznym krokiem między stołami w jadalni, chichocząc. Jest już po północy. Siostry prowadzą mnie znowu do łóżka. Nawet nie zauważyłam, że mają przy sobie pasy. Przypinają mnie, a ja się śmieję. Próbuję oponować, ale jedna z nich siada mi na brzuchu, a druga przypina moje nogi i ręce. Przykrywają mnie kołdrą i odchodzą. Całą noc śpiewam półgłosem i śmieję się na zmianę. Co jakiś czas wychodzą do mnie i każą być cicho. Przez głowę przebiegają mi różne historie z mojego życia, a w każdej z nich znajduję coś zabawnego. Albo czuję się jak komik na scenie i układam skecze, rechocząc. W środku nocy pielęgniarki pozwalają mi iść do ubikacji, żeby potem znowu mnie unieruchomić. Tym razem zwiążują mnie bardzo mocno, bołą mnie nadgarstki i kostki u stóp. Mam wrażenie, że zrobili to specjalnie.

W ciągu następnych dwóch dni mój stan nie ulega zmianie. Nie dostaję już litu, a seroquel jest mi podawany w coraz mniejszej dawce. Nie śpię i nie jem. W dzień siedzę cały czas w palarni ze słuchawkami na uszach, w nocy jestem przywiązywana. Śmieję się nieprzerwanie. Czuję się lekka jak ptak. Nikt mnie nie odwiedza, bo lekarz nałożył na mnie trzydniową kwarantannę. Nie mam przy sobie komórki. Nie wiem, co u mamy, a ona pewnie też nie wie, co się ze mną dzieje.

Trzeciego dnia dostaję jakiś zastrzyk, nawet nie pytam, co to. Błyskawicznie robię się senna i wreszcie zapadam w głęboki sen. Przesypiam prawie całą dobę, budząc się tylko za potrzebą. Moje łóżko nadal stoi na korytarzu. Kiedy idę do ubikacji, nie wiem nawet, czy jest dzień, czy już noc, jestem zamroczona i mam problemy z równowagą. Raz nawet zdarza mi się usnąć na toalecie.

Czuję, jak ktoś mnie szturcha. Z oddali dobiega czyjś głos. Powtarza moje imię. Powoli otwieram oczy. Mój brat stoi nade mną i potrząsa moim ramieniem.

— Kurwa, co oni ci dali? Już cię pół godziny budzę!

Zza brata wyłania się mama.

— Marlenko, jak się czujesz?

Siadam. Moje ciało jest ciężkie niczym głaz. Coś odpowiadam, a raczej mamrocę.

Mama pochyła się nade mną.

— Ale mi stracha napędziłaś. Lekarz mówi, że dostałaś zastrzyk wyciszający, który działa cztery dni. Będą ci zmieniać leki.

— Rozmawiałaś z doktorem? — pytam, nie otwierając oczu.

— Janek to zrobił, przetłumaczył mi wszystko. Byliśmy tu już przedwczoraj, ale nas nie wpuścili. Przyniosłam ci ziemniaczki i kotleta. — Wyciąga plastikowy pojemnik po lodach.

— Zjedz, lekarz powiedział, że nic nie bierzesz do ust.

Nagle poczułam się głodna.

— Zjem.

Brat, który do tej pory się nie odzywał, przysiadł na brzegu łóżka.

— Siostra, co ci znowu odpierdoliło? Podobno się śmiałaś jak głupia.

Nie odpowiadam.

— To koniec, wypierdalasz do Polski — ciągnie dalej.

Potrząsam głową, chcąc zaprzeczyć. Muszę wyglądać jak siedem nieszczęść, bo przez zamglone oczy widzę, że mama patrzy na mnie z litością w oczach. Zjadam pół kotleta i wysuwam się spod kołdry. Mama wskazuje na czerwone ślady na moich przegubach.

— Co to jest?

— To od pasów.

— Przywiązali cię? — W jej głosie wyczuwam niedowierzenie.

Wciąż nie otwieram oczu, mam problemy z utrzymaniem głowy w górze.

— Przynieśliście mi komórkę?

Mama wyciąga mój telefon.

— Czegoś ci jeszcze trzeba? — mówi do mnie tonem, jakim przemawia się do małego dziecka.

— Niczego, przecież zaraz stąd wyjdę.

— Chyba cię pojechało — zaśmiał się brat.

— Lekarz powiedział, że trochę tu posiedzisz. Zbliża się nowy miesiąc, z czego opłacimy mieszkanie? Janek nam będzie musiał pomóc.

— No pięknie — bulwersuje się brat. — Na darmozjadów nie będę łożył, do roboty! Do Polski wypierdalać!

— Janek, uspokój się — karci go mama. — Jak tylko Marlena wyjdzie ze szpitala, pojedziemy do domu. Ale do tego czasu musisz nas poratować.

— Do jakiego domu? — bełkoczę.

— Do Polski, Marlenko, chyba nie sądzisz, że w tej sytuacji...

— Musisz wiedzieć jedno — Janek przysuwa się do mnie — tu jest Zachód i tu się zapierdala. Nie dziwię się, że nie masz roboty, kto przyjmie taką słoninę!

— Janek! Jak możesz... — rzuca bezsilnie mama.

— Zapłacę wam za pół miesiąca, a potem macie jechać do ojca. Niech cię starzy utrzymują.

— Ja nigdzie nie jadę... Znajdę pracę... — mamroczę. Nagle senność bierze nade mną górę, osuwam się na poduszkę i usypiam. Mama coś jeszcze chyba mówi, ale jej słowa wydają się ciche, coraz cichsze...

Kolejne dni spędzam, śpiąc. Wstaję tylko na posiłki, bo pielęgniarki mnie budzą. W przeblyskach świadomości pamiętam, że miałam odwiedziny. Mama była u mnie dwa razy. A może trzy? Brat już się nie pokazał.

Któregoś dnia sama budzę się na śniadanie i zaczynam zdawać sobie sprawę, że najwyraźniej zastrzyk przestał działać, bo nagle wróciło mi poczucie rzeczywistości. Senność minęła. Po pierwsze, idę pod prysznic. Nie korzystałam z niego od momentu przyjęcia do szpitala. Najpierw byłam w euforii, potem zbyt senna, by utrzymać się na nogach. Czuję się brudna. Długo delektuję się ciepłymi strugami spływającymi po moim ciele. Na śniadanie idę świeża, czysto ubrana i przede wszystkim trzeźwa. Nie mam już ochoty na śmiech, za to doskwiera mi uporczywy głód — zjadam trzy razy więcej niż zwykle o tej porze dnia.

Zaraz po śniadaniu mam spotkanie z lekarzami. Kiedy wchodzę do ciasnego gabinetu,

doznaję *déjà vu*. Skądś to znam: czterech lekarzy, pielęgniarki, psycholog. Pytają, jak się czuję i co się stało, że miałam atak manii. Teraz już wiem, że powodem było rozstanie z Martinem. Nie ukrywam tego. Bauer informuje mnie o zmianie leków, wymienia jakąś skomplikowaną nazwę i pyta, czy w domu brałam regularnie leki. Odpowiadam twierdząco, ale nie wyglądam na przekonanego. Chcę wiedzieć, kiedy mnie wypuszczą, wszak czuję się już normalnie, mania minęła. Lekarz tylko kiwa głową i mówi, że zobaczymy.

Mijają kolejne dni. Przeniesiono mnie do normalnej sali. W dzień, z braku innych pomysłów, chodzę na zajęcia grupowe. W nocy śpię jak zabita. Mam niepokonany apetyt, wciąż chce mi się jeść. Mama odwiedza mnie co dzień, twierdząc, że zachowuję się już normalnie i że kamień spadł jej z serca. Nie rozmawiamy o tym, co będzie, kiedy opuszczę szpital. Zaczyna do mnie docierać, że powrót do Polski jest koniecznością. Nie widzę innego rozwiązania.

Od czasu do czasu zdarza mi się wybuchnąć nagle bez powodu śmiechem, ale zwykle są to krótkie momenty, które stają się coraz rzadsze. Kiedy po dwóch tygodniach pobytu na oddziale po raz kolejny pytam lekarza, kiedy mnie wypuści, odpowiada, że w przyszłym tygodniu. Cieszę się, a jednocześnie czuję dziwny lęk. Mam więc jeszcze trochę czasu, by pogodzić się z myślą, że wracam do Polski.

28. Smak domu

Bilety na autobus kupił nam brat. Kiedy wyszłam ze szpitala, ze zdziwieniem stwierdziłam, że mama spakowała już wszystkie moje rzeczy. Mamy wyjechać za dwa dni. Jestem zadziwiająco spokojna i zrównoważona. Dopiero gdy wsiadam do autobusu i widzę, jak miasto ginie w oddali, wybucham płaczem. Wiem, że kończy się coś ważnego, że znaczący etap w moim życiu, który trwał prawie dziesięć lat, właśnie dobiega kresu. Ogarnia mnie nagle niewypowiedziany żal. Mama się nie odzywa. Czeka, aż się uspokoję. Dopiero po kilku godzinach jazdy zauważam, że jest smutna. Coś ją trapi, a ja byłam dotąd zbyt zajęta sobą, by to wcześniej dostrzec.

— Nie cieszysz się, że wracamy? — zaczynam.

Wzdycha i przymyka oczy. Pochyla głowę.

— Nie chciałam ci nic mówić, bo byłaś w szpitalu.

Zaczynam się niepokoić.

— Co się stało? Tata jest chory?

— Nie, nie tata. W zeszłym tygodniu do ojca przyjechał wujek Stach. Wiesz, że czasem odwiedzał Łukasza w tym jego bunkrze w lesie.

Rzeczywiście, daleki wuj, którego prawie nie znałam, sporadycznie zanosił bratu jedzenie. Tymczasem mama znów wzdycha i kontynuuje trzęsącymi się ustami:

— Zamarzył, Stach go znalazł...

Przez chwilę milczę, jakby jej słowa docierały do mnie z opóźnieniem.

— Nie żyje...?

Mama zaczyna płakać.

— Powinnaś była mi powiedzieć — mówię cicho. — Kiedy pogrzeb?

— Już jest po pogrzebie.

— Jak to, nie poczekali na nas?

— Jeszcze nie było wiadomo, kiedy wrócimy. Pochowali go. Na pogrzebie były tylko trzy osoby. Aśka nie przyszła.

— Jak to nie przyszła? — denerwuję się.

— Powiedziała, że ją ten ćpun nie interesuje.

Zapada noc, w autobusie panuje półmrok. Mama wciąż szlocha. Patrę na nią i widzę kobietę, której wcześniej nie znałam. Śmierć brata ją złamała. W jednej chwili zaczynam zdawać sobie sprawę, że matka cierpi. Kiedyś myślałam, że w ogóle jej nie obchodzimy, ale myliłam się. Myślałam, że nas skrzywdziła, ale my krzywdziliśmy ją jeszcze bardziej. Kochała nas tak, jak umiała. Widocznie nie była zdolna do wylewnych uczuć, ale robiła, co mogła.

W końcu usypia. Kiedy przejeżdżamy granicę Polski, Karlsruhe nie ma już dla mnie takiego znaczenia jak jeszcze kilka godzin wcześniej. Zdałam sobie sprawę, że zamknęłam się w tym mieście; z dala od problemów, przed którymi chciałam uciec, z dala od bliskich, którzy mnie kochali. Przez te wszystkie lata nosiłam w sobie złość, którą sama podjudzałam.

Pielęgnowałam ją, karmiłam nowymi konfliktami, sypałam sól w otwarte rany.

Patrę na spokojną, uśpioną twarz matki i czuję coś w rodzaju instynktu macierzyńskiego. Pragnę ją przytulić, pogłaskać, chcę jej zabrać ten cały smutek i troskę...

Mówi się, że kiedy zamykają się jedne drzwi, to otwierają się drugie. Przedemną nowe życie. To nie powrót do przeszłości, tylko zupełnie nowy etap. I ode mnie zależy, czy zatruję go starą nienawiścią, czy pozwolę losowi, by sam napisał inny scenariusz.

Cała noc mija mi na rozmyślaniu. Nawet nie zauważyłam, kiedy zrobiło się jasno i mama się obudziła. Za oknem widzę już znajome tereny. W końcu z oddali zaczynają wylaniać się wieżowce mojego miasta rodzinnego.

— I co teraz? — pyta nagle mama.

— Zadzwoń do taty, żeby nam zrobił naleśniki na przywitanie.

— Ojciec się już pewnie nie może doczekać.

— Zawsze chciałam mieć psa.

— Ja też.

Ojciec przypalił naleśniki, bo wolał czekać na nas przed domem niż ich pilnować. Wieczorem pojechaliśmy we trójkę do schroniska i wybraliśmy tam śliczną suczkę Sambę.

Epilog

Podobno szczęście polega na szukaniu. Gdy jest mi smutno, Samba przychodzi do mnie i liże po buzi. Kiedy delikatnie przeciągam ręką po jej miękkim futrze, wypełniają mnie dobre uczucia i odganiają złe myśli. Wciąż się boję, że któregoś dnia zostanę sama ze sobą. Czeka mnie jeszcze wiele ataków depresji i manii oraz wiele pobyków w szpitalach, w Krakowie, w Łodzi, w Komorowie. Jeszcze nie raz wespnę się na szczyt, by potem spaść gwałtownie, jak skoczek, któremu nie otworzył się spadochron. Czasami wyciągam z szuflady moją dziewczynkę z balonikami. Wciąż się uśmiecha. Już nie jesteśmy sobie takie bliskie, ale pozostałyśmy przyjaciółkami. Mama z tatą oglądają telewizję, trzymając się za ręce. Nie robili tego, kiedy byli młodzi. Lubię z nimi przebywać. Czasem wyciągamy karty i gramy w brydża, śmiejąc się przy tym radośnie. Słucham ich codziennego życia, kiedy jestem w swoim pokoju; dociera do mnie stukanie pokrywek w kuchni, trzask drzwi od łazienki, śmiechy przeplatające się z rozmowami. Mama piecze ciasto na niedzielę, tata obiera grzyby, Samba śpi pod stołem. Tak pachnie moje dzieciństwo. Grzybami i ciastem. To moje drugie, dorosłe dzieciństwo. Wierzę, że wszystko w życiu ma jakiś cel. Wierzę, że we wszechświecie jest równowaga. Jeśli coś się wznosi, to musi też opaść. Jeśli coś opada, to musi powstać. Najlepsze wciąż przed nami.

